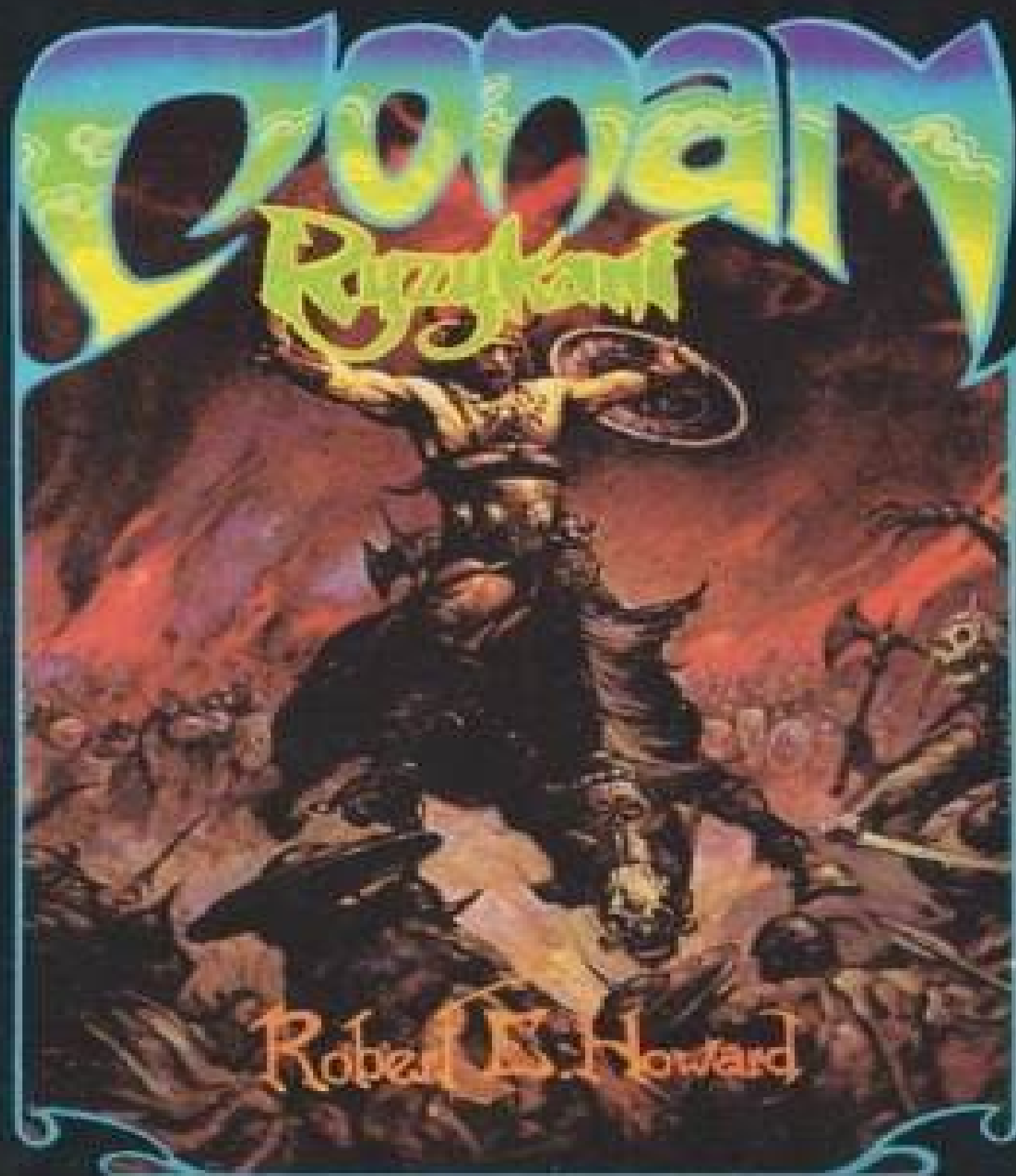


PIERWSZE WYDANIE KOMPLETNE



# Spis treści

Karta tytułowa

MAPA

CONAN

Notki biograficzne

WSTĘP

**ROBERT E. HOWARD LUDZIE CZARNEGO KRĘGU**

ŚMIERĆ KRÓLA 1

BARBARZYŃCA Z GÓR 2

KHEMSA UŻYWA CZARÓW 3

SPOTKANIE NA PRZEŁĘCZY 4

CZARNY OGIER 5

GÓRA CZARNYCH WRÓŻBITÓW 6

W DRODZE NA YIMSHE 7

YASMINA JEST OBŁĘDNIE PRZERAŻONA 8

ZAMEK CZARNOKSIĘŻNIKÓW 9

DEMON Z ZAŚWIATÓW 10

**ROBERT E. HOWARD PEŁZAJĄCY CIEŃ**

1

2

3

4

**ROBERT E. HOWARD, L. SPRAGUE DE CAMP BĘBNI**

**TOMBALKU**

1

2

3

4

5

**ROBERT E. HOWARD SZMARAGDOWA TOŃ**

1

2

3

Robert E. Howard

**L. SPRAGUE DE CAMP**

**CONAN  
RYZYKANT**

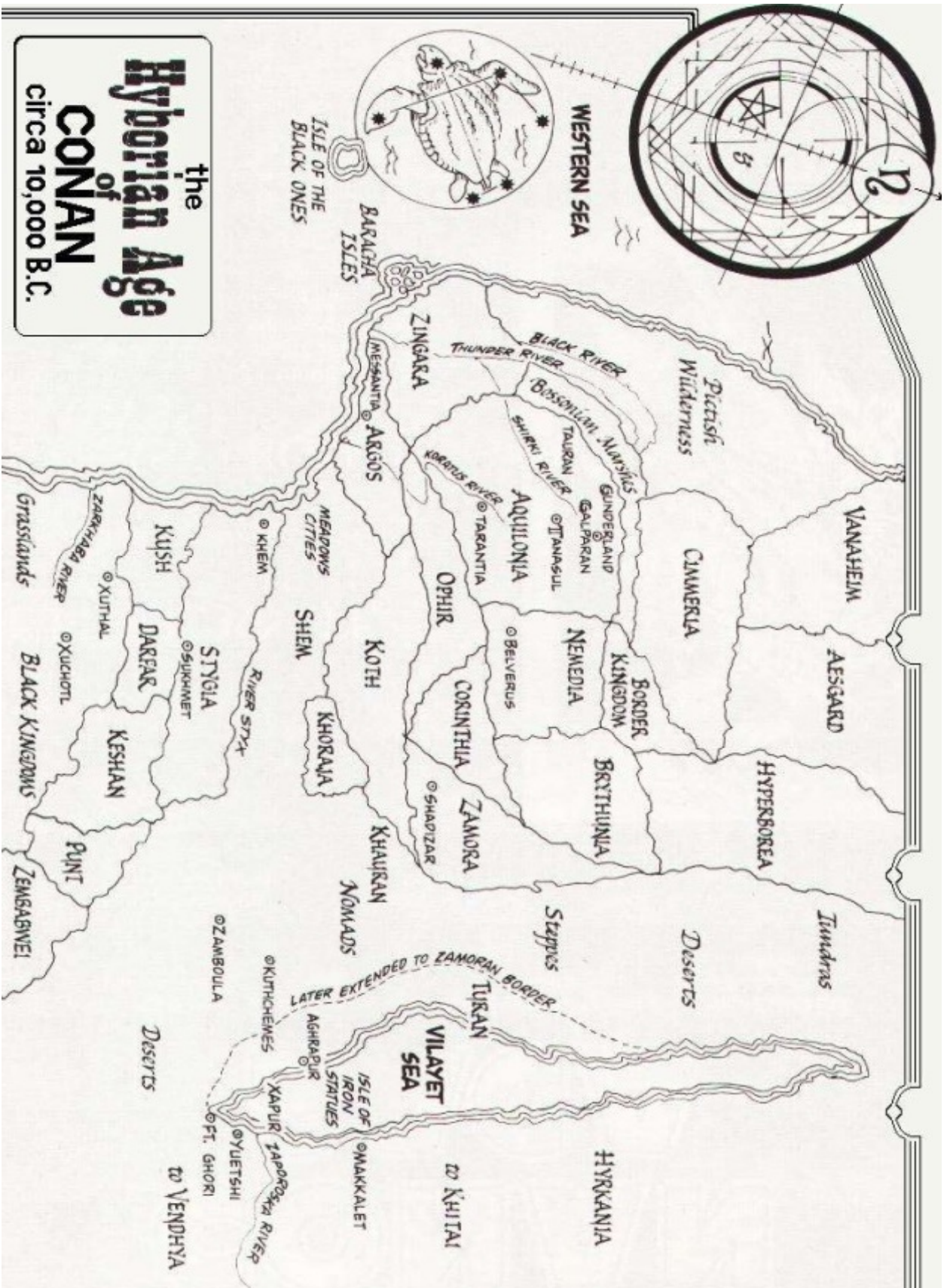
Tłumaczył: Zbigniew A. Królicki

**PIK: 1992**

## MAPA

*Mapa na wyklejce powstała na podstawie notatek i szkiców Roberta E. Howarda oraz map stworzonych przez P. Schuylera Millera, Johna D. Clarka, Davida Kyle'a i L. Sprague'a de Campa.*

**the**  
**Hyborian Age**  
**of**  
**CONAN**  
 circa 10,000 B.C.





CONAN







## Notki biograficzne

*Notki biograficzne przed opowiadaniem zostały napisane na podstawie artykułu P. Schuylera Millera i dr. Johna D. Clarka Prawdopodobny przebieg kariery Conana (A Probable Outline of Conan's Career) opublikowanym w The Hyborian Age (Los Angeles, 1938) oraz na podstawie: rozszerzonej wersji tego eseju p.t. Nieoficjalna biografia Conana Cymeryjczyka (An Inofficial Biography of Conan the Cimmerian), którego autorami są P. Schuyler Miller, John Clark i L. Sprague de Camp, a który został opublikowany w czasopiśmie poświęconym twórczości Howarda Amra (tom 2, nr 8).*

*The People of the Black Circle: pierwodruk we wrześniowym, październikowym i listopadowym numerze Weird Tales, 1934.*

*The Slithering Shadow: pierwodruk we wrześniowym numerze Weird Tales, 1931.*

*Drums of Tombalku: publikowane w tym tomie po raz pierwszy. W 1965 roku Glen Lord, agent literacki Howarda, odkrył w jego papierach konspekt tego opowiadania oraz pociągający szkic pierwszej połowy. L. Sprague de Camp opracował tę pierwszą część i dopisał drugą. The Pool of the Black One: pierwodruk w październikowym numerze Weird Tales. 1953.*

## WSTĘP

Robert Ervin Howard (1906–36) urodził się i przez większość życia mieszkał w Cross Plains w Teksasie. W ciągu swego krótkiego życia napisał wiele utworów zaliczanych do literatury popularnej: oprócz opowieści z Dzikiego Zachodu, sportowych, kryminalnych i przygodowych pisał również opowiadania fantasy. Z kilku cykli stworzonych przez Howarda największą popularnością cieszą się utwory, których bohaterem jest Conan. Ich akcja toczy się w wymyślonej przez autora Erze Hyboryjskiej, po zatonięciu Atlantydy, a przed początkiem naszej cywilizacji. Howard był urodzonym gawędziarzem, którego opowieści cechuje niedościgle żywa, barwna i ekscytująca akcja. Opowieści o Conanie są prawdziwymi perłami literatury przygodowej, podlanej mocnym i niepokojącym sosem sił nadprzyrodzonych.

Howard napisał ponad dwa tuziny dłuższych i krótszych opowiadań o Conanie.

Osiemnaście z nich zostało wydane za życia pisarza. Kilka innych, od szkiców po kompletne rękopisy, odnaleziono w papierach Howarda w ciągu minionych dwudziestu lat. Miałem szczęście redagować te, które wydano, kończyć te, które były tylko częściowo napisane i przerabiać kilka innych, niepublikowanych opowiadań Howarda tak, aby pasowały do sagi o Conanie.

Jedno z opowiadań zawartych w tym tomie — „Bębny Tombalku” — zostało ostatnio odkryte przez Glenna Lorda — agenta literackiego zarządzającego spuścizną po pisarzu — w

postaci szkicu i pobieżnie nakreślonego planu pierwszej części. Opierając się na tym szkicu, dokończyłem ów utwór. Pozostałe trzy opowiadania, oprócz paru drobnych zmian redakcyjnych, są w tej samej postaci, w jakiej pojawiły się w *Weird Tales* na początku lat trzydziestych.

O ile można to wyliczyć, Conan żył około dwanaście tysięcy lat temu. W tym czasie (według Howarda) zachodnią część największego z kontynentów zajmowały królestwa hyboryjskie. Składały się na nie liczne państwa założone trzy tysiące lat wcześniej przez najeźdźców z północy, Hyboryjczyków, na ruinach imperium zła — Acheronu. Na południe od hyboryjskich królestw leżały swarliwe państwa—miasta Shemu. Za Shemem drzemało starożytne, złowrogie królestwo Stygii. Zaś jeszcze dalej na południe, za pustyniami i sawannami, znajdowały się barbarzyńskie Czarne Królestwa.

Na północy leżały takie krainy jak Cymeria, Hyperborea, Vanaheim i Asgard. Zachodnie krańce kontynentu wzdłuż oceanu zamieszkiwali dzicy Piktowie. A na wschodzie kwitły wspaniałe królestwa hyrkariskie, z których najpotężniejszym był Turan.

Conan, olbrzymi zawadiaka z zapadłej Cymerii, jako młodzieniec przybył do Zamory, leżącej między krajami Hyboryjczyków a Turanem. Przez dwa lub trzy lata uprawiał profesję złodzieja w Zamorze, Koryntii i Nemedii. Zmęczony głodową egzystencją zaciągnął się jako najemnik do turańskiej armii. Przez następne dwa lata wiele podróżował, doskonaląc umiejętność konnej jazdy i posługiwania się łukiem.

W wyniku kłótni ze swoim dowódcą opuścił Turan. Po bezskutecznej pogoni za skarbem w Zamorze i po krótkiej wizycie w rodzinnych stronach, Cymeryjczyk kontynuował

kariere najemnika w różnych hyboryjskich królestwach. W burzliwych — jak zwykle — okolicznościach zostaje przywódcą piratów grasujących u wybrzeży Kush, a tubylcy nadają mu imię Amra — Lew. Po śmierci ukochanej towarzyszki pirackich wypraw — Belit, barbarzyńca zostaje wodzem jednego z czarnych plemion. Później służył jako najemny żołnierz w Shemie i najdalej na południe wysuniętych państwach hyboryjskich.

Jeszcze później Conan pojawił się jako wódz kozaków — bandy wyjętych spod prawa jeźdźców grasujących na stepach między ziemiami Hyboryjczyków a Turanem. Był kapitanem pirackiego statku na wielkim wewnętrznym Morzu Vilayet i wodzem Zuagirów z pustyni na południowym wschodzie. Porzuciwszy w stopniu kapitana armię króla Iranistanu, Conan przybywa do krainy rozpościerającej się u podnóża Gór Himelijskich — łańcucha oddzielającego Iranistan od Turanu i tropikalnego królestwa Vendhyai. W tym momencie rozpoczyna się niniejsza książka.

L. Sprague de Camp

ROBERT E. HOWARD

## ŁUDZIE CZARNEGO KRĘGU

*Odrzuciwszy propozycję Arshaka, następcy Kobada Szacha, aby wrócił na służbę Iranistanu i zajął się obroną tego królestwa przed najazdami króla Yezdigerda z Turanu, Conan jedzie na wschód, by wreszcie znaleźć się u podnóża gór Himelijskich, na północnej granicy Vendhyi. Po pewnym czasie zostaje wojennym wodzem Afgulisów, jednego z dzikich góralskich szczepów zamieszkujących tę terytorię. Ma wówczas trzydzieści parę lat (trzydzieści trzy, żeby być ściślij), jest w pełni sił fizycznych, a jego imię staje się znane w całym cywilizowanym i barbarzyńskim świecie, od Pustkowiec Piktów po Khitaj.*



Król Vendhyi umierał. Wśród parnej, gorącej nocy niosło się dudnienie świątynnych gongów i ryk konch. Słabe echo tego hałasu dochodziło do komnaty o złotym sklepieniu, w której Bunda Czand miotał się na aksamitnym posłaniu. Ciemna skóra króla lśniła od potu, a palce szarpały przetykaną złotem pościel. Był jeszcze młody; nie zraniono go włócznią, nie wsypano trucizny do wina. A jednak na skroniach nabrzmiały mu sine węzły żył, a oczy zasnuł cień zbliżającej się śmierci. U podium klęczały drżące niewolnice, a przy wezglowiu stała siostra króla, Devi Yasmina, spoglądając nań z głęboką troską. Był z nią wazam, sędziwy szlachcic od dawna należący do królewskiego dworu. Gdy daleki łomot bębnow dotarł do jej uszu, Yasmina gwałtownym ruchem podniosła głowę.

— Ach, ci kapłani i cała ta wrzawa! — wykrzyknęła z gniewem i rozpaczą. — Są tak samo bezradni jak medycy! On umiera i nikt nie wie dlaczego. Umiera, a ja stoję tu bezradna, ja, która puściłabym z dymem całe miasto i przelała krew tysięcy, aby go ocalić!

— Nie znalazłabyś w Ayodhyi człowieka, który nie chciałby umrzeć zamiast niego, gdyby to było możliwe, Devi — odparł wazam. — Ta trucizna...

— Mówię ci, że to nie trucizna! — krzyknęła. — Od dziecka był strzeżony tak dobrze, że najzręczniejsi truciciele Wschodu nie zdołali go osiągnąć. Pięć czaszek bielejących na Wieży Latawców dowodzi, że próbowano — daremnie. Dobrze wiesz, że

mamy dziesięciu mężczyzn i dziesięć kobiet, których jedynym obowiązkiem jest kosztowanie jego wina i potraw, a jego komnaty strzeże pięćdziesięciu strażników — tak jak w tej chwili. Nie, to nie trucizna — to czary. Okropna klątwa...

Umilkła, bo król przemówił; jego posiniałe wargi nie poruszyły się, a w szklistych oczach nie pojawił się nawet przeblysłk świadomości, lecz jego głos wzniósł się w upiornym wołaniu, niewyraźnym i cichym, jakby wzywał ją z niezgłębionych, smaganych wiatrem otchłani.

— Yasmino! Yasmino! Siostrze moja, gdzie jesteś? Nie mogę cię znaleźć. Wszędzie ciemność i wycie wichrów!

— Bracie! — zawołała Yasmina, konwulsyjnym ruchem chwytając bezwładną dłoń. — Jestem tu! Czy mnie nie poznajesz?

Urwała, widząc zupełną obojętność malującą się na twarzy króla. Z jego ust wydobył się słaby, nieartykułowany jęk. Niewolnice u stóp podium zaskomliły ze strachu, a Yasmina rozdzierała szaty w udęce.

W innej części miasta pewien człowiek spoglądał zza ażurowej kraty balkonu na długą ulicę oświetloną ponurym blaskiem dymiących pochodni, ukazującym zwrócone ku niebu ciemne twarze o lśniących białkach oczu. Z tysięcy ust dobywało się przeciągłe zawodzenie.

Mężczyzna wzruszył szerokimi ramionami i wrócił do komnaty o pokrytych arabeskami ścianach. Był wysoki, dobrze zbudowany i odziany w kosztowny strój.

— Król jeszcze nie umarł, ale już słyhać żałobne pienia — rzekł do innego mężczyzny, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na macie w kącie pokoju. Ten drugi miał na sobie brązową togę z wielbłądziej wełny, sandały i zielony turban. Popatrzył obojętnie na mówiącego.

— Ludzie wiedzą, że nie doczeka świtu — odparł. Pierwszy obrzucił go przeciągłym, badawczym spojrzeniem.

— Nie mogę pojąć — powiedział — dlaczego musiałem tak długo czekać, by twoi panowie uderzyli. Skoro mogli zabić króla teraz, dlaczego nie mogli tego zrobić kilka miesięcy wcześniej?

— Nawet sztuką, którą ty zwiesz magią, rządzą kosmiczne prawa — odparł człowiek w zielonym turbanie. — Gwiazdy kierują takimi działaniami tak samo jak innymi sprawami.

Nawet moi panowie nie są w stanie tego zmienić. Dopóki gwiazdy nie znalazły się we właściwym położeniu, nie mogli rzucić czaru. Długim, brudnym paznokciem kreślił konstelacje na marmurowych płytach podłogi.

— Pozycja Księżyca wróży nieszczęście królowi Vendhyi; zamieszanie wśród gwiazd, Żmija w Domu Słonia. Przy takim położeniu niewidoczni strażnicy opuszczają duszę Bundy Czanda. W niewidzialnych królestwach droga staje otworem i kiedy udało się znaleźć punkt kontaktu, posłano nią potężne siły.

— Punkt kontaktu? — dociekał drugi mężczyzna. — Masz na myśli ten kosmyk włosów Bundy Czanda?

— Tak. Wszystkie części ludzkiego ciała pozostają ze sobą w styczności, połączone nierozzerwalnymi więzami. Kapłani Asury od dawna to podejrzewali, tak więc obcięte paznokcie, włosy i inne resztki pochodzące od członków królewskiej rodziny są przezornie spopielane, a popiół ukrywany starannie. Jednak na usilne błagania księżniczki Kosali, która nieszczęśliwie się w nim zakochała, Bunda Czand podarował jej na pamiątkę kosmyk swych długich, czarnych włosów. Kiedy moi panowie zdecydowali o losie króla, ten kosmyk został skradziony ze złotego, wysadzanego klejnotami pudełka, które księżniczka trzyma w nocy pod poduszką, a na jego miejsce podłożono inny,

tak podobny, że nie zauważyła różnicy.

Później prawdziwy kosmyk przebył wraz z karawaną wielbłądów długą, długą drogę do Peszchauri i przez przełęcz Zaibar, aż dotarł do rąk tych, do których miał dotrzeć.

— Zwykły kosmyk włosów — mruknął szlachcic.

— Dzięki któremu można duszę wydobyć z ciała i pociągnąć w bezkresną otchłań mroku — rzekł człowiek siedzący na macie.

Szlachcic przyglądał mu się z ciekawością.

— Nie wiem, czy jesteś człowiekiem, czy demonem, Khemso — powiedział w końcu.

— Mało kto z nas jest tym, na kogo wygląda. Mnie Kszatrijasi znają jako Kerima Szacha, księcia z Iranistanu, a jestem takim samym przebierańcem jak inni. Tak czy inaczej, wszyscy ludzie są zdrajcami, a połowa z nich nie wie nawet, komu służy. Ja przynajmniej nie mam takich wątpliwości, bo służę królowi Turanu, Yezdigerdowi.

— A ja Czarnym Wróżbitom z Yimshy — rzekł Khemsa — i moi panowie są potężniejsi od twego króla, swoją sztuką bowiem dokonali tego, czego on ze swymi stoma tysiącami zbrojnych nie zdołał dokazać.

Żałosne jęki Vendhyan wznosiły się pod rozgwieżdżone niebo i ośli ryk konch przeszywał parne ciemności nocy.

W pałacowych ogrodach światła pochodni odbijały się w polerowanych hełmach, wygiętych mieczach i wysadzanych złotem napierśnikach. Wszyscy szlachetnie urodzeni wojownicy Ayodhyi zebrali się w wielkim pałacu lub wokół niego, a przy każdej z niskich, łukowatych bram i przy każdych drzwiach stało na straży pięćdziesięciu łuczników ze strzałami na cięciwach. Lecz Śmierć kroczyła przez królewski pałac i nikt nie mógł powstrzymać jej cichego pochodu.

W komnacie o złotym sklepieniu król krzyknął ponownie, dręczony paroksyzmami okropnego bólu. Jego głos był znów słaby i daleki. Devi pochyliła się nad nim, drżąc z lęku spowodowanego czymś gorszym niż groza śmierci.

— Yasmino! — rozległ się znowu ten stłumiony, pełen cierpienia okrzyk z niezgłębionych otchłani. — Pomóż mi! Jestem tak daleko od domu! Czarnoksiężnicy zaciągnęli moją duszę w smagane wichrem ciemności. Usiłują przerwać srebrną nić, która wiąże mnie z umierającym ciałem. Kłębą się wokół. Ich ręce są niczym szpony, a ich oczy są czerwone jak ognie jarzące się w mroku. Och, ocal mnie, siostró! Ich dotyk pali mnie jak ogień! Zniszczą moje ciało i zgubią moją duszę! Cóż to przywiedli przede mnie? Och!

Słyszając bezgraniczne przerażenie w jego głosie, Yasmina krzyknęła przeraźliwie i przypadła mu do piersi w bezmiernej udręce. Ciałem króla wstrząsnęły straszliwe skurcze; z wykrzywionych warg popłynęła piana, a zaciskające się spazmatycznie palce zostawiły sine ślady na ramionach dziewczyny. Jednak jego oczy straciły szklisty wyraz, jakby wiatr rozwiał na chwilę zasnuwającą je mgłę, i król spojrzał przytomnie na siostrę.

— Bracie! — załkała. — Bracie...

— Spiesz się! — jęknął, a jego słabnący głos brzmiał całkiem rozumnie. — Znam już przyczynę mojej zguby. Odbylem daleką podróż i zrozumiałem wszystko. To czarnoksiężnicy z Himelii rzucili na mnie czar. Wydobyli moją duszę z ciała i zabrali ją daleko, do kamiennej komnaty. Tam próbują zerwać srebrną nić życia i uwięzić moją duszę w ciele ohydneho potwora, którego przywiodły z piekieł ich zaklęcia. Ach! Czuję ich siłę! Twój płacz i uścisk twych palców sprowadziły mnie z powrotem, ale tylko na



chwile. Moja dusza wciąż trzyma się ciała, lecz ta więź słabnie. Szybko — zabij mnie, zanim na zawsze uwiężą mnie w tej otchłani!

— Nie mogę! — szlochała, bijąc się w piersi.

— Szybko, nakazuję ci! — w słabnym szepcie pojawił się dawny władczy ton.

— Zawsze byłeś mi posłuszną... usłuchaj ostatniego rozkazu! Wyślij mą czystą duszę na łono Asury! Spiesz się, bo inaczej skążesz mnie na wieczny pobyt w ciele obrzydliwej poczwary!

Zabij mnie, nakazuję ci! Zabij!

Z rozpaczliwym krzykiem Yasmina wyrwała zza pasa nabijany drogimi kamieniami sztylet i zatopiła go po rękojęć w piersi brata. Król wyprężył się, a po chwili jego ciało zwiotczało; ponury uśmiech wykrzywił martwe wargi. Yasmina rzuciła się na pokrytą matami z sitowia posadzkę, tłukąc w nią zaciśniętymi pięściami. Na zewnątrz ryczały konchy i grzmiały gongi, a kapłani ranili swe ciała miedzianymi nożami.

Czunder Szan, gubernator Peszchauri, odłożył złote pióro i uważnie odczytał list, który właśnie napisał na pergaminie opatrzonym pieczęcią swego urzędu. Rządził w Peszchauri od tak dawna jedynie dzięki temu, że ważył każde słowo, zanim je wypowiedział czy napisał.

Niebezpieczeństwo rodzi rozwagę, a tylko ludzie ostrożni żyli długo w tym dzikim kraju, gdzie rozpalone równiny Vendhyi stykały się z poszarpanymi turniami Himelii. Godzina jazdy na zachód lub północ wystarczała, by przekroczyć granicę i znaleźć się w Górach, gdzie rządziło prawo pięści i noża.

Gubernator był w komnacie sam. Siedząc za bogato rzeźbionym, inkrustowanym mahoniowym stołem, widział przez szerokie, otwarte dla ochłody okno kwadrat granatowego nieba, usianego wielkimi, białymi gwiazdami. Blanki przylegającego do okna muru rysowały się ledwie widoczną, czarną linią, a dalsze strzelnice i ambrazury ginęły na tle rozgwieżdzonego nieba. Forteca gubernatora stała poza murami miasta, strzegąc wiodącej do niego drogi. Wietrzyk poruszający gobelinami przynosił z ulic Peszchauri słabe odgłosy życia — urywki jękliwej pieśni lub cichy brzęk cytry.

Gubernator powoli przeczytał to, co napisał, osłaniając dłonią oczy przed światłem mosiężnego kaganka i bezgłośnie poruszając wargami. Czytając, słyszał stuk końskich kopyt za barbakanem i ostre staccato głosu wartownika, żądającego podania hasła. Skupiony nad listem, nie zwrócił na to uwagi.

Pismo było skierowane do wazama Vendhyi na królewskim dworze w Ayodhyi i po zwyczajowych pozdrowieniach brzmiało następująco:

„Niechaj Waszej Ekscelencji będzie wiadomo, że wiernie wypełniam instrukcje Waszej Ekscelencji. Tych siedmiu górali zamknąłem w dobrze strzeżonym tutejszym więzieniu i ustawicznie ślę wieści w góry, iż oczekuję, że ich wódz przybędzie osobiście pertraktować o ich uwolnienie. Jednak on, jak do tej pory, nie uczynił żadnego posunięcia z wyjątkiem rozpowszechniania wieści, że jeżeli nie zostaną wypuszczeni, to spali Peszchauri i — proszę Waszą Ekscelencję o wybaczenie — pokryje sobie siodło moją skórą. Jest zdolny do podjęcia takiej próby, tak więc potroiłem strażę na murach. Człowiek ten nie pochodzi z Gulistanu. Nie mogę przewidzieć, co zrobi. Skoro jednak takie jest życzenie Devi...”

Gubernator zerwał się z fotela i w jednej chwili stanął przy łukowatych drzwiach. Sięgnął po zakrzywiony miecz, spoczywający w ozdobnej pochwie na stole. Zastygł w tym geście.

Osobą, która weszła tak niespodziewanie, była kobieta. Jej muślinowe szaty nie zakryły kosztownych ozdób, jak również gibkości i piękna kształtnego, smukłego ciała. Na jej falujących włosach, opasanych potrójnym warkoczem i ozdobionych złotym półksiężycem, upięta była przejrzysta woalka, opadająca poniżej piersi. Czarne oczy spojrzały zza woalu na zdumionego gubernatora, a biała dłoń stanowczym ruchem odsłoniła twarz.

— Devi!

Gubernator przyklęknął na jedno kolano, ale zdziwienie i zaskoczenie popsowały efekt tego uroczystego hołdu. Gestem nakazała mu wstać. Pospiesznie zaprowadził ją do fotela z kości słoniowej, przez cały czas pochylony w głębokim ukłonie. Jednak

jego pierwsze słowa były słowami nagany.

— Wasza Wysokość! To w najwyższym stopniu nierozsądne! Na granicy jest niespokojnie. Nieustanne napady z gór. Czy Wasza Wysokość przybyła z liczną świtą?

— Pokażny orszak towarzyszył mi do Peszchauri — odparła. — Tam zostawiłam moich ludzi i ruszyłam do fortu z dworką imieniem Gitara.

Czunder Szan jęknął ze zgrozą.

— Devi! Nie pojmujesz niebezpieczeństwa. O godzinę jazdy stąd góry roją się od barbarzyńców, którzy z morderstw i gwałtów uczynili sobie profesję. Zdarzało się, że na drodze między miastem a fortecą porywano kobiety i zabijano mężczyzn. Peszchauri to nie południowa prowincja...

— Jednak jestem tu, cała i zdrowa — przerwała mu z lekkim zniecierpliwieniem.

— Pokazałam mój sygnet strażnikowi przy bramie oraz temu, który stoi przed twoimi drzwiami; pozwolili mi wejść bez zapowiedzi, nie znając mnie, ale podejrzewając, że jestem tajnym kurierem z Ayodhyi. Nie traćmy już czasu. Masz jakieś wieści od wodza barbarzyńców?

— Żadnych prócz grózb i przekleństw, Devi. Jest ostrożny i podejrzliwy. Uważa, że to pułapka, i chyba trudno go o to winić. Kszatrijasi nie zawsze dotrzymywali obietnic składanych ludziom gór.

— On musi przyjąć moje warunki! — przerwała mu Yasmina, zaciskając pięści, aż zbieleły jej palce.

— Nie rozumiem — gubernator potrząsnął głową. — Kiedy udało mi się pojmać tych siedmiu górali, powiadomiłem o ich schwytaniu wazama, jak każe zwyczaj, i wtedy, zanim zdążyłem ich powiesić, przyszedł rozkaz, by się z tym wstrzymać i

porozumieć się z ich wodzem. Tak też uczyniłem, ale on, jak już mówiłem, zachowuje rezerwę. Ci ludzie należą do plemienia Afgulisów, ale on jest przybyszem z Zachodu i zwał go Conanem. Zagroziłem, że powieszę ich jutro o świcie, jeżeli nie przyjdzie.

— Świetnie! — wykrzyknęła Devi. — Dobrze się spisałeś. Powiem ci, dlaczego wydałam takie rozkazy. Mój brat... — powiedziała zduszonym głosem i urwała. Gubernator pochylił głowę w zwyczajowym geście szacunku dla zmarłego monarchy. — Król Vendhyi padł ofiarą czarów. Poprzysięgłam, że poświęcę życie, by ukarać jego morderców. Umierając, naprowadził mnie na ślad, za którym poszłam. Przeczytałam Księgę ze Skelos i rozmawiałam z bezimiennymi pustelnikami z jaskiń Jhelai. Dowiedziałam się, jak i przez kogo został zamordowany. Zrobili to Czarni Wróżbici z Góry Yimsha.

— Asuro! — szepnął poblady Czunder Szan.

Przeszyła go wzrokiem.

— Boisz się ich?

— Kto się ich nie obawia, Wasza Wysokość? — odparł. — To demony żyjące w bezludnych górach za przełęczą Zaibar. Jednak legendy mówią, że oni rzadko wtrącają się w sprawy zwykłych śmiertelników.

— Nie wiem, dlaczego zabili mojego brata — powiedziała — ale przysięgłam na ołtarzu Asury, że ich zniszczę! Potrzebuję pomocy górali. Bez nich kszatrijaska armia nigdy nie dotrze na Yimshę.

— Tak — mruknął Czunder Szan. — To szczerą prawdą. Musielibyśmy walczyć o każdą piędź ziemi, a górale rzucaliby na nas głązy z każdego wzniesienia i podrzynali nam gardła w każdej dolinie. Niegdyś Turańczycy przedarli się przez Himelię, lecz ilu z nich powróciło do Khurusunu? Niewielu z tych, którzy



uszli kszatrijaskim mieczom, kiedy król, twój brat, rozbił ich jazdę nad rzeką Dzumda, znów ujrzało Sekunderam.

— Zatem muszę podporządkować sobie nadgraniczne plemiona — powiedziała. — Ludzi, którzy znają drogę na Yimshę...

— Ale oni obawiają się Czarnych Wróżbitów i unikają tej przeklętej góry — przerwał jej gubernator.

— Czy ich wódz, Conan, też się boi Wróżbitów? — spytała.

— No, jeżeli o tym mowa — mruknął gubernator — to wątpię, czy istnieje coś, czego ten wcielony diabeł się boi.

— Tak też mi mówiono. A więc to on jest człowiekiem, o którego mi chodzi. Pragnie uwolnić swych siedmiu ludzi. Bardzo dobrze; ceną za to będą głowy Czarnych Wróżbitów!

Ostatnie słowa wypowiedziała głosem przepojonym nienawiścią, a jej ręce mimowolnie zacisnęły się w pięści. Stojąc z dumnie uniesioną głową i falującymi piersiami wyglądała jak uosobienie pasji.

Gubernator ponownie przyklęknął, wiedząc w swojej mądrości, że kobieta miotana taką burzą uczuć jest równie niebezpieczna dla wszystkich wokół, jak rozdrażniona kobra.

— Będzie tak, jak Wasza Wysokość sobie życzy — rzekł, a kiedy ochłonęła trochę, wstał i odważył się wypowiedzieć słowa ostrzeżenia: — Nie mogę przewidzieć, co uczyni Conan.

Górale zawsze byli niespokojni, a mam powody, by wierzyć, że turańscy emisariusze podżegają ich do napadów na nasze ziemie. Jak Wasza Wysokość wie, Turańczycy założyli na północy Sekunderam i inne miasta, chociaż górskie plemiona wciąż nie są podbite. Król Yezdigerd od dawna pożądliwie spogląda na południe i być może zamierza osiągnąć zdradą to, czego nie udało mu się dokonać siłą. Przyszło mi na myśl, że ten Conan

może być jednym z jego szpiegów.

— Zobaczymy — odparła. — Jeżeli miłuje swoich ludzi, zjawi się o świcie pod bramą, by rokować. Spędzę tę noc w fortecy. Przyjechałam do Peszchauri w przebraniu, a moją świętą ulokowałam w gospodzie, nie w pałacu. Oprócz nich tylko ty wiesz o moim przybyciu.

— Odprowadzę Waszą Wysokość na kwaterę — powiedział gubernator.

Kiedy wyszli na korytarz, skinął na stojącego przed drzwiami wartownika, który oddawszy honory ruszył za nimi. Przed gabinetem czekała też dworka, zawoalowana tak samo jak jej pani. Cała czwórka poszła szerokim, krętym korytarzem, oświetlonym płomieniami kopających pochodni. Dotarli do pomieszczeń przeznaczonych dla wizytujących notabli — głównie generałów i wicekrólów, bo dotychczas nikt z królewskiej rodziny nie zaszczylił jeszcze fortecy swą obecnością. Czunder Szan miał niepokojące wrażenie, że pomieszczenie nie jest odpowiednie dla tak wysoko postawionej osobistości jak Devi, i chociaż starała się, by w jej obecności czuł się swobodnie, był zadowolony, gdy go odprawiła. Wyszedł, kłaniając się nisko. Całą służbę, jaka była w forcie, wezwał, by zatroszczyła się o gościa i — chociaż nie zdradził, kim jest przybyła — postawił przed jej drzwiami oddział oszczepników, a wśród nich wojownika, który pilnował jego własnej komnaty. Zaaferowany, zapomniał zastąpić go innym żołnierzem.

Nie minęła długa chwila od odejścia gubernatora, gdy Yasmina przypomniała sobie o pewnej sprawie, którą chciała z nim przedyskutować. Chodziło o niejakiego Kerima Szacha, szlachcica z Iranistanu, który przed przybyciem na dwór w Ayodhyi mieszkał przez jakiś czas w Peszchauri. Niejasne

podejrzenia co do tego człowieka podsyciła jego obecność w Peszchauri. Yasmina zastanawiała się, czy Kerim Szach nie śledził jej od Ayodhyi. Będąc rzeczywiście niezwykłą Devi, nie wezwała gubernatora do siebie, lecz wyszła na korytarz i pospieszyła do jego gabinetu.

Czunder Szan wszedłszy do pokoju, zamknął drzwi i zbliżył się do stołu. Wziął list, który napisał był do wazama, i podarł go na kawałki. Zaledwie skończył, usłyszał cichy szmer na parapecie za oknem. Podniósł wzrok i na tle rozgwieżdżonego nieba dostrzegł niewyraźną sylwetkę. Do komnaty wskoczył jakiś człowiek. W świetle kaganka błysnęło długie ostrze.

— Sza! — ostrzegł go głos. — Nie rób hałasu, bo wyślę diabłu współnika!

Gubernator opuścił rękę wyciągniętą po leżący na stole miecz. Znał straszliwą szybkość górali i zręczność, z jaką posługiwali się zaibarskimi kindzałami.

Napastnik był wysokim mężczyzną, silnie zbudowanym i zwinnym zarazem. Miał na sobie strój górala, lecz jego posępne rysy i płonące niebieskie oczy nie pasowały do ubioru.

Czunder Szan nigdy nie widział kogoś takiego; intruz z pewnością nie należał do żadnej ze wschodnich ras — musiał być barbarzyńcą z dalekiego Zachodu. Jednak jego zachowanie zdradzało naturę równie dziką i nieposkromioną, jak natura długowłosych górali zamieszkujących wyżyny Gulistanu.

— Przychodzisz po nocy jak złodziej — skomentował gubernator, odzyskując trochę pewności siebie, chociaż pamiętał, że w zasięgu głosu nie ma strażników. Jednak góral nie mógł o tym wiedzieć.

— Wdrapałem się na mur bastionu — warknął intruz. — Wartownik w samą porę wystawił głowę nad blanki, tak że

mogłem w nią stuknąć rękojeścią kindżału.

— Jesteś Conan?

— A któż by inny? Wysyłałeś wieści, że chcesz, abym przybył i paktował z tobą. No więc, na Croma, przybyłem! Trzymaj się z dala od stołu albo wypruję ci flaki!

— Chcę tylko usiąść — odparł gubernator, ostrożnie opadając na fotel z kości słoniowej, który odsunął od stołu. Conan bez przerwy krążył po pokoju, podejrzliwie spoglądając w kierunku drzwi i próbując kciukiem ostrza swego metrowego kindżału. Stąpał zupełnie inaczej niż Afgulisi i nie wdając się we wschodnie subtelności, powiedział z szorstką bezpośredniością:

— Masz siedmiu moich ludzi. Odmówiłeś przyjęcia okupu, jaki zaofiarowałem. Czego, do diabła, chcesz?

— Porozmawiajmy o warunkach — odparł ostrożnie.

— Warunkach? — W głosie przybysza pojawiła się niebezpieczna, gniewna nuta. — O co ci chodzi? Czyż nie zaproponowałem ci złota?

Czunder Szan roześmiał się.

— Złota? W Peszchauri jest więcej złota, niż widziałeś na oczy.

— Jesteś kłamcą — odparował Conan. — Widziałem suk złotników w Khurusunie.

— No, więcej, niż widział ktokolwiek z Afgulisów — poprawił się Czunder Szan. — A to tylko kropla w morzu bogactw Vendhyi. Dlaczego mielibyśmy pożądać złota? Większą korzyść przyniosłoby nam powieszenie tych siedmiu złodziei.

Conan zaklął siarczyście; mięśnie jego brązowych ramion napięły się jak postronki, a długa klinga zadrżała w zaciśniętej dłoni.

— Rozłupię twoją czaszkę jak dojrzały melon!

W oczach górala pojawił się wściekły błysk, lecz gubernator

tylko wzruszył ramionami, chociaż nie odrywał oczu od lśniącego ostrza.

— Bez trudu możesz mnie zabić, a pewnie i umknąć. Jednak to nie pomoże tym siedmiu więźniom. Moi ludzie niechybnie powiesiliby ich. A przecież to naczelnicy Afgulisów.

— Wiem o tym — warknął Conan. — Całe plemię ujada na mnie jak stado wilków, że nie staram się ich uwolnić. Powiedz jasno, czego chcesz, bo — na Croma! — jeżeli nie będzie innego sposobu, skrzyknę horde i poprowadzę ją pod same bramy Peszchauri!

Widząc gniewny błysk w jego oczach, Czunder Szan nie wątpił, że ten stojący przed nim z bronią w ręku barbarzyńca jest do tego zdolny. Gubernator nie wierzył, by nawet najliczniejsza horda górali zdołała zdobyć miasto, ale wcale nie pragnął spustoszenia swej prowincji.

— Jest pewna misja, którą musisz wypełnić — powiedział, dobierając słowa tak ostrożnie, jakby to były brzytwy. — Musisz...

Conan wykrzywił wargi w wilczym grymasie; odskoczył w tył i odwrócił się twarzą do drzwi. Jego wyostrzone ucho pochwyciło cichy szmer zbliżających się kroków. W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do komnaty wkroczyła smukła postać w jedwabiach. Zamknęła drzwi za sobą i stanęła jak wryta na widok górala. Czunder Szan zerwał się z fotela; serce podeszło mu do gardła.

— Devi! — krzyknął bezwiednie, tracąc na moment głowę.

— Devi! — powtórzył jak echo barbarzyńca.

Gubernator dostrzegł błysk w oku Conana i pojął jego zamiary. Krzyknął rozpaczliwie i chwycił za miecz, lecz góral poruszał się z niszczycielską gwałtownością huraganu. Rzucił się na

gubernatora i uderzywszy ręką kindżału powalił go na podłogę, po czym muskularnym ramieniem zagarnął oniemiałą Yasminę i skoczył do okna. Czunder Szan, rozpaczliwie próbując się podnieść, przez chwilę widział go na tle nieba, wśród łopoczących jedwabnych spódnic i machających rozpaczliwie kończyn schwywanej.

— Spróbuj teraz powiesić moich ludzi! — warknął triumfalnie Conan, skoczył na blanki i zniknął. Gubernator usłyszał przeraźliwy krzyk Yasminy.

— Straż! Straż! — wrzasnął gubernator.

Wstał i słaniając się, podbiegł do drzwi. Otworzył je i wytoczył się na korytarz. Echo niesło jego krzyki po korytarzach, sprowadzając wojowników, którzy wytrzeszczali oczy na widok gubernatora trzymającego się za rozbitą, zakrwawioną głowę.

— Wyprowadzić jazdę! — ryczał. — Porwanie!

Mimo przerażenia pozostało mu jeszcze dość rozsądku, by nie wyjawiać całej prawdy. Stał jak wryty, słysząc tętent kopyt za oknem, rozpaczliwe wrzaski dziewczyny i triumfalny okrzyk barbarzyńcy.

Pognał schodami w dół, a za nim pobiegli zdumieni strażnicy. Na fortecznym dziedzińcu zawsze stacjonował oddział jazdy, w każdej chwili gotowych wyruszyć w pole. Czunder Szan osobiście poprowadził szwadron w pościg za zbiegiem, chociaż w głowie kręciło mu się tak mocno, że musiał oburącz trzymać się łęku siodła. Nie zdradził, kim była porwana, powiedział jedynie, że szlachcianka nosząca królewski sygnet została uprowadzona przez wodza Afgulisów. Wprawdzie porywacz zniknął im z oczu razem ze swoją ofiarą, wiedzieli jednak, którądy pojedzie — drogą wiodącą wprost do wylotu doliny Zaibar. Noc była bezksiężycowa; przyćmione światło gwiazd ukazywało stojące

wzdłuż drogi chaty wieśniaków. Czarne kontury fortecznych bastionów i wież Peszchauri zostały za plecami jadących. Daleko przed nimi wznosiły się czarne ściany gór Himelii.

W rozgardiaszu, jaki zapanował w fortecy, gdy strażników wezwano do broni, nikt nie zauważył, że towarzysząca Devi dworka wyslizgnęła się przez wielką bramę i zniknęła w ciemnościach. Podkasawszy wysoko spódnice pobiegła do miasta. Nie podążyła drogą, lecz na skróty, przez pola i pagórki, omijając płoty i przeskakując przez rowy irygacyjne z wprawą wyćwiczonego biegacza. Zanim dotarła do murów Peszchauri, tętent koni pościgu ucichł za wzgórzami. Dziewczyna nie podeszła do wielkich wrót, przy których oparciu na włóczniech wartownicy wyteżali wzrok, wpatrując się w ciemność i zastanawiając się nad przyczyną panującego w forcie zamieszania. Poszła wzdłuż muru, aż dotarła do miejsca, z którego mogła zobaczyć wznoszącą się nad blankami wieżę. Wtedy przytknęła dłonie do ust i wydała cichy, niesamowity i dziwnie przenikliwy okrzyk.

Prawie natychmiast zza ambrazury wychyliła się czyjaś głowa i spuszczonego lina zakołysała się na murze. Dziewczyna złapała sznur, włożyła nogę w pętlę, na końcu pomachała ręką.

Szybko i gładko wciągnięto ją na pionową, kamienną ścianę. Już po chwili wgramoliła się na blanki i stanęła na płaskim dachu domu zbudowanego przy murze otaczającym Peszchauri.

Przy otwartej klapie mężczyzna w todze z wielbłądziej wełny spokojnie zwijał linę, niczym nie okazując, by wciągnięcie dorosłej kobiety na piętnastometrową ścianę przyszło mu z trudem.



— Gdzie Kerim Szach? — wysapała, zdyszana po długim biegu.

— Śpi na dole. Przynosisz wieści?

— Conan porwał Devi z fortecy i zabrał ją w góry! — wypaliła, niemal połykając słowa w pośpiechu.

Twarz Khemсы nie zdradzała żadnych uczuć; kiwnął tylko owiniętą turbanem głową i powiedział:

— Kerim Szach będzie zadowolony, kiedy się o tym dowie.

— Czekał! — Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję. Dyszała ciężko, nie tylko z wysiłku.

Jej oczy płonęły w mroku jak dwa czarne diamenty. Uniesioną w górę twarz przysunęła do twarzy Khemсы, który wprawdzie przyjął jej uścisk, ale nie odwzajemnił go.

— Nie mów nic Hyrkańczykowi! — wysapała. — Wykorzystajmy tę wiadomość dla siebie! Gubernator i jego ludzie pojechali w góry, ale równie dobrze mogliby ścigać ducha.

Czunder Szan nie powiedział nikomu, że to Devi została porwana. Oprócz nas nikt w Peszchauri i w forcie o tym nie wie.

— Jaki z tego pożytek dla nas? — rozważał mężczyzna. — Moi panowie wysłali mnie z Kerimem Szachem, abym dopomagał mu w każdy...

— Dopomóż sobie! — krzyknęła z pasją. — Zrzuć to jarzmo!

— Chcesz powiedzieć... Mam okazać nieposłuszeństwo moim panom? — wyjąkał i przytulona do niego dziewczyna poczuła, że zimny dreszcz wstrząsa całym jego ciałem.

— Tak! — potrząsnęła nim wściekle. — Ty też jesteś czarodziejem! Dlaczego masz być niewolnikiem, używać swej mocy tylko po to, by wynosić innych? Użyj swej sztuki dla siebie!

— Nie wolno mi! — Khemsa dygotał jak w febrze. — Nie należę do Czarnego Kręgu.

Tylko na rozkaz moich panów ośmielam się korzystać z

wiedzy, jaką dzięki nim posiadm.

— Ale mozesz ją wykorzysta! — przekonywała go namiętnie.  
— Zrób, o co proszę! To oczywiste, że Conan porwał Devi, aby trzymać ją jako zakładniczkę i wymienić na siedmiu naczelników uwięzionych przez gubernatora. Zabij ich, żeby Czunder Szan nie mógł posłużyć się nimi do wykupienia Devi. Potem udamy się w góry i odbierzemy ją Afgulisom. Noże nie pomogą im przeciw twoim czarom. Weźmiemy okup; skarby vendhyańskich królów będą nasze, a kiedy będziemy je mieli, okpimy Kszatrijasów i sprzedamy Devi królowi Turanu.

Będziemy bogatsi niż w najsmielszych marzeniach! Będziemy mogli opłacić wojowników. Zajmiemy Korbul, wypędzimy Turańczyków z gór i wyślemy nasze wojska na południe.

Zostaniemy władcami imperium!

Khemsa też zaczął dyszeć, trzęsąc się jak liść w jej uścisku; wielkie krople potu spływały mu po poszarzałej twarzy.

— Kocham cię! — krzyknęła dziko, wijąc się w jego ramionach, ściskając go mocno i gwałtownie nim potrząsając. — Uczynię cię królem! Z miłości do ciebie zdradziłam swoją panią — ty z miłości do mnie zdradz swoich mistrzów! Czemu obawiasz się Czarnych Wróżbitów? Kochając mnie, już złamałeś jedno z ich praw! Złam pozostałe! Jesteś równie potężny jak oni!

Nawet człowiek z lodu nie wytrzymałby żaru namiętności 1 pasji bijącego z jej ust. Z nieartykułowanym okrzykiem Khemsa przycisnął dziewczynę do siebie, odchylając jej głowę w tył i zasypując gradem pocałunków.

— Zrobię to! — powiedział ochrypłym z emocji głosem. Chwiał się jak pijany. — Moc, którą obdarzyli mnie moi mistrzowie, posłuży mnie, nie im! Będziemy władać światem...

— Chodź więc! — uwolniwszy się delikatnie z jego objęć,

złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku otworu w dachu. — Najpierw musimy się upewnić, że gubernator nie wymieni tych siedmiu Afgulisów na Devi.

Khemsa poszedł za nią jak w transie; zeszli po drabinie i znaleźli się w niewielkiej komnacie. Kerim Szach leżał nieruchomo na łożu, osłaniając twarz zgiętym ramieniem, jakby raziło go łagodne światło mosiężnej lampy. Dziewczyna złapała Khemse za rękę i szybkim gestem przesunęła dłoń po swojej szyi. Khemsa uniósł dłoń, lecz zaraz wyraz jego twarzy zmienił się. Potrząsnął głową.

— Jadłem jego sól — mruknął. — Poza tym on nam nie może przeszkodzić.

Wyszedł z dziewczyną przez drzwi prowadzące na wąskie, kręte schody. Gdy lekkie kroki ucichły, Kerim Szach podniósł się z łoża. Otarł pot z czoła. Nie lękałby się pchnięcia nożem, ale Khemsa bał się jak jadowitego gada.

— Ludzie spiskujący na dachach powinni pamiętać o ściszeniu głosu — mruknął. — Khemsa zwrócił się przeciw swoim panom, a ponieważ tylko przez niego mogłem się z nimi porozumiewać, nie mogę już liczyć na ich pomoc. Od tej pory będę działał na własną rękę.

Wstał, szybko podszedł do stołu, wyjął z za pasa pióro i pergamin, po czym skreślił kilka zwięzłych zdań: Do Kosru Chana, gubernatora Sekunderamu: Cymeryjczyk Conan porwał Devi Yasminę do wioski Afgulisów. Nadarza się sposobność schwytania Devi, czego od tak dawna pragnie król. Wyślij natychmiast trzy tysiące jezdnych. Będę ich oczekiwał z przewodnikami w dolinie Guraszach.

Skończywszy podpisał list nazwiskiem, które nawet nie przypominało nazwiska Kerim Szach. Potem wyjął ze złotej

klatki gołębia i cienkim drutem umocował mu do nogi zwinięty w małej tulejce pergamin. Następnie podszedł szybko do okna i wypuścił ptaka w noc.

Gołąb zatrzepotał skrzydłami, złapał równowagę i zniknął w mroku jak śmigły cień. Chwyciwszy płaszcz, hełm i miecz, Kerim Szach wypadł z komnaty i zbiegł po krętych schodach. Budynek więzienia w Peszchauri był odgradzony od reszty miasta potężnym murem, za który prowadziły tylko jedne, osadzone w łukowatym portalu i okute żelazem wrota. W zawieszonym nad portalem kagańcu płonęły smolne szczapy, a przy drzwiach siedział w kucki wartownik z tarczą i oszczepem, opierając czoło o drzewce swej broni i poziewując od czasu do czasu.

Nagle strażnik zerwał się na równe nogi. Dałby głowę, że nawet nie zmrużył oka, a jednak stanął przed nim człowiek, którego nadejścia nie zauważył. Mężczyzna ten miał na sobie togę z wielbłądziej wełny i zielony turban. Migotliwe światło pochodni rzucało na jego twarz cienie, w których jarzyła się para dziwnie błyszczących oczu.

— Kto tam? — spytał wartownik, nastawiając włócznię. — Kim jesteś?

Przybysz nie okazywał zmieszania, chociaż grot oszczepu dotknął jego piersi. Z niezwykłą intensywnością wpatrywał się w wojownika.

— Co masz robić? — spytał nagle.

— Strzec bramy! — odparł mechanicznie wartownik zduszonym głosem; stał bez ruchu jak posąg, a jego spojrzenie stało się szkliste i nieobecne.

— Kłamiesz! Masz słuchać mnie! Popatrzylesz mi w oczy i twoja dusza już nie należy do ciebie. Otwórz te drzwi!

Sztywno, z twarzą zastygłą w grymasie zdziwienia, strażnik

odwrócił się, wydobył zza pasa wielki klucz, przekręcił go w olbrzymim zamku i szeroko otworzył bramę. Później stanął na bacność, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Z cienia wysunęła się kobieta i niecierpliwie położyła rękę na ramieniu hipnotyzera.

— Każ mu, by przyprowadził nam konie, Khemsa — szepnęła.

— Nie ma potrzeby — odparł Khemsa. Podnosząc nieznacznie głos powiedział do wartownika: — Spełniłeś swe zadanie! Zabij się!

Wojownik jak w transie oparł koniec włóczni o ziemię tuż przy ścianie i przytknął wąski grot do swego brzucha, poniżej żeber. Wolno, flegmatycznie opadł na nią całym ciężarem, tak że ostrze przeszło na wylot i wyszło mu między łopatkami. Ciało ześliznęło się po drzewcu i legło spokojnie, z włócznią sterczącą wysoko w górę, jak łodyga jakiegoś straszliwego drzewa.

Dziewczyna patrzyła na to z posępną fascynacją, aż Khemsa chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Pochodnie oświetlały wąską przestrzeń między murem zewnętrznym i wewnętrznym, który był niższy i zaopatrzony w szereg nieregularnie rozmieszczonych drzwi.

Patrolujący ten teren wojownik podszedł wolnym krokiem do otwierającej się bramy, czując się tak bezpiecznie, że niczego nie podejrzewał do chwili, gdy Khemsa i dziewczyna wyłonili się z przejścia. Wtedy było już za późno. Khemsa nie tracił czasu na hipnotyzowanie ofiary, ale jego towarzysze i tak wydawało się, że jest świadkiem czarów. Strażnik groźnie zamierzył się włócznią i otworzył usta do ostrzegawczego krzyku, który ściągnąłby rój oszczepników z wartowni, lecz Khemsa lewą ręką odbił drzewce w bok jak słomkę, a jego prawa ręka zatoczyła krótki łuk, jakby mimochodem muskając szyję wojownika.

Strażnik runął ze złamanym karkiem na bruk, nie wydawszy nawet jęku.

Khemsa nie zwracał już na niego uwagi. Podszedł do pierwszych z brzegu drzwi i oparł otwartą dłoń o masywny zamek z brązu. Drzwi ustąpiły z rozdzierającym uszy trzaskiem.

Idąca za Khemsa dziewczyna zobaczyła, że grube, tekowe drewno poszło w drzazgi, brązowe rygle zostały wygięte i wyrwane z gniazd, a wielkie zawiasy są złamane i wykrzywione.

Czterdziestu mężczyzn uderzających półtonowym taranem nie spowodowałoby większego zniszczenia. Pijany wolnością Khemsa korzystał ze swej mocy, ciesząc się nią i nadużywając jej, jak młody olbrzym z niepotrzebnym wigorem wykorzystuje siłę swoich mięśni w ryzykownych wyczynach. Wyłamane drzwi prowadziły na mały dziedziniec, oświetlony blaskiem pochodni. Naprzeciw zobaczyli grubą kratę z żelaznych prętów. Dostrzegli zaciśniętą na kracie owłosioną dłoń i białka błyszczących w ciemności oczu.

Khemsa przez chwilę stał bez ruchu, spoglądając w mrok, z którego odpowiadało mu spojrzenie pałających źrenic. Później sięgnął za pazuchę i sypnął na bruk garść lśniącego i skrzącego się pyłu. Buchnął zielony ogień, oświetlając dziedziniec. Błysk ukazał sylwetki siedmiu ludzi stojących nieruchomo za kratą, uwidaczniając każdy szczegół ich obszarpanych góralskich strojów i orle rysy zarośniętych twarzy. Żaden nie odezwał się, ale w oczach mieli lęk i owłosionymi rękami mocno ściskali pręty.

Ogień zgasł, ale blask pozostał; drżąca kula lśniącej zieleni, pulsująca i drgająca na kamieniach u stóp Khemsy. Więźniowie nie mogli oderwać od niej oczu. Kula wydłużyła się z wolna, zmieniła się w spiralę jasno świecącego, zielonkawego dymu,

który wił się i skręcał jak olbrzymia zmija rozprostowująca błyszczące, falujące sploty. Ta wstęga nagle przekształciła się w obłok cicho sunący po bruku — prosto w kierunku kraty. Więźniowie patrzyli na to szeroko otwartymi ze strachu oczami, pręty drżały w rozpaczliwym uścisku ich palców. Z rozchylonych ust górali nie wydobył się żaden dźwięk. Zielona chmura dotarła do kraty, kryjąc ją przed wzrokiem dziewczyny. Jak mgła przesączyła się przez pręty i spowiła górali. Z gęstych kłębow dobiegł zduszony jęk, jakby pogrążającego się w wodzie człowieka. To było wszystko.

Khemsa dotknął ramienia dziewczyny, patrzącej na to szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Odwróciła się i mechanicznie poszła za nim, oglądając się jeszcze przez ramię. Opar już rzedniał; tuż przy kracie widać było parę obutych w sandały stóp, skierowanych w górę, a także niewyraźne zarysy siedmiu nieruchomych, bezładnie rozrzuconych ciał.

— A teraz dosiędziemy wierzchowca szybszego od każdego z koni wyhodowanych w stajniach śmiertelników — rzekł Khemsa.  
— Będziemy w Afgulistanie przed świtem.

Devi Yasmina nigdy nie mogła sobie przypomnieć szczegółów swego porwania. Zaskoczenie i szybkość, z jaką potoczyły się wydarzenia, oszołomiły ją; tylko oderwane wrażenia utkwily jej w pamięci: obezwładniający uścisk potężnego ramienia, płonące oczy porywacza i jego gorący oddech palący jej szyję. Skok przez okno na blanki, szaleńcza ucieczka po murach i dachach, kiedy sparaliżował ją lęk przed upadkiem, później zuchwałe ześlizgnięcie się po linie przywiązanej do angułu (porywacz opuścił się po niej błyskawicznie, trzymając ofiarę bezwładnie przewieszoną przez ramię) — wszystko to pozostawiło w pamięci Devi tylko niewyraźny ślad. Nieco lepiej pamiętała szybki bieg niosącego ją z dziecinną łatwością człowieka, cień drzew i skok na siodło dziko rżącego i parskającego bałkańskiego ogiera. Później szalony pęd i łomot kopyt krzeszących iskry na kamiennej drodze wiodącej przez wzgórza.

Gdy odzyskała jasność myśli, pierwszym jej uczuciem była szalona wściekłość i wstyd. Była przerażona. Władcy złotych królestw na południe od Himelii byli uważani nieomal za bogów; a ona przecież była Devi Vendhya! Niepohamowany gniew przytłumił strach. Krzyknęła dziko i zaczęła się wyrывać. Ona, Yasmina, przerzucona przez lęk siodła góralskiego naczelnika jak zwykła dziewczka z targowiska! Conan tylko nieco mocniej zacisnął żylaste ramiona i Yasmina po raz pierwszy w życiu została siłą zmuszona do posłuszeństwa.

Jego ręce otaczały żelaznym uściskiem kibić dziewczyny.



Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko. W świetle gwiazd błysnęły białe zęby. Luźno puszczone wodze leżały na powiewającej grzywie ogiera, który mknął po usianym głazami szlaku, napinając wszystkie mięśnie i ścięgna z wysiłku. Jednak Conan bez trudu, niemal niedbale, utrzymywał się w siodle, jadąc jak centaur.

— Psie! — wykrztusiła. — Zapłacisz za to głową! Dokąd mnie wieziesz?

— Do wiosek Afgulisów — odparł, oglądając się przez ramię.

W dali, za wzgórzami, przez które przejechali, na murach fortecy migotały płomyki pochodni; dostrzegł też błysk światła świadczący o tym, że otwarto wielką bramę. Conan wybuchnął gromkim śmiechem, huczącym jak górski potok.

— Gubernator wysłał za nami jeźdźców — rzekł z rozbawieniem. — Na Croma, zabierzemy go na miłą przejażdżkę! Jak myślisz, Devi, chyba wymienią siedmiu górali za kszatrijaską księżniczkę?

— Raczej wyślą armię, by powiesić cię razem z twoim diabelskim pomiotem — obiecała mu z przekonaniem.

Zaśmiał się serdecznie i przycisnął ją mocniej do siebie, sadzając w wygodniejszej pozycji. Jednak Yasmina uznała to za nową zniewagę i wznowiła daremne szamotania, dopóki nie stwierdziła, że to go tylko rozśmiesza. Ponadto wskutek szamotaniny jej zwiewne, łopoczące na wietrze jedwabne szaty były w okropnym nieładzie. Doszła do wniosku, że godniej będzie zachować wyniosłą powagę i pogrążyła się w gniewnym milczeniu.

Jednak podziw zajął miejsce gniewu, kiedy dotarli do wylotu doliny Zaibar, ziejącego niczym wyrwa w jeszcze ciemniejszych ścianach skalnych, które zagrodziły im drogę jak kolosalne

szańce. Wydawało się, że jakiś gigantyczny nóż wyciął to przejście w litej skale. Po obu stronach wznosiły się na setki metrów strome zbocza, kryjąc wylot doliny w głębokim cieniu. Nawet Conan niewiele mógł dostrzec w tych ciemnościach, lecz wiedząc, że ścigają go jeźdźcy z fortu, i znając drogę na pamięć, nie wstrzymywał konia. Wielkie zwierzę nie zdradzało jeszcze oznak zmęczenia. Przemknęli jak błyskawica drogą biegnącą dnem doliny, wspięli się na stok i przebyli niską grań, po której obu stronach zdradliwe łupki czyhały na nieostrożny krok, po czym wypadli na szlak ciągnący się wzdłuż lewej ściany wąwozu.

W gęstym mroku nawet Conan nie mógł dostrzec zasadzki zastawionej przez zaibarskich górali. Właśnie przejeżdżał obok ciemnego wylotu jednego z bocznych parowów, gdy w powietrzu świsnął oszczep i z głuchym stuknięciem wbił się w bok galopującego rumaka.

Wielki ogier zarżał przeraźliwie, potknął się i w pełnym biegu runął na ziemię. Jednak Conan spostrzegł lecący oszczep i zareagował z szybkością błyskawicy.

Zeskoczył z padającego konia, trzymając dziewczynę w ramionach, by nie poraniła się o głazy. Spadł na nogi jak kot, wepchnął brankę w rozpadlinę i odwrócił się, wyciągając kindżał.

Yasmina, zbita z tropu gwałtownością wydarzeń, nie wiedząc nawet, co się właściwie stało, zobaczyła niewyraźny kształt wyłaniający się z ciemności, usłyszała tupot bosych nóg na skale i szmer ocierających się o ciało łachmanów. Dostrzegła błysk stali, krótką wymianę ciosów i w mroku rozległ się ohydny chrzęst, gdy kindżał Conana rozłupał czaszkę przeciwnika.

Cymeryjczyk odskoczył i przyczaił się pod osłoną skal. W mroku dało się słyszeć jakieś poruszenie i nagle stentorowy głos

ryknął:

— Cóż to, psy? Chcecie umknąć? Naprzód, przekłęci! Brać ich!

Conan drgnął, spojrział w ciemność i krzyknął:

— Czy to ty, Yar Afzalu?

Usłyszeli okrzyk zdumienia i ciche pytanie:

— Conan? To ty?

— Tak! — zaśmiał się Cymeryjczyk. — Chodź tu, stary zbójcu. Zabiłem jednego z twoich ludzi.

Wśród skał wszczęło się zamieszanie, zamigotał płomyk, urósł w jasny płomień pochodni i zbliżył się do nich, migocząc. W miarę jak się zbliżał, z ciemności wyłaniała się brodata twarz. Człowiek trzymający pochodnię podniósł ją wysoko i wyciągnął szyję, wpatrując się w labirynt gładów; w drugiej ręce dzierżył wielki, zakrzywiony talwar. Conan wysunął się naprzód, chowając swój kindżał, a nieznajomy zobaczywszy go ryknął radośnie.

— Tak, to Conan! Wyjdźcie z za skał, psy! To Conan!

W kręgu wątego światła pojawili się inni: dzicy, obszarpani, brodaci mężczyźni o ponurych spojrzeniach, z długimi nożami w dłoniach. Nie spostrzegli Yasminy, bo Cymeryjczyk zasłaniał ją swym potężnym ciałem. Zerkająca z za tej osłony dziewczyna po raz pierwszy tej nocy poczuła lodowaty dreszcz strachu. Ci mężczyźni byli bardziej podobni do wilków niż do ludzi.

— Na co tak polujesz nocą, Yar Afzalu? — pytał Conan tęgiego wodza, który wyszczerzył zęby jak brodaty upiór.

— Kto wie, co się może trafić po zmroku? My, Wazulisi, jesteśmy ptakami nocy. A co z tobą, Conanie?

— Mam branke — odparł Cymeryjczyk i odsuwając się na bok, odsłonił skuloną Devi.

Sięgnąwszy długim ramieniem w rozpadlinę wyciągnął drżącą

Vendhyankę.

Yasmina straciła swą wyniosłą pozę. Bojaźliwie spoglądając na otaczający ją krąg brodatych twarzy, czuła coś na kształt wdzięczności wobec człowieka, który obejmował ją gestem właściciela. Ktoś przysunął pochodnię bliżej i dały się słyszeć głośne sapnięcia, gdy na widok dziewczyny góralom zaparło dech w piersiach.

— To moja branka — ostrzegł Conan, spoglądając znacząco na człowieka, którego zabił, leżącego tuż za kręgiem światła. — Jechałem z nią do Afgulistanu, ale zabiliście mi konia, a Kszatrijasi są tuż za mną.

— Jedź z nami do mojej wioski — zaproponował Yar Afzal. — W wąwozie mamy ukryte konie. Nie zdołają nas wytropić w ciemnościach. Mówisz, że są tuż za wami?

— Tak blisko, że słyszę już stuk kopyt na kamieniach — odparł ponuro Conan.

Wazulisi nie tracili czasu; natychmiast zgaszono pochodnię i obszarpane postacie wtopiły się w mrok. Conan porwał Devi w ramiona; nie opierała się. Ostre kamienie raniły jej delikatne, obute w miękkie pantofelki stopy; czuła się słaba i bezbronna wśród głębokich ciemności panujących pod tymi kolosalnymi, poszarpanymi turniami.

Czując, jak dygocze w zimnych podmuchach jęczącego w wąwozie wiatru, Conan zerwał z ramion wystrzępiony płaszcz i owinął nim dziewczynę. Jednocześnie ostrzegawczo syknął jej do ucha, nakazując milczenie. Wprawdzie nie słyszała cichego stukotu kopyt, który pochwyliły czułe uszy górali, lecz była zbyt wystraszona, by nie usłuchać.

Nie widziała niczego, prócz kilku zamglonych gwiazd wysoko w górze, ale po gęstniejącym mroku poznała, że znaleźli się w

ciasnym parowie. Usłyszała jakieś szmery, niespokojne poruszenia koni. Po krótkiej wymianie zdań Conan dosiadł wierzchowca wojownika, którego zabił. Podniósł dziewczynę i posadził ją przed sobą. Cicho jak zjawy całą bandę wyjechali z wąwozu. Za nimi na szlaku pozostał martwy koń i zabity mężczyzna, których pół godziny później znaleźli jeźdźcy z fortu. Rozpoznali w wojowniku Wazulisa i wyciągnęli odpowiednie wnioski.

Wtulona w ramiona swego porywacza Yasmina nie mogła opanować senności. Mimo nierówności drogi, wznoszącej się i opadającej na przemian, konna jazda miała pewien rytm, który w połączeniu ze zmęczeniem i oszołomieniem spowodowanym nadmiarem wrażeń sprowadzał nieprzewyciężoną potrzebę snu. Yasmina zupełnie straciła poczucie czasu i kierunku. Jechali w kompletnych ciemnościach, w których od czasu do czasu dostrzegała niewyraźne zarysy gigantycznych ścian skalnych, wznoszących się niczym czarne bastiony lub wielkie turnie sięgające gwiazd; czasem wyczuwała pustkę ziejących w dole przepaści i przenikał ją lodowaty podmuch wiejącego wśród niebotycznych szczytów wiatru. Stopniowo wszystko okrył miękki opar snu, tak że stuk końskich kopyt i chrzęst uprzęży wydawały się nierealnymi odgłosami z sennych majaków.

Yasmina z trudem uświadomiła sobie, że ktoś ją ściąga z konia i wnosi po schodach.

Później położono ją na czymś miękkim i szeleszczącym, podłożono coś — chyba zwinięty płaszcz — pod głowę i troskliwie otulono szatą, którą przedtem owinął ją Conan. Usłyszała śmiech Yar Afzala.

— To cenna zdobycz, Conanie. Godna wodza Afgulisów.

— Ale nie wziąłem jej dla siebie — padła burkliwa odpowiedź.

Za tę dziewczkę wykupię z więzienia moich siedmiu naczelników, niech ich diabli!

To były ostatnie słowa, jakie usłyszała, nim zapadła w głęboki sen. Spała, gdy zbrojni jeźdźcy przemierzali pogrążone w mroku góry i ważyły się losy królestwa. Tej nocy mroczne wąwozy i parowy rozbrzmiewały brzękiem podków galopujących rumaków, światła gwiazd odbijały się w hełmach i zakrzywionych ostrzach, a niesamowite stwory nawiedzające poszarpane szczyty wyglądały zza skał, nie wiedząc, co się dzieje. Kilka takich widmowych postaci na wychudłych koniach przyczało się w

nieprzeniknionych ciemnościach parowu, czekając, aż tętent kopyt ucichnie w dali. Ich przywódca, dobrze zbudowany mężczyzna w hełmie i przetykanym złotem płaszczu, ostrzegawczo podniósł w górę dłoń, trzymając ją tak, dopóki jeźdźcy nie przejechali. Później zaśmiał się cicho.

— Musieli zgubić ślad! Albo dowiedzieli się, że Conan dotarł już do wiosek Afgulisów.

Będzie potrzeba wielu jeźdźców, by wykurzyć go z tej lisiej nory. O świcie pojawi się tu wiele szwadronów.

— Jeśli będzie wałka, będą też łupy — mruknął ktoś za jego plecami, mówiąc dialektem irakzajskim.

— Będą łupy — odparł człowiek w hełmie — lecz najpierw musimy dotrzeć do Doliny Guraszah i poczekać na jazdę, która jeszcze przed świtem wyruszy z Sekunderamu.

Spiął konia i wyjechał z parowu, a jego ludzie ruszyli w ślad za nim jak trzydzieści obszarpanych zjaw.

Kiedy Yasmina obudziła się, słońce było już wysoko na niebie. Dziewczyna pozostała na posłaniu, tocząc pustym spojrzeniem i zastanawiając się, gdzie jest. Zbudziła się w pełni świadoma tego, co się stało. Wszystkie kości bolały ją od długiej jazdy, a jej jędrne ciało wciąż jeszcze odczuwało uścisk muskularnego ramienia mężczyzny, który uwiózł ją tak daleko.

Leżała na owczej skórze przykrywającej barłóg z liści rzuconych na podłogę z mocno udeptanej gliny. Pod głową miała zwinięty kozuch, a okrywał ją wystrzępiony płaszcz.

Znajdowała się w dużym pomieszczeniu o nierównych, lecz grubych ścianach z nie ociosanych gładów spojonych wysuszonym na słońcu błotem. Potężne belki podtrzymywały taki sam sufit, w którym zauważyła zasłonięty kłapą właz. W grubych ścianach nie było okien, tylko wąskie strzelnice. Były jedne drzwi: solidna płyta z brązu, niewątpliwie zrabowana z jakiejś vendhyańskiej wieży strażniczej. Naprzeciw nich widniał szeroki otwór, zamknięty kilkoma mocnymi, drewnianymi prętami. Za nimi Yasmina ujrzała wspaniałego czarnego ogiera przeżuwającego suche siano. Budynek służył za fortecę, mieszkanie i stajnię jednocześnie.

W drugim końcu pomieszczenia dziewczyna w kaftanie i workowatych góralskich spodniach kucnęła przy małym ognisku, smażąc paski mięsa na żelaznym ruszcie opartym na kamieniach paleniska. Niewysoko nad podłogą w suficie był okopcony otwór, przez który uchodziła część dymu. Reszta

unosila się niebieskawymi pasemkami w komnacie.

Góralka zerknęła przez ramię na Yasmine, ukazując twarz o śmiałych, urodziwych rysach, po czym wróciła do swego zajęcia. Na zewnątrz dały się słyszeć męskie głosy i po chwili do chaty wszedł Conan, otworzywszy kopniakiem drzwi. Światło poranka opromieniło jego olbrzymią postać i Yasmina dostrzegła kilka szczegółów, których nie mogła zauważyć w nocy. Jego odzież była czysta i nie podarta. Szerokiego pasa, za którym tkwił kindżał w ozdobnej pochwie, nie powstydzilby się książę, a rozchyłona koszula ukazywała stal turańskiej kolczugi.

— Twoja branka obudziła się, Conanie — powiedziała Wazuliska.

Cymeryjczyk mruknął coś pod nosem, podszedł do ognia i zgarnął paski baraniny na kamienny talerz. Przykucnięta nad ogniskiem góralka uśmiechnęła się do niego i rzuciła jakiś soczysty dowcip, na co on odpowiedział wyszczerzeniem zębów i zaczepiwszy nogą o jej biodro wywrócił dziewczynę na ziemię. Wyglądało na to, że te niewybredne żarty sprawiają Wazulisce przyjemność, ale Conan nie zwracał już na nią uwagi. Wydobywszy skądś wielką pajdę chleba i miedziany dzban z winem, zaniósł wszystko Yasmine, która podniosła się z posłania i spojrzała na niego ze zdumieniem.

— To kiepski wikt, jak na Devi, dziewczyno, ale lepszego nie mamy — mruknął. — W każdym razie napełni ci żołądek.

Postawił miskę na ziemi i nagle Yasmina poczuła, że jest okropnie głodna. Bez słowa usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i postawiwszy miskę na podołku zaczęła jeść palcami, które musiały jej teraz zastąpić sztućce. Mimo wszystko umiejętność przystosowania się to jedna z cech prawdziwego arystokraty. Conan stał z rękami założonymi za pas, patrząc na



nią z góry. Nigdy nie siadał na wschodni sposób, ze skrzyżowanymi nogami.

— Gdzie jestem? — spytała nagle.

— W chacie Yar Afzala, wodza Kurum–Wazulisów — odparł. — Afgulistan leży dobre parę mil na zachód stąd. Zostaniemy tu przez jakiś czas. Kszatrijasi przeczesują góry, szukając cię; górale wyróżnęli już kilka oddziałków.

— Co zamierzasz? — spytała.

— Zatrzymać cię, aż Czunder Szan zgodzi się wypuścić moich siedmiu bydłokradów — mruknął. — Kobiety Wazulisów wyciskają atrament z liści szoki i już niedługo będziesz mogła napisać list do gubernatora.

Nagły przypływ gniewu wstrząsnął Yasminą, gdy pomyślała o złośliwym kaprysie losu, który sprawił, że jej plany obróciły się wniwecz, i uczynił ją więźniem tego właśnie człowieka, którego zamierzała pochwycić w sieć swych intryg. Odrzuciła miskę z resztkami posiłku i zerwała się na równe nogi, zaciskając zęby ze złości.

— Nie napiszę żadnego listu! Jeśli nie odwieziesz mnie z powrotem, powieszą twoich siedmiu ludzi i jeszcze tysiąc innych!

Wazuliska parsknęła drwiącym śmiechem, a Conan zmarszczył groźnie brwi; wtedy otworzyły się drzwi i wmaszerował Yar Afzal. Wódz Wazulisów był równie wysoki jak Conan i potężniejszej postury, ale przy muskularnym Cymeryjczyku wydawał się tłusty i nieruchawy. Pogładził rudawą brodę i spojrzał znacząco na góralkę, która niezwłocznie wstała i opuściła chatę. Yar Afzal zwrócił się do kompana:

— Te przekłete psy szemrzą, Conanie — rzekł. — Chcą, żebym cię zabił i wziął okup za dziewczynę. Mówią, że to szlachcianka, co każdy może poznać po jej stroju. Pytają, czemu afguliskie psy

mają skorzystać, jeżeli to my ryzykujemy, chowając ją w naszej wiosce?

— Pożycz mi konia — rzekł Conan. — Wezmę ją i odjadę.

— Phi! — prychnął Yar Afzal. — Myślisz, że nie potrafię utrzymać w ryzach moich ludzi?

Każę im tańczyć w samych koszulach, jeśli mnie zdenerwują. Nie kochają cię, to prawda — tak samo jak wszystkich cudzoziemców — ale ja dobrze pamiętam, że kiedyś uratowałeś mi życie. Chodźmy do nich, Conanie — właśnie wrócił zwiadowca.

Conan podciągnął pas i wyszedł z wodzem na zewnątrz. Zamknęli drzwi za sobą. Yasmina zerknęła przez strzelnicę. Zobaczyła otwartą przestrzeń oraz rząd chat z kamieni i błota, nagie dzieci bawiące się wśród głazów i wysokie, smukłe góralki zajęte swoimi obowiązkami.

Tuż przed chatą wodza ujrzała krąg silnie zarośniętych, obszarpanych mężczyzn, siedzących na ziemi i twarzami zwróconych do drzwi. Kilka metrów przed nimi stał Conan z Yar Afzałem, słuchając siedzącego ze skrzyżowanymi nogami mężczyzny. Wojownik mówił do wodza chrapliwym, wazuliskim dialektem, który Yasmina z trudem mogła zrozumieć, chociaż częścią edukacji, jaką odebrała, była nauka języków Iranistanu i pokrewnych dialektów gulistańskich.

Rozmawiałem z Dagozaninem, który zeszłej nocy widział gromadę jeźdźców — rzekł zwiadowca. — Czaił się w pobliżu miejsca, gdzie wódz Conan natknął się na naszą zasadzkę.

Dagozanin słyszał, co mówili przejeżdżający. Był wśród nich Czunder Szan. Znaleźli zabitego konia i jeden z żołnierzy rozpoznał, że to wierzchowiec Conana. Znaleźli też trupa wazuliskiego wojownika. Doszli do wniosku, że Wazulisi zabili

Conana i porwali dziewczynę, tak więc porzucili zamiar ścigania go do Afgulistanu. Jednak nie wiedzieli, z której wioski pochodził martwy wojownik, a my nie zostawiliśmy śladów, którymi mógłby podążyć Kszatrijas. Tak więc pojechali do najbliższej wioski Wazulisów, do Jugry, spalili ją i zabili wielu ludzi. Jednak wojownicy Kojura wpadli na nich w ciemnościach, zadając im ciężkie straty i raniąc gubernatora. Pozostali Kszatrijasi umknęli pod osłoną nocy do Doliny Zaibar, ale jeszcze przed wschodem słońca wrócili z posiłkami i od rana w górach toczą się walki. Mówią, że Vendhyanie zbierają wielką armię, by oczyścić góry wokół Zaibaru.

Wojownicy wszystkich plemion ostrzą noże i szykują zasadzki na każdej przełęczy, aż po Dolinę Guraszach. Ponadto Kerim Szach powrócił w góry. Wokół rozległy się ciche pomruki i Yasmina nachyliła się bliżej do otworu, słysząc nazwisko człowieka, który budził jej podejrzenia.

— Dokąd się udał? — spytał Yar Afzal.

— Dagozanin nie wiedział. Ma ze sobą trzydziestu Irakzajczyków z niżej położonych wiosek. Pojechali i zniknęli gdzieś w górach.

— Irakzajczycy to szakale czyhające na okruchy z lwiej paszczy — warknął Yar Afzal.

— Rzucają się na pieniądze, które Kerim Szach rozrzuca garściami wśród nadgranicznych plemion, kupując ludzi jak konie. Nie lubię go, mimo że jest naszym krewniakiem z Iranistanu.

— Nie jest — powiedział Conan. — Znam go od dawna. To Hyrkańczyk, szpieg

Yezdigerda. Jeśli go złapię, powieszę jego skórę na tamaryszku.

— Ale Kszatrijasi! — wykrzyknął jeden z siedzących w pół—

okręgu wojowników. — Mamy siedzieć na tyłkach i czekać, aż nas stąd wykurzą? W końcu dowiedzą się, w której wiosce uwięziono dziewczynę. Zaibarczycy nie kochają nas; pomogą Kszatrijasom.

— Niech tu przyjdą — mruknął Yar Afzal. — Utrzymamy wąwozy przeciw konnicy.

Jeden z mężczyzn zerwał się na nogi i pogroził Conanowi pięścią.

— Mamy brać na siebie całe ryzyko, a on zbierze owoce! — wrzasnął. — Mamy walczyć za niego?

Conan stanął nad nim i pochyliwszy się nieco, spojrzał prosto w zarośniętą twarz. Nie wyciągnął kindżału, lecz trzymał lewą dłonią jego pochwę, znacząco wystawiając rękojeść.

— Nikogo nie proszę, by walczył za mnie — rzekł łagodnie. — Wyciągnij broń, jeśli się odważysz, parszywy psie!

Wazulis odskoczył, prychnąwszy jak kot.

— Spróbuj mnie tknąć, a tych pięćdziesięciu ludzi rozszarpie cię na kawałki! — zaskrzeczał.

— Co!?! — ryknął Yar Afzal, purpurowiejąc z gniewu. Nastroszył wąsy i wypiął brzuch.

— Czyżbyś był wodzem Kurumu? Czy Wazulisi słuchają rozkazów Yar Afzala, czy nędznego kundla?

Wojownik skulił się, a wódz doskoczył do niego, złapał za gardło i zaczął dusić, aż twarz ofiary stała się sinofioletowa. Wtedy cisnął nim wściekle o ziemię i stanął nad nim z szablą w ręku.

Czy jeszcze ktoś kwestionuje moją władzę? — ryknął, a jego współplemieńcy ponuro wbili wzrok w ziemię, gdy omiatał ich wojowniczym spojrzeniem.

Yar Afzal chrząknął pogardliwie i wepchnął broń do pochwy

gestem, który sam w sobie stanowił obrazę. Później kopnął z wściekłością leżącego podżegacza, wydobywając z jego ust ryk bólu.

— Obejdiesz posterunki na skałach i dowiesz się, czy coś spostrzegli — rozkazał i mężczyzna odszedł, trzęsąc się ze strachu i zgrzytając zębami z wściekłości.

Yar Afzal ciężko opadł na kamień, pomrukując pod nosem do siebie. Conan stał blisko niego na szeroko rozstawionych nogach, z kciukami zatkniętymi za pas, przymrużonymi oczyma patrząc na zgromadzonych wojowników. Spoglądali na niego ponuro, nie ośmielając się prowokować gniewu Yar Afzala, lecz nienawidząc przybysza tak, jak tylko górale potrafią.

— Teraz słuchajcie mnie, wy synowie bezpańskich kundli, a powiem wam, co wódz Conan i ja zaplanowaliśmy, by wyprowadzić w pole Kszatrijasów! — bawoli ryk Yar Afzala ścigał sponiewieranego Wazulisa, oddalającego się z miejsca narady.

Mężczyzna minął rząd chat, ścigany złośliwymi uwagami i śmiechem kobiet, które były świadkami jego klęski, po czym spieszenie ruszył szlakiem, wijącym się wśród głazów i skał w górę.

Zaledwie dotarł do pierwszego zakrętu i zniknął z oczu mieszkańców wioski, stanął jak wryty i rozdziawił usta ze zdziwienia. Nie wierzył, by ktoś obcy mógł dostać się do doliny Kurumu nie odkryty przez sokolookich obserwatorów na szczytach, a jednak na niskiej półce skalnej przy ścieżce siedział nieznajomy mężczyzna w todze z wielbłądziej wełny i zielonym turbanie.

Wazulis otworzył usta do krzyku, a jego dłoń skoczyła do rękojeści noża. Jednak w tej samej chwili jego oczy napotkały

spojrzenie obcego i krzyk zamarł mu w gardle, a dłoń opadła bezwładnie. Stał nieruchomo jak posąg, wpatrując się w dal szklistym i nieobecnym wzrokiem.

Przez kilka minut trwali tak bez ruchu; później człowiek w zielonym turbanie nakreślił palcem jakiś tajemniczy znak na kamieniu. Wazulis nie zauważył, by nieznajomy umieścił coś w pobliżu tego symbolu, lecz nagle na skale coś zabłysło — okrągła lśniąca kula, wyglądająca jak polerowany węgiel. Człowiek w turbanie podniósł ją i rzucił Wazulisowi, który chwycił ją bezwiednie.

— Zanieś to Yar Afzalowi — powiedział nieznajomy. Wazuliski wojownik odwrócił się sztywno i pomaszerował ścieżką z powrotem, trzymając czarną kulę w wyciągniętej ręce.

Mijając chaty, nawet nie zwrócił uwagi na nowe szyderstwa kobiet. Zdawał się ich nie słyszeć. Człowiek na skalnym występie spoglądał za nim z tajemniczym uśmiechem. Nad krawędzią półki pojawiła się głowa dziewczyny patrzącej na niego z podziwem i odrobiną lęku, jakiego nie czuła jeszcze poprzedniej nocy.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała.

Czule pogładził jej czarne loki.

— Czyżbyś wciąż jeszcze była oszołomiona po jeździe na powietrznym rumaku, że wątpisz w moją mądrość? — roześmiał się. — Tak długo jak żyje Yar Afzal, Conan jest bezpieczny wśród Wazulisów. Jest ich wielu, a ich noże są ostre. Wymyśliłem bezpieczniejszy sposób niż osobiste zabicie Cymeryjczyka i odbieranie dziewczyny Wazulisom. Nie trzeba czarodzieja, by przewidzieć, co zrobią wazuliscy wojownicy z Conanem, gdy moja ofiara poda wodzowi Kurumu kulę z Yezud.

Tymczasem przed chatą Yar Afzal przerwał w pół słowa swoją

tyradę ze zdziwieniem i niezadowoleniem, widząc, że człowiek, którego wysłał na obchód, przepycha się przez tłum.

Kazałem ci obejść posterunki! — ryknął wódz. — Nie mogłeś tego zrobić w tak krótkim czasie!

Wojownik nie odpowiadał; stał bez ruchu, patrząc niewidzącym spojrzeniem na wodza i wyciągając rękę z zaciśniętą w niej czarną kulą. Conan spojrzawszy Yar Afzalowi przez ramię, mruknął coś i chciał złapać wodza za rękę, lecz nim zdążył to uczynić, Wazulis w przyływie gniewu uderzył wojownika zaciśniętą w pięść dłonią, obalając go na ziemię jak osła. Czarna kula wypadła z ręki powalonego i potoczyła się pod nogi Yar Afzala, który chyba dopiero wtedy ją zauważył; schylił się i podniósł ją z ziemi. Pozostali wojownicy, spoglądający ze zdziwieniem na towarzysza, zobaczyli, że wódz pochyła się, ale nie dostrzegli, co podniósł.

Yar Afzal wyprostował się, spojrział na kulę i zrobił ruch, jakby zamierzał wepchnąć ją za pas.

— Zanieście tego głupca do chaty — warknął. — Wygląda na zjadacza lotosu. Patrzył na mnie takim pustym spojrzeniem. Ja... Auu!

W prawej dłoni, przesuwającej się do pasa, wódz poczuł nagle jakieś dziwne mrowienie. Umilkł, stojąc i wpatrując się przed siebie; w dłoni czuł jakieś lekkie poruszenia — coś się zmieniało, ruszało, żyło. Jego palce nie zaciskały się już na gładkiej, błyszczącej kuli. Bał się spojrzeć; język przywarł mu do podniebienia i dłoń nie chciała się otworzyć. Zdumieni wojownicy ujrzeni, że oczy Yar Afzala rozszerzyły się okropnie i krew odpłynęła mu z twarzy. Nagle z jego ust ukrytych w gęstwinie rudawej brody wydobył się przeraźliwy krzyk bólu; wódz zachwiał się i padł jak rażony gromem, wyciągając przed

siebie prawą rękę. Legł twarzą do ziemi, a spomiędzy jego rozchylnych palców wypełznął pajak — odrażający czarny stwór o włochatych odnóżach i tułowiu lśniącym jak polerowany węgiel. Mężczyźni wrzasnęli i cofnęli się gwałtownie. Korzystając z tego, pajak dopadł szczeliny w skale i zniknął.

Wojownicy spojrzeli po sobie niepewnie. Nagle wśród gwaru dał się słyszeć donośny, rozkazujący głos, dobiegający nie wiadomo skąd. Później każdy z mężczyzn, którzy byli tam obecni (i uszli z życiem) twierdził, że to nie on krzyczał, ale wszyscy słyszeli te słowa.

— Yar Afzal nie żyje! Zabić obcego!

To hasło zjednoczyło górali. Zwątpienie, niedowierzanie i strach zniknęły w przyływie niepohamowanej żądzy krwi. Pod niebo wzbił się wściekły ryk, gdy Wazulisi natychmiast podchwycili pomysł. Z oczami płonącymi nienawiścią runęli naprzód, łopocząc połamami płaszczy i wznosząc noże do ciosu.

Conan zareagował równie szybko. W mgnieniu oka skoczył do drzwi chaty. Jednak górale byli zbyt blisko i stanąwszy w progu, musiał odwrócić się i odbić cios zadany prawie metrowym ostrzem. Rozłupał czaszkę napastnika; umknął pchnięcia nożem i rozpruł brzuch jego posiadaczowi; lewą ręką zwałił na ziemię kolejnego przeciwnika, a ostrzem trzymanym w prawej przeszył innego — i z całej siły uderzył plecami w zamknięte drzwi. Opadające ostrze odłupało drzazgi z framugi tuż przy jego uchu, ale drzwi ustąpiły pod uderzeniem jego potężnych ramion i Cymeryjczyk tyłem wpadł do środka. W tejże chwili brodaty góral wymierzył wściekłe pchnięcie, stracił równowagę i rozciągnął się jak długi w progu. Conan pochylił się, złapał go za fałdy odzienia i odrzuciwszy w głąb komnaty, pchnął drzwi w twarze atakujących. Rozległ się trzask łamanych kości i w



następnej chwili Conan zasunął

rygle i odwrócił się pospiesznie, by stawić czoło mężczyźnie, który zerwał się już z podłogi i runął na niego jak szaleniec.

Yasmina wtuliła się w kąt, patrząc ze zgrozą na walczących, miotających się tam i z powrotem po pomieszczeniu, niemal wpadających na nią od czasu do czasu; chatę wypełnił szcęk i błysk stali, a na zewnątrz gromada napastników wyła jak stado wilków, waląc kindzałami w mosiężne drzwi i tłukąc w nie głazami. Ktoś przytaszczył pień drzewa i drzwi zaczęły dygotać pod potężnymi uderzeniami.

Dziewczyna zakryła uszy rękami, tocząc błędnym wzrokiem. Zacięte zmagania walczących w chacie i wściekłe wycie na zewnątrz przyprawiły ją o szaleństwo. Ogier rżał i kwiczał, łomocząc podkowami o ściany swej przegrody. Okręcił się i wierzgnął kopytami przez pręty w tej samej chwili, gdy góral, cofający się przed morderczym atakiem Cymeryjczyka, dotknął przegrody plecami. Kręgosłup Wazulisa trzasnął w trzech miejscach jak spróchniała gałąź i wojownik poleciał na Conana, obalając go, tak że obaj runęli na ubitą glinę podłogi.

Yasmina krzyknęła i skoczyła naprzód; wydarzenia potoczyły się tak szybko, że wydało się jej, że obaj nie żyją. Znalazła się przy nich akurat wtedy, gdy Conan odepchnął trupa na bok i zaczął się podnosić. Złapała go za ramię, trzęsąc się jak w febrze.

— Och, żyjesz! Myślałam... myślałam, że cię zabił! Spojrzał na nią: na pobladłą, zwróconą ku niemu twarz i szeroko otwarte, czarne oczy.

— Czemu drżysz? — spytał. — Dlaczego miałoby cię obchodzić, czy żyję, czy nie?

Przez chwilę na jej twarzy pojawił się cień wyniosłego grymasu; odsunęła się, czyniąc dość żalostną próbę udawania

dawnej Devi.

— Wolę już ciebie niż to stado wilków wyjących na zewnątrz — odparła, wskazując na drzwi i kamienną framugę, która zaczęła się kruszyć.

— Długo nie wytrzyma — mruknął Conan, po czym odwrócił się i szybko podszedł do przegrody, w której znajdował się ogier.

Yasmina zacisnęła dłonie i wstrzymała oddech, widząc, jak odsuwa na bok połamane pręty i podchodzi do szalejącego zwierzęcia. Ogier wspiął się na tylne nogi, bijąc kopytami, szczerząc zęby, rżąc przeraźliwie i rozdymając nozdrza, lecz Conan doskoczył do niego i z nadludzką siłą chwyciwszy za grzywę, zmusił, by stał spokojnie. Rumak parsknął i trząsnął się nerwowo, ale dał sobie założyć uprząż i nabijane złotem siodło z szerokimi, srebrnymi strzemionami.

Cymeryjczyk zawrócił konia i zawołał Yasmine, która podeszła ostrożnie, trzymając się poza zasięgiem kopyt ogiera. Conan majstrował przy kamiennej ścianie przegrody, mówiąc cicho do dziewczyny:

— Są tu ukryte drzwi, o których nawet Wazulisi nic nie wiedzą. Yar Afzal pokazał mi je kiedyś, kiedy się upił. Wychodzą prosto na parów za chatą. Ha!

Pociągnął za niewinnie wyglądający występ ściany i cały jej fragment odchylił się do środka na naoliwionych, żelaznych szynach. Spojrzawszy przez otwór Yasmina zobaczyła wąską rozpadlinę w pionowym skalnym urwisku wznoszącym się kilka metrów za tylną ścianą chaty. Conan wskoczył na konia, podniósł dziewczynę i posadził przed sobą. Za ich plecami grube drzwi jęknęły jak żywe stworzenie i upadły z trzaskiem; przez otwór natychmiast wdarł się tłum zarośniętych, wyjących wniebogłosy wojowników z kindzałami w dłoniach. Wielki ogier wypadł z

chaty jak wystrzelony z katapulty i pognał parowem, wyciągnięty w biegu jak struna, tocząc z pyska płaty piany.

Ten manewr był całkowitym zaskoczeniem dla Wazulisów. Okazał się też zupełną niespodzianką dla skradających się parowem. Wszystko wydarzyło się tak szybko, a wielki rumak pomknął z tak huraganową szybkością, że człowiek w zielonym turbanie nie zdążył usunąć się z drogi. Runął potracony przez galopującego konia, a towarzysząca mu dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie. Conan widział ją przez chwilę krótką jak mgnienie oka — smukła, ciemnowłosa piękność w jedwabnych szarawarach i wysadzonym klejnotami napierśniku, przyciskająca się do ściany rozpadliny. Czarny koń pomknął jak liść gnany wichrem, unosząc Cymeryjczyka i jego branke, a krwiożercze wycie górali zmieniło się we wrzask przerażenia bólu, kiedy przecisnęli się przez ukryte drzwi i wbiegli do parowu.

— Dokąd teraz? — Yasmina próbowała siedzieć prosto na kolebiącym się siodle, przyciśnięta do porywacza. Z lekkim wstydem uświadomiła sobie, że dotknięcie jego muskularnego ciała nie było nieprzyjemne.

— Do Afgulistanu — odparł. — To daleka droga, ale ogier zanieś nas tam bez trudu, chyba że wpadniemy na twoich przyjaciół lub wrogów mojego plemienia. Teraz, kiedy Yar Afzal nie żyje, ci przekłeci Wazulisi będą nam deptać po piętach. Dziwi mnie, że jeszcze ich za nami nie widać.

— Kim był człowiek, którego stratowałeś? — zapytała.

— Nie wiem. Nigdy przedtem go nie widziałem. Na pewno nie był Gulisem. Nie mam pojęcia, co, do diabła, tam robił. Była tam też dziewczyna.

— Tak — Yasmina zmarszczyła brwi. — Nie pojmuję tego. To była moja dworka, Gitara.

Myślisz, że chciała mi pomóc? I że ten człowiek to jej przyjaciel? Jeżeli tak, to Wazulisi schwytali ich oboje.

— No — mruknął Conan — nie możemy nic na to poradzić. Jeśli wrócimy, obedną nas ze skóry. Nie rozumiem, jak ta dziewczyna mogła dotrzeć tak daleko w towarzystwie tylko jednego mężczyzny, i to, sądząc po ubiorze, uczonego. Jest w tym coś bardzo dziwnego. Ten człowiek, którego Yar Afzal poturbował i wysłał na obchód posterunków, ruszał się jak lunatyk. Widziałem w Zamorze kapłanów odprawiających swe koszarne rytuały w ukrytych świątyniach — ich ofiary miały

takie same spojrzenie. Kapłan popatrzył komuś w oczy, wymamrotał kilka zaklęć i człowiek zaczynał się zachowywać jak żywy trup: spoglądając szklistym wzrokiem, robił, co mu kazano.

Ponadto widziałem, co ten człowiek miał w ręku i co podniósł Yar Afzal. Wyglądało to jak wielka, czarna perła, taka jaką noszą świątynne służki w Yezud, kiedy tańczą przed czarnym, kamiennym pajakiem, któremu oddają cześć. Yar Afzal trzymał ją w dłoni; nie podniósł nic więcej. A jednak kiedy upadł nieżywy, pomiędzy palców wybiegł mu pajak podobny do bóstwa Yezud, tylko mniejszy. Później, kiedy Wazulisi stali, nie wiedząc, co począć, jakiś głos krzyknął, by mnie zabili — i wiem, że ten głos nie należał do żadnego z wojowników ani do żadnej z kobiet, które zgromadziły się przy chatach. Wyglądało na to, że nadleciał z góry.

Yasmina nic nie odpowiedziała. Zerknęła na surowe sylwetki wznoszących się wokół szczytów i zadrżała. Ten ponury krajobraz napełnił jej duszę rozpaczą. W tej pusepnej, pustej krainie wszystko mogło się zdarzyć. Ludziom zrodzonym na gorących równinach bogatego Południa wielowiekowe tradycje kazały wierzyć, że ziemię tę spowija opar tajemnicy i grozy.

Słońce stało już wysoko na niebie, gnębiąc ziemię wściekłym żarem, a jednak wiatr wiejący kapryśnymi porywami zdawał się spadać z lodowych zboczy. W pewnej chwili Yasmina usłyszała w górze świst, który nie był podmuchem wiatru, i spoglądając na czujnie wpatrującego się w niebo Conana, zrozumiała, że i on uznał to za niezwykle. Dziewczynie wydawało się, że po błękitnym niebie przemknęła jakaś zamazana smuga, jakby coś bardzo szybko przeleciało im nad głowami, ale nie była pewna, czy jej się nie przywidziało. Oboje pozostawili to bez komentarza, ale Conan ukradkowo sprawdził, czy kindżał łatwo wysuwa się z

pochwy.

Podążali ledwie widoczną ścieżką schodzącą w parowy tak głębokie, że słońce nigdy nie docierało do ich dna, to znów wspinającą się na strome zbocza, gdzie piargi w każdej chwili groziły osunięciem się spod nóg albo wiodącą ostrymi jak nóż graniami opadającymi po obu stronach w niezgłębione, zasnuwane niebieskawą mgiełką przepaście.

Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, kiedy dotarli do wąskiego traktu, wijącego się między turniami. Conan ściągnął wodze i skierował konia na południe, niemal prostopadle do poprzedniego kierunku jazdy.

— Ta droga prowadzi do wioski Galzajów — wyjaśnił. — Ich kobiety chodzą tędy po wodę. Potrzebne ci nowe odzienie.

Spojrząwszy na swój zwiewny strój Yasmina przyznała mu rację. Pantofelki ze złotogłowiu były w strzępach, tak samo jak suknie i jedwabna bielizna, które mało co zasłaniały. Strój odpowiedni na ulicach Peszchauri niezbyt się sprawdzał wśród ostrych skał Himelii.

Dotarwszy do zakrętu Conan zsiadł i pomógł Yasminie zejść z konia. Czekali dłuższą chwilę. W końcu Cymeryjczyk kiwnął głową z zadowoleniem, chociaż dziewczyna nic nie słyszała.

— Nadchodzi kobieta — mruknął.

Yasmina w nagłym przypływie paniki chwyciła go za ramię.

— Chyba nie... nie zabijesz jej?

— Zazwyczaj nie zabijam kobiet — mruknął — chociaż niektóre z tych góralek to istne wilczyce. Nie — uśmiechnął się, jakby usłyszał dobry żart — nie zabiję jej. Na Croma, nawet zapłacę jej za rzeczy! Jak ci się to podoba?

Wydobył garść złotych monet i schował je z powrotem, oprócz największej. Devi skinęła głową ze znaczną ulgą. Wydawało się

rzeczą oczywistą, że mężczyźni zabijają i giną, ale dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl o tym, że mogłaby patrzeć, jak morduje się kobietę.

Wreszcie z za zakrętu wyłoniła się oczekiwana postać — wysoka, szczupła Galzajka, niosąca wielki, pusty bukłak. Zobaczyła ich; stanęła jak wryta i bukłak wypadł jej z rąk.

Zrobiła ruch, jakby zamierzała rzucić się do ucieczki, ale zaraz zrozumiała, że Conan jest zbyt blisko, by zdołała mu umknąć, i stanęła spokojnie, patrząc na nich z mieszaniną strachu i ciekawości.

Conan pokazał jej monetę.

— Jeśli oddasz tej kobiecie swoje ubranie — powiedział — dam ci ten pieniądz.

Reakcja góralki była natychmiastowa. Uśmiechnęła się szeroko ze zdziwieniem i zadowoleniem, po czym — z typowo góralską pogardą dla konwenansów — ochoczo zrzuciła haftowany serdak, zdjęła bufiaste spodnie i koszulę o szerokich rękawach oraz skórzane sandały. Zgarnąwszy wszystko na kupę, ofiarowała zawiniątko Conanowi, który podał je zdumionej Devi.

— Idź za tę skałę i przebierz się — nakazał, raz jeszcze udowadniając, że nie jest himelijskim góralem. — Zwiń swoje suknie w węzeł i przynieś mi, kiedy skończysz.

— Pieniądze! — domagała się jazgotliwie Galzajka, wyciągając pożądliwie ręce. — Złoto, które mi obiecałeś!

Cymeryjczyk rzucił jej monetę; złapała ją w powietrzu, ugryzła na próbę, po czym schowała ją we włosy, pochyliła się, podniosła bukłak i poszła drogą dalej, pozbawiona zarówno wstydu, jak i ubrania. Conan czekał z pewną niecierpliwością, aż Devi, po raz pierwszy w życiu, ubierze się sama. Kiedy wyszła z za skały, zaklął ze zdziwienia i Yasmina poczuła przyływ dziwnego

podniecenia na widok nieskrywanego podziwu malującego się na jego twarzy. Czuła wstyd, zmieszanie i ukłucie próżności, jakiej nigdy przedtem nie doświadczała, a jego palące spojrzenie przeszywało ją dreszczem. Conan położył ciężką dłoń na jej ramieniu i obrócił Devi dookoła, oglądając ze wszystkich stron.

— Na Croma! — rzekł. — W tych powłóczyстых, nieziemskich szatach wydawałaś się zimna, obojętna i daleka jak gwiazda! Teraz jesteś kobietą z krwi i kości! Weszłaś za skały jako Devi Vendhya — wyszłaś jako góralska dziewczyna, ale tysiąc razy piękniejsza od wszystkich dziewczek Zaibaru! Byłaś boginią — teraz jesteś kobietą!

Wymierzył jej mocnego klapsa, a Yasmina, uznając to tylko za wyraz swoistego hołdu, nie oburzyła się. Wraz ze zmianą odzienia zmieniła się też jej osobowość. Owładnęły nią tłumione dotychczas uczucia i pragnienia, jak gdyby zrzucając królewskie szaty, pozbyła się kajdan uprzedzeń i zahamowań.

Jednak Conan nie zapomniał o grożącym niebezpieczeństwie. Im bardziej oddalali się od Zaibaru, tym mniej prawdopodobne stawało się spotkanie z kszatrijaskimi oddziałami, lecz przez cały czas nasłuchiwał odgłosów świadczących o tym, że mściwi Wazulisi z Kurumu wciąż depczą im po piętach.

Umieściwszy Devi w siodle, sam wskoczył na konia i znów skierował wierzchowca na zachód. Zawiniątko z ubiorem, które mu dała, cisnął w trzystumetrową otchłań głębokiego wąwozu.

— Czemu to zrobiłeś? — pytała. — Dlaczego nie dałeś ubrania dziewczynie?

— Jeźdźcy z Peszchauri przeczesują góry — powiedział. — Będą nękani i napadani przez cały czas, a w odwecie zniszczą każdą wioskę, którą zdołają zdobyć. Mogą też skierować się na zachód. Gdyby znaleźli dziewczynę noszącą twój strój, zmusiliby



ją torturami do mówienia i mogłaby ich naprowadzić na nasz ślad.

— Co ona teraz robi? — spytała Yasmina.

— Wróci do wioski i powie, że została napadnięta. O, na pewno wyślą za nami pościg.

Jednak najpierw musi pójść nabrać wody; gdyby ośmieliła się wrócić bez niej, zostałaby wybatożona. To daje nam sporo czasu. Nigdy nas nie złapią. Przed wieczorem przekroczymy granicę Afgulistanu.

— Nigdzie tu nie widać śladu ludzkich osiedli — zauważyła Yasmina. — Nawet jak na Himelię, ten rejon wydaje się szczególnie pusty. Nie napotkaliśmy uczęszczanej ścieżki od chwili, gdy porzuciliśmy trakt, na którym spotkaliśmy Galzajkę.

W odpowiedzi wskazał ręką na północny zachód, gdzie dostrzegła wyniosły szczyt przez strzeliste turnie.

— To Yimsha — mruknął Conan. — Góralskie plemiona budują swe wioski najdalej, jak mogą, od tej góry.

Yasmina zeszywniała. — Yimsha! — szepnęła. — Góra Czarnych Wróżbitów!

— Tak mówią — odparł. — Jeszcze nigdy nie dotarłem tak blisko niej. Odbiliśmy na północ, by uniknąć kszatrijaskich wojowników, którzy mogliby się zapaść aż tu.

Uczęszczany szlak z Kurumu do Afgulistanu biegnie dalej na południe. Ten jest stary i rzadko używany.

Yasmina wpatrywała się intensywnie w odległy szczyt. Zaciśnęła dłonie, aż paznokcie wbiły się w różowe ciało.

— Ile czasu potrzeba, aby dotrzeć stąd na Yimshę?

— Resztę dnia i całą noc — odparł z uśmiechem. — Chcesz tam jechać? Na Croma, to nie miejsce dla zwykłego śmiertelnika, sądząc po tym, co opowiadają górale.

— Czemu nie skrzykną się i nie pozabijają demonów, które tam mieszkają? — pytała.

— Z mieczami przeciw czarom? Poza tym oni nigdy nie wtrącają się do ludzkich spraw, chyba że ktoś wejdzie im w paradę. Nigdy nie widziałem żadnego z nich, chociaż rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgli, że ich spotkali. Mówili, że o wschodzie lub zachodzie słońca widzieli wśród skał mieszkańców Yimshy: wysokich, milczących mężczyzn w czarnych togach.

— A ty? Obawiałbyś się ich zaatakować?

— Ja? — ta myśl wydała mu się czymś nowym. — No, gdyby mi weszli w drogę, to

okazałoby się, czy ja, czy oni. Jednak nie mam z nimi żadnych zwad. Przybyłem w te góry, by zebrać ludzi, a nie wojować z czarodziejami.

Yasmina nic nie powiedziała. Patrzyła na szczyt jak na żywego nieprzyjaciela, czując, jak gniew i nienawiść na nowo wzbierają w jej piersi. W jej głowie zaczęła kiełkować nowa myśl.

Spiskowała, pragnąc rzucić przeciw panom Yimshy tego oto człowieka, w którego mocy się znalazła. Może był inny sposób, by osiągnąć ten cel. Nie mogła się mylić co do wyrazu, jaki pojawił się w jego dzikich, niebieskich oczach, kiedy na nią patrzył. Niejedno królestwo upadło, gdy drobne, białe kobiece dłonie pociągnęły za nitki przeznaczenia... Nagle drgnęła i wskazała palcem.

— Patrz!

Nad dalekim szczytem unosił się ledwie widoczny obłok o niezwykłym kształcie. Matowoczerwony, skrzył się złotymi pasmami. Był w nieustannym ruchu; obracał się, wirował i gwałtownie kurczył. Po chwili zmienił się w wirujący stożek,

błyszczący w promieniach słońca. Nagle oderwał się od ośnieżonego wierzchołka góry, jak wielobarwne piórko przepłynął po niebie i zniknął w jego błękitnym bezmiarze.

— Co to mogło być? — spytała niepewnie Yasmina, gdy wybrzuszenie grani zasłoniło szczyt; mimo swego piękna widok ten budził niepokój.

— Tutejsi nazywają to Dywanem Yimshy, ale nie wiem, co to oznacza — rzekł Conan.

— Kiedyś widziałem, jak pięciuset tubylców uciekało, jakby sam diabeł deptał im po piętach, kryjąc się w skałach i jaskiniach, ponieważ zauważyli, że ta karmazynowa chmura odrywa się od wierzchołka. Co u...

Właśnie przejechali przez wąską szczelinę, jak nożem wyciętą w pionowej skale, i znaleźli się na szerokim występie, mając poszarpane zbocze po jednej, a gigantyczne urwisko po drugiej stronie. Półką tą biegł na pół zatarty szlak. Kryjąc się wśród skalnych grzbietów i znów pojawiając się w regularnych odstępach, monotonnie opadał w dół. Wyjechawszy ze szczeliny prowadzącej na półkę, czarny ogier parsknął i stanął jak wryty. Conan popędził go niecierpliwie, lecz koń tylko parsknął i podrzucił łbem, drżąc i napinając mięśnie, jakby natrafił na jakąś niewidzialną przeszkodę.

Cymeryjczyk zaklął i zeskoczył na ziemię, trzymając Yasminę w ramionach. Ruszył naprzód z wyciągniętą przed siebie ręką, jakby spodziewał się natknąć na jakąś niewidoczną barierę. Jednak nic nie zagroziło mu drogi, chociaż kiedy próbował pociągnąć za sobą konia, ten zarżał przeraźliwie i szarpnął się w tył. Nagle Yasmina krzyknęła i Conan okręcił się na pięcie, chwytając za rękojeść kindżału.

Nie zauważyli, by ktoś się zbliżał, a jednak stanął przed nimi

mężczyzna odziany w togę z wielbłądziej wełny i zielony turban. Conan sapnął ze zdziwienia, rozpoznawszy w nieznanym, stojącym z rękami założonymi na piersiach, człowieka, którego stratował w wąwozie przy wiosce Wazulisów.

— Kim jesteś, do diabła? — spytał.

Nieznanomy nie odpowiedział. Conan zauważył, że jego oczy są dziwnie rozszerzone, nieruchome i błyszczące. I że z magnetyczną siłą przyciągają uwagę.

Czary Khemisy opierały się na hipnozie, jak większa część wschodniej magii. Niezliczone generacje żyjące i umierające w niezłomnym przeświadczeniu o możliwościach i sile hipnozy stworzyły, dzięki powszechnemu przekonaniu i praktyce, tak przytłaczającą atmosferę strachu, że człowiek wychowany w tradycjach tej ziemi był w zetknięciu z hipnozą bezradny.

Jednak Conan nie był synem Wschodu. Tutejsze tradycje nic dla niego nie znaczyły; był produktem zupełnie innej cywilizacji. W Cymerii hipnoza nie była nawet mitem. Dziedzictwo, które przygotowywało mieszkańca Wschodu do poddania się hipnozie, było mu zupełnie obce. Zdawał sobie sprawę z tego, co Khemsa próbuje zrobić, jednak uderzenie jego niesamowitej siły odczuwał tylko jako słaby impuls, niewidzialne więzy — tak delikatne, że mógł je rozerwać równie łatwo, jak pajęczynę. Pojawszy wrogie zamiary czarownika wyrwał z za pasa kindżał i runął na niego jak burza.

Jednak hipnoza nie była jedyną bronią Khemisy. Patrząca z boku Yasmina nie dostrzegła chytrego uniku czy też czaru, dzięki któremu człowiek w zielonym turbanie uchylił się przed straszliwym pchnięciem wymierzonym w brzuch. Wąskie ostrze przeszło mu pod pachą i Yasminie wydało się, że Khemsa tylko musnął otwartą dłonią masywny kark Conana — lecz

Cymeryjczyk z łoskotem zwałił się na ziemię.

Jednak nie zginął; padając, złagodził impet upadku lewą ręką, jednocześnie wymierzając zamaszyste cięcie w nogi Khemсы, który uniknął ciosu tylko dzięki całkiem nie czarodziejskiemu susowi w tył. Nagle Yasmina krzyknęła głośno, widząc jak kobieta, w której rozpoznała Gitarę, wysuwa się zza skał i staje u boku człowieka w zielonym turbanie. Słowa powitania zamarły na ustach Devi, gdy zobaczyła złość malującą się na pięknej twarzy dziewczyny.

Conan podnosił się wolno, wstrząśnięty i oszołomiony potwornie silnym ciosem, który — zadany według reguł sztuki zapomnianej na długo przed pogrążeniem się Atlantydy w fale oceanu — złamałby kark każdego przeciętnego człowieka jak spróchniałą gałąź. Khemsa spojrzał na niego uważnie i trochę niepewnie. Mag poznał w pełni swą siłę, gdy musiał stawić czoła nożom rozwścieczonych Wazulisów w rozpadlinie przy wiosce Kurum, jednak odporność Cymeryjczyka chyba odrobinę zachwiała jego nowo nabytą pewność siebie.

Podstawą magii jest sukces, nie porażka.

Khemsa ruszył naprzód, podnosząc rękę... i nagle zamarł z uniesionym ramieniem, patrząc w górę szeroko otwartymi oczyma. Conan mimowolnie też spojrzał w tym kierunku, tak samo jak obie kobiety: skulona przy dygoczącym wierzchowcu Yasmina i dziewczyna Khemсы.

Po górskich zboczach toczyła się purpurowa, stożkowata chmura, jak wirujący obłok błyszczącego pyłu niesiony wiatrem. Twarz Khemсы przybrała barwę popiołu; ręka mu zadrżała i opadła bezwiednie. Stojąca przy nim dziewczyna, wyczuwając zachodzącą w nim zmianę, spojrzała badawczo.

Purpurowy obłok spłynął po zboczu góry i zatoczywszy długi

łuk wylądował na skalnej półce między Conanem a Khemcą, który odskoczył ze zduszonym okrzykiem. Cofnął się, ciągnąc za sobą dziewczynę i kurczowo zaciskając dłoń na jej ramieniu.

Purpurowa chmura przez chwilę stała w miejscu, wirując z oszałamiającą szybkością niczym bąk puszczonego w ruch. Później, bez ostrzeżenia, zniknęła niespodziewanie, jak rozpryskująca się bańka mydlana. Na skale stali czterej mężczyźni. To było nieprawdopodobne, niemożliwe, a jednak nie duchy czy zjawy, lecz czterej wysocy mężczyźni o wygolonych czaszkach, w czarnych togach kryjących ich stopy i dłonie, naprawdę stali tam w milczeniu, zgodnie kiwając ptasimi głowami. Patrzyli na Khemcę, lecz stojący za ich plecami Conan poczuł, że krew płynąca mu w żyłach zamienia się w lód.

Podniósł się i cofnął powoli, aż plecami dotknął sierści drżącego rumaka, a ramieniem mógł objąć wystraszoną Devi. Nie padło ani jedno słowo. Cisza zaległa wokół jak ciężki całun.

Wszyscy czterej mężczyźni w czarnych togach patrzyli na Khemcę. Ich twarze o sępich rysach były pozbawione wyrazu, a spojrzenia nieruchome i skupione. Khemca trząsał się jak w febrze; stopami mocno wpierał się w skałę, a mięśnie łydek miał napięte w ogromnym wysiłku. Pot strumieniami spływał po jego ciemnej twarzy. Prawą dłoń zaciskał tak mocno na czymś ukrytym pod brązową togą, że krew odpłynęła mu z posiniałej ręki. Lewą dłoń położył na ramieniu Gitary i zacisnął ją kurczowo, rozpaczliwym chwytem topiącego się człowieka.

Dziewczyna nie skrzywiła się i nie jęknęła, chociaż palce Khemcy wpijały się w jej ciało jak szpony. Wiodąc niespokojne życie, Conan był świadkiem setek bitew, ale nigdy nie widział takiej jak ta, w której połączone siły czterech demonów zmagają się z jedną, równie diabelską mocą. Jednak Cymeryjczyk

zaledwie wyczuwał istotę tych koszmarnych zmagania. Przyparty do muru, osaczony przez swych dawnych panów, Khemsa walczył o życie, używając wszystkich mrocznych sposobów, całej swej przerażającej wiedzy, jaką posiadał w ciągu długich, ponurych lat nowicjatu i wasalstwa.

Był silniejszy, niż myślał, a konieczność użycia tej siły we własnej obronie wyzwoliła w nim niespodziewane zasoby energii. Strach i rozpacz zwielokrotniły tę siłę. Chwiał się pod bezlitosnym naporem czterech par oczu, ale nie ustępował pola. Jego twarz wykrzywił zwierzęcy grymas bólu, a ciało prężyło się jak łamane kołem. Była to wojna dusz, wypaczonych umysłów nurzających się w wiedzy niedostępnej człowiekowi od miliona lat; bitwa mózgów, które zgłębiły otchłanie mroku i poznały czarne gwiazdy, rodzące koszmary.

Yasmina rozumiała to lepiej niż Conan. I domyślała się, dlaczego Khemsa mógł wytrzymać skoncentrowane uderzenie czterech umysłów, których wola była w stanie rozbić na atomy skałę, na której stał. Przyczyną tego była dziewczyna, którą przyciskał do siebie z siłą rozpacz. Ona była kotwicą jego znękanego duszy, druzgotanej falami psychicznych emocji. Siłą Khemsa była jego słabość. Miłość do dziewczyny, choć może gwałtowna i zła, stanowiła jednak więź łączącą go z resztą ludzkości, dając oparcie dla dźwigni jego woli, tworząc łańcuch, którego nie mogli rozerwać upiorni wrogowie; a przynajmniej nie mogli rozerwać tego ogniwa, jakim był Khemsa. Zrozumieli to prędzej niż on. Jeden z nich przesunął swe spojrzenie na Gitarę. Tu nie napotkał oporu. Dziewczyna skurczyła się jak zwiędły liść. Wiedziona przemożnym nakazem wyrwała się z uścisku kochanka, zanim ten pojął, co się dzieje. Wtedy przyszło najgorsze. Dziewczyna zaczęła się cofać w kierunku urwiska,

twarzą zwrócona do swych prześladowców, patrząc na nich rozszerzonymi, czarnymi oczyma, pustymi jak okna domu, w którym zgasło światło. Khemsa jęknął i zatoczył się ku niej, wpadając w zastawioną pułapkę. Rozproszone myśli nie pozwalały mu na odparcie ataku przeciwników. Został pokonany; był już tylko zabawką w ich rękach.

Dziewczyna cofała się nadal, krocząc sztywno jak we śnie, a zataczający się Khemsa podążał za nią, daremnie próbując ją pochwycić; jęcząc i szlochając z rozpaczy, poruszał się jak żywy trup.

Dziewczyna zatrzymała się na samej krawędzi, stojąc sztywno z piętami nad przepaścią, a Khemsa padł na kolana i skomlał, pełznął ku niej, wyciągając ręce, by uchronić ją przed upadkiem. Już prawie dotknął jej zdrętwiałymi palcami, gdy jeden z czarnoksiężników roześmiał się gromkim śmiechem, dźwięcznym jak spizowy głos piekielnego dzwonu.

Dziewczyna zachwiała się i — o szczycie okrucieństwa! — zmysły i świadomość wróciły jej na moment, a w oczach pojawił się przeraźliwy lęk. Wrzasnęła, spróbowała pochwycić wyciągnięte ręce kochanka i nie zdoławszy tego dokonać z głuchym jękiem runęła w przepaść.

Khemsa dowlókl się do krawędzi i spojrzał w dół błędnym wzrokiem; bezgłośnie poruszał wargami, mamrocząc coś do siebie. Odwrócił się i przez długą chwilę patrzył na swych dręczycieli szeroko otwartymi oczyma, w których nie tliła się nawet iskra człowieczeństwa.

Później z krzykiem, od którego, wydawało się, pękną skały, rzucił się na czterech czarnoksiężników z nożem w podniesionej ręce.

Jeden z magów wysunął się naprzód i tupnął nogą. Rozległ się



głuchy pomruk, który przeszedł w ogłuszający ryk. W miejscu gdzie uderzył stopą, rozwarła się błyskawicznie poszerzająca się szczelina. Z ogłuszającym hukiem cały kawał skalnej półki runął w dół.

Wśród spadających głazów mignęła jeszcze sylwetka Khemisy, rozpaczliwie wymachującego ramionami, po czym wszystko zniknęło w lawinie schodzącej z grzotem w bezdenną otchłań.

Czterej magowie patrzyli w skupieniu na poszarpaną krawędź tworzącą teraz nowy skraj urwiska, po czym odwrócili się nagle. Conan, zbity z nóg przez gwałtowne wstrząsy, wstawał właśnie i podnosił Yasminę. Wydawał się równie wolno poruszać, co i myśleć. Był oszołomiony i ogłupiały. Wiedział, że powinien niezwłocznie posadzić Devi na grzbiecie czarnego ogiera i pognać jak wicher, ale jego ciałem i umysłem owładnęła niewytłumaczalna ociężałość.

Teraz czarnoksiężnicy odwrócili się i spojrzeli na niego; podnieśli ramiona i Conan ze zgrozą zobaczył, że ich sylwetki bledną, stają się mgliste i niewyraźne, po czym nikną w purpurowym dymie, który skłębił się wokół nich, zasłaniając przed jego wzrokiem.

Purpurowy, szybko wirujący obłok spowił magów... i nagle Cymeryjczyk uświadomił sobie, że ta czerwona mgła otacza i jego. Usłyszał krzyk Yasminy i przeraźliwe rżenie ogiera.

Straszliwa siła wydarła Devi z ramion barbarzyńcy i cisnęła nim o głaz jak piórkiem, gdy na oślep dźgnął kindzałem. Na pół ogłuszony zobaczył, jak stożkowaty obłok unosi się nad szczytami i szybko oddala. Yasmina zniknęła tak samo jak czterej mężczyźni w czarnych szatach. Na skalnej półce został tylko Conan i wystraszony koń.

Opar spowijający umysł Cymeryjczyka rozplynął się jak mgła rozwiana uderzeniem wichru. Z wściekłym przekleństwem skoczył na grzbiet rżącego i wierzgającego ogiera. Spojrzał na zbocze, zawahał się i ruszył w tym samym kierunku, w którym zmierzał, zanim zatrzymały go sztuczki Khemisy. Jednak teraz nie jechał już stępa. Popuścił cugli rumakowi, który pomknął jak błyskawica, jakby w tym gwałtownym wysiłku chciał pozbyć się strachu.

Gnali na złamanie karku po skalnej półce wijącej się wokół turni, wąskim traktem wiodącym brzegiem przepaści. Ścieżka biegła zygzakiem, wijąc się w nieskończoność po nierównej skale i w pewnej chwili, daleko w dole, Conan dostrzegł miejsce, gdzie runęła lawina: olbrzymi stos potrzaskanych kamieni i głazów u stóp gigantycznego urwiska.

Do dna doliny było wciąż jeszcze daleko, kiedy dotarł do długiej i szerokiej grani, która wiodła na następne zbocze jak naturalny most. Pojechał nią, mając z obu stron niemal pionowe zbocza. Widział przed sobą trasę, którą musiał jechać; gdzieś w dole szlak schodził ze zbocza na dno doliny i zatoczywszy ogromny łuk wzdłuż koryta wyschniętej rzeki, wracał pod skałę, na której szczycie znajdował się teraz Conan. Cymeryjczyk przeklął konieczność nadkładania drogi, ale nie miał innego wyjścia. Jakakolwiek próba zejścia na dół byłaby samobójstwem. Tylko ptak dokonałby tego, nie łamiąc sobie karku.

Cymeryjczyk popędzał zmęczonego konia, aż nagle usłyszał

dobiegający z dołu brzęk podków. Ściągnąwszy cugle, ostrożnie podjechał do krawędzi urwiska i zajrzał do wąwozu, wyżłobionego przez płynącą tu niegdyś rzekę. Suchym korytem jechał pstrokaty tłum — pięciuset krzepkich, uzbrojonych po zęby, brodatych mężczyzn na półdzikich koniach.

Nachyliwszy się nad skrajem stumetrowej przepaści, Conan krzyknął do nich. Na jego krzyk zatrzymali się; pięćset brodatych twarzy uniosło się w górę i po kanionie przetoczył się głuchy pomruk. Conan nie tracił czasu.

— Zmierzam do Ghor! — ryknął. — Nie liczyłem na to, że spotkam was, psy, na szlaku.

Jedźcie za mną tak szybko, jak zdołają wasze szkapy! Podążymy na Yimshę i...

— Zdrajco! — chóralny ryk był dla Conana jak kubeł zimnej wody wylany na głowę.

— Co takiego? — wykrztusił, wybałuszając oczy. Zobaczył wykrzywione wściekłością twarze i wywijające bronią ręce towarzyszy.

— Zdrajco! — odkrzyknęli z przekonaniem. — Gdzie siedmiu naczelników więzionych w Peszchauri?

— No, chyba w więzieniu gubernatora — odparł.

Odpowiedziało mu wycie setek gardzieli oraz potrząsanie bronią i wrzaski, z których nie mógł zorientować się, czego od niego chcą. Rycząc jak bawół, przekrzyczał hałas i zawołał:

— Co, u diabła? Niech mówi jeden, żebym mógł zrozumieć, o co chodzi!

Chudy, stary naczelnik podjął się tego zadania; na wstępie pogroził Conanowi szablą, po czym wrzasnął oskarżycielsko:

— Nie pozwoliłeś nam napaść na Peszchauri i odbić naszych braci!

— Wy głupcy! — ryknął rozjątrzony Cymeryjczyk. — Nawet gdybyście wdarli się na mury, w co wątpię, to powiesiliby więźniów, zanim zdołalibyście ich uwolnić!

— I pojechałeś sam targować się z gubernatorem! — zawył Afgulis, pieniąc się z wściekłości.

— I co z tego?

— Gdzie są naczelnicy? — krzyczał stary wódz, wywijając szablą. — Gdzie oni są? Nie żyją!

— Co?! — Conan o mało nie spadł z konia ze zdziwienia.

— Nie żyją! — zapewniło go pięćset żądnych krwi głosów. Stary zakręcił szablą młyńca i znów dorwał się do głosu.

— Nie powieszono ich! — krzyczał. — Wazulis w sąsiedniej celi widział, w jaki sposób zginęli! Gubernator przysłał czarnoksiężnika, który zabił ich swymi czarami!

— To z pewnością kłamstwo — rzekł Conan. — Gubernator nie odważyłby się. Kiedy rozmawiałem z nim zeszłej nocy...

Była to bardzo niefortunna wzmianka. Wściekłe wycie i przekleństwa wzbijały się pod niebiosa.

— Tak! Pojechałeś do niego sam! Żeby nas zdradzić! To prawda. Wazulis uciekł przez drzwi, które wyłamał czarnoksiężnik, i opowiedział wszystko naszym zwiadowcom napotkanym w Zaibarze. Wysłaliśmy ich, by cię szukali, kiedy nie wróciłeś na czas. Gdy usłyszeli opowieść Wazulisa, wrócili na Ghor, a my osiodłaliśmy konie i przypasaliśmy miecze.

— I co chcecie zrobić, głupcy? — spytał Cymeryjczyk.

— Pomścić naszych braci! — zawyli. — Śmierć Kszatrijasom! Zabić go, bracia, to zdrajca!

Wokół Conana posypały się strzały. Uniósł się w strzemionach, próbując jeszcze raz przekrzyknąć hałas, po czym z rykiem wściekłości, protestu i zniechęcenia zawrócił konia i

pogalopował z powrotem. Afgulisi ruszyli za nim, miotając wściekle przekleństwa i groźby, zbyt rozjuszeni, by pamiętać, że aby dostać się na grań, po której jechał Conan, trzeba było udać się w przeciwnym kierunku, minąć zakręt i mozolnie pięć się krętym szlakiem w górę.

Kiedy sobie o tym przypomnieli i zawrócili, ich były wódz już prawie dotarł do miejsca, gdzie grań przechodziła w skalną półkę.

Znalazłszy się przy urwisku Conan nie pojechał szlakiem, którym przybył, lecz innym; ledwie widoczną ścieżynką usłaną głazami, o które potykał się ogier. Nie ujechał daleko, gdy rumak parsknął i rzucił się w bok, widząc coś leżącego na drodze. Conan spojrzął z jego grzbietu na straszliwie poszarpaną, krwawą karykaturę człowieka, bełkoczącego coś przez połamane zęby.

Jedynie bogowie ciemności rządzący losami czarnoksiężników wiedzieli, w jaki sposób Khemsa zdołał wydostać się spod ogromnego usypiska głazów i wpełznąć po stromym stoku na szlak.

Wiedziony jakimś dziwnym impulsem Cymeryjczyk zsiadł z konia i stanął nad okropnie okaleczonym ciałem. Wiedział, że jest świadkiem niezwykłego, przeciwnego naturze zjawiska. Khemsa podniósł okrwawioną głowę, a w jego dziwnych oczach, zasnutych cierpieniem i mrokiem zbliżającej się śmierci, pojawił się błysk świadomości.

— Gdzie oni są? — wyrzęził chrapliwie głosem, który nie miał w sobie nic ludzkiego.

— Wrócili do swego przeklętego zamku na Yimszę — mruknął Conan. — Zabrali Devi z sobą.

— Pójdę! — wybełkotał nieszczęśnik. — Pójdę tam! Zabili G«arę; ja zabiję ich...

Akolitów, Czterech Czarnego Kręgu i samego władcę! Zabiję...  
wszystkich zabiję!

Usiłował powlec swoje okaleczone ciało dalej, lecz nawet jego nieposkromiona siła woli nie była już w stanie dłużej ożywiać tych krwawych strzępów, tych potrzaskanych kości trzymających się tylko na poszarpanych tkankach i poprzerywanych ścięgnach.

— Idź za nimi! — wybełkotał Khemsa, tocząc z ust krwawą pianę. — Idź!

— Zamierzam to zrobić — warknął Conan. — Chciałem skrzyknąć moich Afgulisów, ale zwrócili się przeciwko mnie. Jadę na Yimshę sam. Odbiorę im Devi, nawet gdybym musiał rozszarpać tę przeklętą górę własnymi rękami. Nie sądziłem, że gubernator ośmieli się zabić moich naczelników, kiedy ja mam Devi, ale wygląda na to, że się pomyliłem. Zapłaci mi za to głową. Teraz nie potrzebuję jej już jako zakładniczki, ale...

— Niech spadnie na nich klątwa Izila! — dyszał Khemsa. — Idź! Ja... Khemsa... umieram. Czeka... weź mój pas.

Poharatana ręką zaczął gmerać wśród strzępów odzienia i Conan, pojmując jego intencje, nachylił się i zdjął z okrwawionego ciała pas o dziwnym wyglądzie.

— W otchłani trzymaj się złotej żyły — mamrotał Khemsa. — Noś mój pas. Dostałem go od stygijskiego kapłana. Pomoże ci, chociaż mnie zawiódł. Stłucz kryształową kulę z czterema złotymi jabłkami granatu. Strzeż się przemian Władcy... Idę do Gitary... ona czeka na mnie w piekle... aie, ya Skelosjar!

Z tymi słowami umarł.

Conan popatrzył na pas, upleciony z włosów nie pochodzących z końskiej grzywy. Był przekonany, że pas został spleciony z czarnych, kobiecych loków. W gęstych splotach tkwiły maleńkie

klejnociki, jakich nigdy jeszcze nie widział. Sprzączka miała przedziwny kształt: wyobrażała płaską, klinowatą głowę żmii, pokrytą drobnymi, złotymi łuskami.

Spoglądającemu na pas Conanowi zimny dreszcz przebiegł po plecach. Zamachnął się, zamierzając cisnąć go w przepaść, ale po namyśle zapiął go na biodrach, chowając pod tym szerszym, bachariockim, który zawsze nosił. Później dosiadł konia i pojechał dalej.

Słońce schowało się za turnie. Conan piął się w górę przez ich długie cienie, okrywające niczym granatowy płaszcz doliny i skalne półki w dole. Już zbliżał się do szczytu, gdy posłyszał przed sobą stuk podkutych kopyt. Nie wahał się ani chwili. W rzeczy samej, ścieżka była tak wąska, że wielki ogier nie zdołałby zawrócić. Cymeryjczyk minął skalny występ i dotarł na nieco szerszy odcinek szlaku. Chór ostrzegawczych wrzasków rozdarł mu uszy, lecz jego ogier już przycisnął przestraszonego konia do skały, a Conan uwięził ramię jeźdźca w żelaznym uścisku, zatrzymując spadające ostrze w powietrzu.

— Kerim Szach! — mruknął Conan i w oczach zapaliły mu się czerwone błyski.

Turańczyk nie stawiał oporu. Siedząc na koniach, niemal dotykali się piersiami, a dłoń Cymeryjczyka zaciskała się na jego ramieniu. Za Kerimem Szachem ciągnął rząd Irakzajczyków na wychudłych koniach. Spoglądali pałającymi oczyma na zagradzającego im drogę nieznajomego, trzymając w pogotowiu łuki i kindzały, lecz nie spiesząc się z ich użyciem ze względu na niebezpieczną bliskość ziejącej u ich stóp przepaści.

— Gdzie jest Devi? — zapytał Kerim Szach.

— Co ci do tego, hyrkański szpiegu? — warknął Conan.

— Wiem, że jest w twoich rękach — odparł Kerim Szach. —

Jechałem z góralami na północ, kiedy wpadliśmy w zasadzkę zastawioną przez wrogów na przełęczy Shalizah. Wielu moich ludzi zostało zabitych, a resztę ścigano jak stado szakali. Kiedy pozbyliśmy się prześladowców, skierowaliśmy się na zachód, ku przełęczy Amir Jehun, i dziś rano natknęliśmy się na wędrującego przez góry Wazulisa. Był zupełnie szalony, lecz zanim umarł, sporo się dowiedziałem z jego bezładnej paplaniny. Powiedział mi, że był jedynym ocalałym z bandy, która ruszyła za wodzem Afgulisów i kszatrijaską branką do wąwozu przy wiosce Kurum. Wciąż mówił o człowieku w zielonym turbanie, którego potracił koń Afgulisa i który — zaatakowany przez ścigających tamtego Wazulisów — wygubił ich, niszcząc tak, jak jezor płomienia niszczy chmarę szarańczy. W jaki sposób on jeden uszedł z życiem, nie wiem i on też nie wiedział, lecz z jego majaczeń zrozumiałem, że Conan z Ghor był w Kurum ze swą królewską branką. A kiedy przedzieraliśmy się przez góry, napotkaliśmy nagą, niosącą bukłak z wodą Galzajkę, która powiedziała nam, że została obrabowana i zniewolona przez olbrzymiego wojownika w stroju wodza Afgulisów, który — jak mówiła — zabrał jej ubranie dla towarzyszącej mu Vendhyanki. Dziewczyna twierdziła, że podążyłeś na zachód.

Kerim Szach nie uznał za stosowne wyjaśnić, że kiedy wrogo nastawieni górale zagrodzili mu drogę, właśnie jechał na umówione spotkanie z oddziałami turańskiej jazdy. Droga do doliny Guraszach przez przełęcz Szalizah była dłuższa niż droga wiodąca przez przełęcz Amir Jehun, lecz ta ostatnia przecinała ziemię Afgulisów, których Kerim Szach wolał unikać, przynajmniej dopóki nie połączy się z armią. Odcięty od drogi biegnącej przez przełęcz Szalizah podążył jednak tym niebezpiecznym szlakiem, aż wieść, że Conan ze swoją branką



nie dotarł jeszcze do Afgulistanu, skłoniła go do zawrócenia na południe i zuchwałej wyprawy w głąb gór w nadziei doścignięcia Cymeryjczyka.

— Lepiej powiedz mi, gdzie jest Devi — zaproponował Kerim Szach. — Mamy przewagę liczebną...

— Niech tylko jeden z twoich psów dotknie cięwiwy, a zrzucę cię w przepaść — obiecał mu Conan. — Poza tym nie wyszłoby ci na dobre, gdybyś mnie zabił. Ściga mnie pięciuset Afgulisów i gdyby stwierdzili, że pozbawiłeś ich tej przyjemności, obdarliby cię żywcem ze skóry. Ponadto nie mam Devi. Wpadła w ręce Czarnych Wróżbitów z Yimshy.

— Na Tarima! — zaklął cicho Kerim Szach, po raz pierwszy tracąc swój niezmacony spokój. — Khemsa...

— Khemsa nie żyje — mruknął Conan. — Jego dawni panowie wysłali go do piekła wraz z lawiną głazów. A teraz zejdz mi z drogi. Z radością zabiłbym cię, gdybym miał czas, ale spieszę na Yimshę.

— Pójdę z tobą — rzekł nagle Turańczyk.

Conan roześmiał mu się w twarz.

— Myślisz, że ci zaufam, hyrkański psie?

— Wcale o to nie proszę — odparł Kerim Szach. — Obaj chcemy schwytać Devi. Znasz moje powody: król Yezdigerd pragnie przyłączyć jej królestwo do swojego imperium, a ją samą umieścić w swoim seraju. Znam cię jeszcze z czasów, gdy byłeś hetmanem stepowych kozaków, i wiem, że jedyne, co cię interesuje, to grabież na wielką skalę. Chcesz splądrować Vendhyę i wycisnąć olbrzymi okup za Yasminę. Może na jakiś czas, nie żywiąc żadnych złudzeń co do siebie, połączymy siły i spróbujemy wyrwać Devi z rąk Wróżbitów? Jeżeli nam się uda i przeżyjemy, zadecydujemy w walce, kto ją zatrzyma.

Cymeryjczyk spoglądał na niego przez chwilę zwięzonymi oczami, a później skinął głową i puścił jego ramię.

— Zgoda, ale co z twoimi ludźmi?

Kerim Szach odwrócił się do milczących Irakzajczyków i rzekł krótko:

— Ten człowiek i ja zamierzamy udać się na Yimshę i walczyć z czarnoksiężnikami.

Jedziecie z nami czy zostajecie tu i dacie się obedrzeć ze skóry Afgulisom, którzy ścigają swego wodza?

Popatrzyli na niego z ponurym fatalizmem. Byli zgubieni i wiedzieli o tym — wiedzieli od chwili, gdy świszczące strzały Dagozan zmusiły ich do ucieczki z przełęczy Szalizah. Zbyt często wybuchały krwawe waśnie między ludźmi z dolnego Zaibaru a mieszkańcami gór. Ich oddział był zbyt mały, by bez pomocy sprytnego Turańczyka mogli marzyć o przedarciu się do nadgranicznych wiosek. Uważali się już za nieżywych, toteż udzielili mu odpowiedzi, jaką mogli dać tylko ludzie zgubieni:

— Pójdziemy z tobą, by umrzeć na Yimshy.

— Zatem ruszajmy, na Croma! — mruknął Conan, wiercąc się niespokojnie i spoglądając na granatowoniebieskie cienie zapadającego zmierzchu. — Te afgulskie wilki były o parę godzin jazdy za mną, ale straciliśmy wystarczająco dużo czasu.

Kerim Szach wycofał konia, schował miecz do pochwy i zawrócił ostrożnie. Po chwili wszyscy ruszyli w górę tak szybko, jak się wazyli. Wreszcie wyjechali na grań w odległości mili od miejsca, gdzie Khemsa zatrzymał Conana i Yasminę. Ścieżka, którą przyjechali, nawet dla górali była bardzo niebezpieczna i z tej przyczyny Conan, jadąc z Yasminą, obrał inną drogę; Kerim Szach podążał tedy tylko dlatego, że spodziewał się, iż Cymeryjczyk uczyni to samo. Nawet Conan odetchnął z ulgą,

kiedy konie minęły ostatni zakręt. Jechali niczym kawalkada widm przemierzających zaczarowane królestwo cieni. Tylko cichy chrzęst skórzanej upręży oraz brzęk stali znaczyły ich przejście i po chwili mroczne górskie zbocza leżały znów nagie i milczące w świetle gwiazd.

YASMINA JEST  
OBŁĘDNIE PRZERAŻONA

Yasmina zdążyła tylko raz krzyknąć, gdy poczuła, że czerwony wir wciąga ją i z przerażającą siłą odrywa od Cymeryjczyka. Natychmiast zabrakło jej tchu w piersiach.

Straszliwy pęd powietrza ogłuszył ją, oślepił, odebrał mowę i czucie. Niejasno uświadomiła sobie, że znajduje się gdzieś wysoko i leci z oszałamiającą szybkością; miała wrażenie, że postradała zmysły; potem zakręciło jej się w głowie i zapadła w nicość.

Wspomnienie tych doznań pozostało jej, gdy odzyskała przytomność, krzyknęła głośno i rozłożyła ręce, jakby broniąc się przed upadkiem. Jej palce zacisnęły się na miękkiej tkaninie i dziewczyna poczuła głęboką ulgę. Rozejrzała się wokół.

Leżała na pokrytym czarnym aksamitem podwyższeniu w ogromnej, mrocznej komnacie o ścianach obwieszonych ciemnymi gobelinami, na których z odrażającym realizmem ukazano wijące się cielska smoków. Wyniosły strop komnaty krył się w gęstym mroku, a cienie zalegające w kątach przydawały nastroju ponurej grozy. Wydawało się, że pomieszczenie jest pozbawione okien i drzwi lub też były one ukryte za tymi koszmarnymi gobelinami. Yasmina nie potrafiła powiedzieć, skąd sączyło się przyćmione światło pozwalające dostrzec te szczegóły. Wielka sala była królestwem tajemnic, cieni i mrocznych kątów, skąd zdawał się wypełzać nieokreślony, dławiący lęk.

W końcu Yasmina zauważyła obiekt, który należał do

materialnego świata. Kilka metrów dalej, na drugim, mniejszym postumencie siedział ze skrzyżowanymi nogami mężczyzna, spoglądając na nią w zadumie. Długa toga z czarnego, haftowanego złotem aksamitu spowijała całe ciało. Ręce miał ukryte w rękawach szaty, a na głowie aksamitną czapkę. Jego twarz była spokojna, łagodna i dość przystojna; oczy błyszczące, a zarazem nieco zamglone. Z kamienną twarzą przypatrywał się Yasminie i nie zareagował widząc, że odzyskała przytomność.

Yasmina poczuła lodowaty dreszcz strachu przebiegający po krzyżu. Oparła się na łokciach i z lękiem spojrzała na nieznanego.

— Kim jesteś? — spytała. Jej głos zabrzmiał krucho i bezradnie.

Jestem Władcą Yimshy — odparł głębokim i dźwięcznym głosem przypominającym spokojne uderzenia świątynnych dzwonów.

Po co mnie tu sprowadziłeś? — spytała.

— Czyż mnie nie szukałaś?

— Jeżeli jesteś jednym z Czarnych Wróżbitów, to tak! — odparła zuchwale, przekonana, że i tak czyta w jej myślach.

Zaśmiał się cicho, a Yasminie znów dreszcz przebiegł po plecach.

— Chciałaś podburzyć dzieci gór przeciw Wróżbitom Yimshy! — roześmiał się. — Widzę to w twoich myślach, księżniczko. Twój wąty, ludzki umysł zapełniają śmieszne marzenia o zemście!

— Zabiliście mojego brata! — w głosie Devi narastający gniew walczył ze strachem; zacisnęła pięści i zeszywniała ze złości. — Czemu to zrobiliście? Nie wyrządził wam żadnej krzywdy. Kapłani mówią, że Wróżbici Yimshy są wyżsi nad ludzkie

sprawy. Dlaczego więc zamordowaliście króla Vendhyi?

— Jak może zwykły śmiertelnik pojąć motywy Wróżbity? — odparł zimno władca. — Moi akolici w świątyniach Turanu, sprawujący władzę nad kapłanami Tarima, nalegali, abym działał dla dobra Yezdigerda. Z pewnych względów przystałem na to. Jak mam wyjaśnić moje pobudki, abyś ogarnęła je swoim słabym umysłem? I tak nie pojmiesz.

— Pojmuję jedno: mój brat nie żyje! — wykrzyknęła Yasmina z żalem i wściekłością.

Podniosła się na kolana i przeszywała go spojrzeniem szeroko otwartych oczu, spięta do skoku jak pantera.

— Tak, jak sobie życzył Yezdigerd — przytaknął chłodno jej rozmówca. — Moim chwilowym kaprysem jest wspierać jego ambicje.

— Czy Yezdigerd jest twoim wasalem? — Yasmina próbowała ukryć miotające ją uczucia. Właśnie natrafiła kolanem na coś twardego i symetrycznego, zakrytego przez fałdy aksamitu. Nieznacznie zmieniła pozycję i wsunęła rękę pod materiał.

— Czy pies zżerający resztki pod murem świątyni jest wasalem boga? — odparł Władca.

Wydawał się nie dostrzegać ukradkowych ruchów dziewczyny. Skryta w fałdach posłania ręka natrafiła na coś, co musiało być rękojeścią sztyletu. Yasmina pochyliła głowę, by ukryć błysk triumfu w oczach.

— Lecz mam już dość Yezdigerda — ciągnął Władca. — Znalazłem sobie inną rozrywkę... Ha!

Yasmina skoczyła jak kocica i z dzikim krzykiem wymierzyła mordercze pchnięcie. Nagle potknęła się, upadła na posadzkę i przywarła do niej, patrząc na niedoszłą ofiarę. Człowiek siedzący na podium nawet nie drgnął, a z jego twarzy nie zniknął

tajemniczy uśmieszek.

Yasmina podniosła drżącą dłoń i spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma. W ręku nie trzymała sztyletu, lecz kwiat złotego lotosu o pogniecionych płatkach i złamanej łodyżce.

Odrzuciła lotos, jakby to była jadowita żmija, i na kolanach odsunęła się od prześladowcy. Wróciła na swoje podium, ponieważ uznała to za godniejsze królowej niż pełzanie po podłodze u stóp czarnoksiężnika, i spojrzała na niego z lękiem, oczekując odwetu.

Jednak Władca nie poruszył się.

— Każda materia jest taka sama dla tego, kto posiada klucz do bram Kosmosu — rzekł niezrozumiale. — Dla biegłego w Sztuce nie ma rzeczy niezmiennych. Wedle jego woli w nieziemskich ogrodach zakwita stal albo kwiat błyska ostrzem miecza w świetle księżyca.

— Jesteś diabłem! — zaszlochała.

— Nie! — zaśmiał się. — Urodziłem się na tej planecie, dawno temu. Kiedyś byłem zwyczajnym człowiekiem i w ciągu niezliczonych eonów posługiwania się Sztuką nie zatraciłem wszystkich atrybutów człowieczeństwa. A człowiek, który zgłębił Czarną Sztukę, jest potężniejszy od diabła. Jestem człowiekiem, lecz władam demonami. Widziałaś Panów Czarnego Kręgu; gdybym ci powiedział, z jak odległych królestw ich wezwałem i przed jakim losem chroni ich mój zaczarowany kryształ oraz złote żmije, postradałabyś zmysły z przerażenia. I tylko ja jestem ich panem. Mój głupi Khemsa marzył o wielkości — biedny dureń rozbijający bramy i przenoszący się razem ze swoją kochanką w powietrzu, ze szczytu na szczyt! Jednak gdybym go nie zabił, pewnego dnia mógłby się stać równie potężny jak ja.

Znów się roześmiał.

— A ty, niemądre stworzenie, intrygowałaś, chcąc wysłać włochatego wodza górali na podbój Yimshy! To świetny żart; gdyby tylko przyszło mi to do głowy, sam postarałbym się, byś wpadła w jego ręce. I czytam w twoich myślach, że nawet wtedy, gdy cię pojmał, nie poniechałaś myśli o uczynieniu go swym narzędziem, zamierzając użyć swych kobiecych sztuczek. Jednak mimo całej swej głupoty jesteś kobietą, na którą przyjemnie popatrzeć. Mam zamiar zatrzymać cię jako niewolnicę.

Słyszając te słowa, spadkobierczyni tysiąca dumnych imperatorów krzyknęła ze wstydem i wściekłością:

— Nie ośmielisz się!

Jego drwiący śmiech smagnął ją jak batem.

— Król nie ośmieli się zdeptać robaka na swej drodze? Czy nie rozumiesz, głuptasie, że twoja królewska дума znaczy dla mnie tyle, co źdźbło słomy na wietrze? Ja, który całowałem królowe piekiel! Widziałaś, jak rozprawiam się z tymi, którzy mi się sprzeciwiają!

Skulona ze strachu dziewczyna klęczała na aksamitnym posłaniu. Światło przygasło i w komnacie zrobiło się mroczniej. Twarz Władcy przybrała upiorny wygląd. W jego głosie pojawił się nowy, rozkazujący ton.

— Nigdy ci nie ulegnę! — powiedziała drżącym ze strachu, lecz zdecydowanym głosem.

— Ulegniesz — odrzekł ze straszliwą pewnością siebie. — Strach i ból nauczą cię pokory.

Będę cię chłostał przerażeniem i grozą do granic twej wytrzymałości, aż staniesz się w moich rękach jak wosk; miękka i podatna na każde życzenie. Doświadczysz cierpień, jakich nie zaznała żadna śmiertelna kobieta, dopóki każdy mój rozkaz nie stanie się dla ciebie wolą bogów. Najpierw by ukorzyć twą dumę,



podążysz z powrotem w zapomnianą przeszłość i ujrzysz wszystkie swe poprzednie wcielenia. Aie, yil la khosa!

Przy tych słowach mroczna komnata zafalowała przed oczyma wystraszonej Yasminy. Włosy stanęły jej dęba na głowie, a język przywarł do podniebienia. Skądś nadleciał głęboki, złowieszczy dźwięk gongu. Smoki na gobelinach rozbłysły niebieskawym płomieniem i zniknęły. Siedzący na podium Władca stał się tylko bezkształtnym cieniem. Szary półmrok zmienił się w gęstą i miękką, niemal namacalną ciemność, pulsującą dziwnym promieniowaniem. Yasmina nie mogła już dostrzec Władcy. Nic nie widziała. Miała niejasne wrażenie, że ściany i sufit oddalają się od niej, nikną.

Wtem gdzieś w ciemności pojawił się płomyk, zapalający się i gasnący jak nocny robaczek. Powiększył się do rozmiarów piłki, pojaśniał, stał się oślepiająco biały. Nagle rozprysnął się, sypiąc deszczem iskier, które nie rozjaśniły mroku. W komnacie pozostała jednak słaba poświata, pozwalająca dostrzec czarny, smukły pień strzelający w górę z kamiennej posadzki. Na oczach oszołomionej Yasminy pień wypuścił odnogi, nabrał kształtu; pojawiły się gałęzie, szerokie liście i wielkie, czarne trujące kwiaty, kłoniące się nad skuloną na podium dziewczyną. W powietrzu rozszedł się subtelny zapach. To straszliwy, czarny lotos wyrósł w oka mgnieniu z posadzki, tak jak rośnie w tajemniczych, nieprzebytych dżunglach Khitaju.

Szerokie liście kołysały się ze złowrogim szelestem. Kwiaty chyliły się ku Yasminie jak rozumne stworzenia, płasząc węzowatymi ruchami na bladawych łodyżkach. Ledwie widoczne na tle gęstych, nieprzeniknionych ciemności unosiły się nad nią jak gigantyczne ćmy, w jakiś niejasny sposób dając znać śmierci i rozkładu — upiorna czaszka obciążnięta przegniłą

jak stary pergamin skórą.

Yasmina krzyknęła jeszcze raz, po czym — gdy kłapiące, wyszczerzone szczęki zbliżyły się do jej ust — straciła przytomność...

Nad białymi szczytami Himelii wstało słońce. U podnóża długiego stoku zatrzymała się grupa jeźdźców, spoglądając w górę. Wysoko nad ich głowami, na zboczu góry, wznosiła się kamienna wieża. Dalej i wyżej biegły mury jeszcze potężniejszej warowni, stojącej tuż przy linii wiecznych śniegów okrywających szczyt Yimshy. Widok ten miał w sobie coś nierealnego; purpurowe zbocza wiodły do fantastycznego zamku wyglądającego jak dziecinna zabawka, a biało błyszczący szczyt za nim zdawał się wbijać w zimny błękit nieba.

— Zostawimy tu wierzchowce — mruknął Conan, — Ten zdradliwy stok lepiej przebyć pieszo. Poza tym konie mają dość.

Zeskoczył z czarnego ogiera, który stał na szeroko rozstawionych nogach i ze spuszczonym łbem. Przez całą noc parli naprzód, pożywiając się resztkami wygrzebanymi z juków i przystając tylko po to, by dać koniom odetchnąć.

— W tej wieży mieszkają akolici Czarnych Wróżbitów — rzekł Conan. — Czy też, jak ich nazywają, psy łańcuchowe swoich panów. Nie będą siedzieć z założonymi rękami, kiedy zobaczą nas na stoku.

Kerim Szach zerknął w górę, a potem odwrócił się, patrząc na drogę, którą przebyli; znajdowali się już wysoko na zboczu Yimshy. Turańczyk na próżno wypatrywał w tym labiryncie jakiegokolwiek ruchu zdradzającego nadchodzącą pogoń. Najwidoczniej Afgulisi zgubili w nocy ślad swojego wodza.

— Chodźmy więc!

Uwiązali zmęczone konie przy kępie tamaryszku i bez dalszych komentarzy ruszyli pod górę. Byli widoczni jak na dłoni. Nagi stok był usłany głazami zbyt małymi, aby mógł się za nimi ukryć człowiek. Mogły jednak służyć za kryjówkę innym stworzeniom.

Nie uszli jeszcze pięćdziesięciu kroków, gdy zza jednego z kamieni wypadł warczący kształt, tocząc pianę z pyska i błyskając nabiegłymi krwią ślepiami. Conan szedł jako pierwszy, ale pies nie zaatakował go. Przemknął obok i rzucił się na Kerima Szacha.

Turańczyk odskoczył w bok i wielkie zwierzę wpadło na idącego za nim Irakzajczyka. Wojownik krzyknął i zasłonił się ramieniem. Bestia obaliła go na wznak, rozszarpując rękę i w następnej chwili padła pod ciosem tuzina szabel. Nie zaniechała jednak prób pochwycenia w szczęki kolejnej ofiary, dopóki nie została dosłownie porąbana na kawałki.

Kerim Szach owinął rannemu rozcięte ramię, spojrzął nań uważnie i odwrócił się bez słowa. Dołączył do Conana i wszyscy w milczeniu wznowili wspinaczkę.

W końcu Kerim Szach powiedział:

— To dziwne, że wioskowy kundel zabłąkał się aż tutaj.

— Nie ma tu nic do żarcia — przytaknął Cymeryjczyk. Obaj odwrócili głowy i spojrzeli na rannego wojownika, maszerującego za nimi wśród innych Irakzajczyków. Jego ciemna twarz błyszczała od potu, a wykrzywione grymasem bólu wargi odsłaniały wyszczerzone zęby.

Conan i Kerim Szach znów popatrzyli na wznoszącą się przed nimi kamienną wieżę. Nad wyżyną zaległa senna cisza. Ani na wieży, ani na murach stojącej za nią, podobnej do piramidy budowli nie zauważyli śladu ruchu. Szli w napięciu, jak ludzie

spacerujący po krawędzi wulkanu. Kerim Szach zdjął z ramienia potężny, turański łuk, który zabijał z odległości pięciuset kroków; Irakzajczycy sięgnęli po swoje — lżejsze i o mniejszym zasięgu.

Nie zdążyli jednak jeszcze podejść do wieży na odległość strzału z łuku, gdy coś niespodziewanie spadło na nich z bezchmurnego nieba. Przeleciało tak blisko Cymeryjczyka, że ten poczuł muśnięcie łopoczących skrzydeł na twarzy, lecz to nie on, lecz następny Irakzajczyk zachwiał się i upadł, brocząc krwią z rozdartej tętnicy. Sokół o piórach barwy polerowanej stali, z okrwawionym, wygiętym jak bułat dziobem, znów wbił się w niego i znieruchomiał nagle, gdy brzęknęła cięciwa łuku Kerima Szacha. Ptak runął jak kamień, ale żaden z mężczyzn nie potrafił wskazać miejsca, gdzie uderzył o ziemię.

Conan pochylił się nad ofiarą ataku, lecz wojownik już nie żył. Nikt się nie odezwał — nie było sensu roztrząsać tego faktu ani tego, że jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by sokół zaatakował człowieka. W duszach dzikich Irakzajczyków wściekłość współzawodniczyła z fatalistyczną apatią. Owłosionymi rękami ściskali łuki i rzucali mściwe spojrzenia w kierunku wieży, której bezruch zdawał się z nich szydzić.

Następny atak przyszedł szybko. Wszyscy to zobaczyli — biały kłęb dymu przetoczył się przez krawędź wieży i spłynąwszy w dół, potoczył się po stoku. Za nim pojawiły się następne. Wyglądały niegroźnie, jak puszyste kule mętnej piany, lecz Conan odsunął się na bok, unikając zetknięcia z pierwszą. Jeden z Irakzajczyków idących za nim wyciągnął rękę i dźgnął mieczem białą chmurę. Rozległ się ogłuszający huk. Kłęb dymu zniknął w oślepiającym rozbłysku, a ze zbyt ciekawego wojownika pozostała tylko kupka zwęglonych, poczerniałych kości. Pomarszczona dłoń wciąż zaciskała się na rękojęści z kości

słoniowej, ale ostrze miecza stopiło się i wyparowało w straszliwym żarze. Mimo to inni wojownicy, nawet ci stojący o wyciągnięcie ręki od ofiary, nie ponieśli szwanku; byli tylko oszołomieni i trochę oślepieni nagłym błyskiem.

— Wybucho w zetknięciu z żelazem — mruknął Conan. — Spójrz, nadciągają!

Stok powyżej był prawie pokryty toczącymi się kulami. Kerim Szach naciągnął cięciwę i wysłał strzałę w największy ich gąszcz. Trafiony grotem obłok rozprysnął się jak bańka mydlana, tryskając ogniem. Pozostali wojownicy poszli za przykładem Turańczyka i przez kilka chwil na zboczu szalała burza, waliły pioruny i błyskawice sypały deszczem iskier. Kiedy białe kłęby zniknęły, w kołczanach łuczników pozostało niewiele strzał.

Zaciekle przedzierali się w górę po zwęglonej i poczerniałej ziemi, omijając miejsca, gdzie naga skała zmieniła się w lawę od żaru tych piekielnych wybuchów.

Wreszcie dotarli na odległość strzału z łuku od milczącej wieży i rozciągnęli szyki, nerwowo wypatrując następnej koszmarnej niespodzianki szykowanej przez obrońców.

Na murach pojawiła się samotna postać, niosąca trzymetrowy mosiężny róg. Chrapliwy ryk przetoczył się po stoku niczym dźwięk trąb na Sąd Ostateczny. Natychmiast odpowiedziało mu głucho dudnienie i łoskot dobywający się z podziemnych głębi. Grunt zatrzęsł się pod stopami wojowników.

Irakzajczycy z okrzykami przerażenia zaczęli się zataczać jak pijani na rozdygotanym zboczu, lecz Conan z wściekłym błyskiem w oku i kindzałem w garści pomknął jak wicher po pochyłości, prosto do widniejących w ścianie drzwi. W górze rozbrzmiewał drwiący ryk i skowyt wielkiego rogu. Kerim Szach przyciągnął strzałę do ucha i zwolnił cięciwę.

Tylko Turańczyk mógł oddać taki strzał. Głos rogu urwał się nagle i wysoki, przenikliwy krzyk przeszył powietrze. Stojąca na wieży postać w zielonej szacie zachwiała się, szarpiąc sterczące w piersi długie drzewce, po czym przechyliła się przez parapet i runęła w dół.

Wielki róg potoczył się i zawisł na krawędzi muru; inna postać w zielonej todze skoczyła, by go schwycić. Znowu brzęknęła cięciwa i znów odpowiedział jej wrzask agonii. Drugi akolita, padając, strącił łokciem róg, który roztrzaskał się na głazach u stóp wieży.

Conan z taką szybkością przebył przestrzeń dzielącą go od drzwi, że jeszcze nie przebrzmiały dudniące echa tego upadku, a już rąbał w nie ostrzem swej broni. Instynktownie cofnął się, unikając porcji wylanego z góry roztopionego ołowiu. W następnej chwili znów był przy bramie, atakując ją ze zdwojoną furią. Fakt, że wrogowie uciekali się do takich pospolitych sposobów, dodał mu ducha. Czary akolitów podlegały jednak jakimś ograniczeniom. Być może wyczerpali już wszystkie zasoby swoich czarnoksięskich sztuczek.

Zboczem nadbiegł Kerim Szach, a za nim reszta słaniających się wojowników. W biegu wypuszczali strzały, które ze świstem przelatowały za mur lub roztrzaskiwały się o blanki.

Grube, tekowe drzewo ustąpiło wreszcie pod ciosami Cymeryjczyka, który zajrzał ostrożnie do środka, przygotowany na najgorsze. Zobaczył owalną komnatę i wiodące w górę kręte schody. Po przeciwnej stronie szeroko otwarte drzwi ukazywały stok... i plecy pół tuzina zielono odzianych postaci zmykających ile sił w nogach.

Conan zawył i skoczył do środka, lecz wrodzona ostrożność kazała mu przystanąć i rzucić się w tył o mgnienie oka wcześniej,

nim ogromny, kamienny blok z trzaskiem runął na posadzkę w miejscu, gdzie przed chwilą postawił stopę. Cymeryjczyk pognął wzdłuż muru, krzykiem wzywając pozostałych, aby szli w jego ślady.

Akolici wycofali się z pierwszej linii obrony. Gdy Conan obiegnął wieżę, zobaczył ich zielone sylwetki wysoko w górze. Dysząc rzadzą zemsty, popędził za nimi, a Kerim Szach i Irakzajczycy deptali mu po piętach. Chwilowy triumf kazał im zapomnieć o wrodzonym fatalizmie; na widok uciekających wrogów zawyli jak stado wilków.

Wieża stała na dolnym krańcu wąskiego płaskowyżu, niemal niedostrzegalnie nachylonego do stoku. Po kilkuset jardach płaskowyż kończył się nagle głęboką rozpadliną, zupełnie niewidoczną z dołu. Do tej rozpadliny skoczyli akolici, nawet nie zwolniwszy kroku. Ścigający zobaczyli tylko ich rozwiane, zielone szaty znikające za krawędzią urwiska.

W kilka chwil później ścigający również stanęli na skraju fosy oddzielającej ich od zamku Czarnych Wróżbitów. Jak okiem sięgnąć, w obie strony biegł szeroki na czterysta i głęboki na dwieście metrów wąwóz o pionowych ścianach, najwidoczniej opasujący cały wierzchołek Yimshy. Od brzegu do brzegu wypełniała go dziwna, skrząca się i błyszcząca, przejrzysta mgła.

Conan spojrział w dół i zaklął pod nosem. Dostrzegł odzianych na zielono akolitów, pospiesznie przemierzających błyszczące niczym srebro dno doliny. Ich sylwetki były zamazane i niewyraźne, jakby zanurzone w głębokiej wodzie. Szli rzędem, kierując się ku przeciwległej ścianie fosy.

Kerim Szach napiął łuk i wypuścił świszczącą strzałę. Jednak pocisk wpadłszy w mgłę wypełniającą rozpadlinę, zdawał się gwałtownie tracić szybkość i zboczywszy, padł daleko od celu.



— Jeżeli oni zdołali tam zejść, to my też możemy! — mruknął Conan do stojącego obok Kerima Szacha, który ze zdumieniem patrzył na lot swojej strzały. — Widziałem, że szli tędy...

Wyteżywszy wzrok dostrzegł w dole coś, co przypominało złotą nić, rozciągniętą przez całą szerokość kanionu. Akolici szli wzdłuż tej nici i nagle Cymeryjczyk przypomniał sobie niezrozumiałe słowa Khemisy: „trzymaj się złotej żyły!” Pochyliwszy się, znalazł na brzegu rozpadliny cienki pas skrzętego się złota; powierzchniowe złożo biegło w dół i przez srebrne dno parowu. Zobaczył też coś innego: coś, czego przedtem nie mógł zauważyć z powodu szczególnego załamywania się światła. Złota żyła biegła wzdłuż wąskiej rampy opuszczającej się na sam dół i zaopatrzonej w wyżłobienia dla rąk i nóg.

— A więc to w ten sposób zeszli na dół — rzekł do Kerim Szacha. — Nie potrafią unosić się w powietrzu. Pójdziemy za...

W tejże chwili mężczyzna ugryziony przez psa krzyknął okropnie i skoczył na Kerima Szacha, szczerząc zęby i tocząc z ust pianę. Zwinny jak kot Turańczyk odskoczył w bok i szalenie runął głową w dół do parowu. Pozostali podbiegli do krawędzi i szeroko otworzyli oczy ze zdumienia. Mężczyzna wcale nie spadł jak kamień na dno rozpadliny, lecz spływał wolno przez różową mgiełkę, niczym człowiek tonący w wodzie. Kończynami wykonywał gwałtowne ruchy, a jego spurpurowiała i konwulsyjnie wykrzywiona twarz wyrażała raczej ból niż szaleństwo. W końcu opadł na błyszczące dno fosy i legł bez ruchu.

— W tej rozpadlinie czyha śmierć — wymamrotał Kerim Szach, cofając się przed różową mgiełką, która sięgała prawie do jego stóp. — I co teraz, Conanie?

— Idziemy dalej! — odparł ponuro Cymeryjczyk. — Ci akolici to zwykli ludzie: jeżeli mgła nie zabiła ich, nie zabije też nas.

Podciągnął pas i mimochodem dotknął przy tym daru Khem—sy. Zmarszczył brwi i uśmiechnął się blado. Zupełnie zapomniał o tym pasie, a jednak trzyCromie śmierć ominęła go, powalając inną ofiarę.

Akolici dotarli do przeciwległej ściany i pełzli po niej jak wielkie zielone muchy. Conan wszedł na rampę i zaczął ostrożnie schodzić. Różowa chmura otoczyła mu stopy i przesuwiała się wyżej, w miarę jak opuszczał się po rampie. Sięgnęła mu do kolan, do ud, później do pasa i do ramion. Czuł ją wokół siebie jak gęsty opar w wilgotną noc. Gdy dotarła do szyi, zawahał się, ale zanurzył w niej głowę. Natychmiast zaczął się dusić; nieubłagana siła pozbawiła go tchu i objęła miazdzącym żebra uściskiem. Conan rozpaczliwie skoczył w górę, walcząc o życie. Wystawił głowę na powierzchnię i wielkimi haustami łapał powietrze.

Kerim Szach pochylił się nad nim, mówiąc coś, lecz Conan nie dosłyszał i nie zwrócił na to uwagi. Myślnie uparcie powracał do wskazówek umierającego Khem—sy. Spróbował wymacać złotą żyłę i stwierdził, że schodząc pozostawił ją nieco z boku. Spostrzegł szereg wyżłobionych w rampie wgłębień dla rąk i nóg. Stanąwszy dokładnie na żyłę, zaczął się ponownie opuszczać. Różowa mgielka otoczyła go i wkrótce zakryła zupełnie. Głowę miał pod powierzchnią, ale stojąc na złotej żyłę wciąż mógł oddychać. W górze zobaczył twarze spoglądających na niego towarzyszy, nieco rozmazane przez błyszczącą mgielkę. Gestem pokazał, aby szli za nim, i spiesznie ruszył w dół, nie czekając, aż pójdą za jego przykładem.

Kerim Szach bez słowa wepchnął miecz do pochwy i poszedł w

ślady Cymeryjczyka, a Irakzajczycy podążyli za nim, bardziej obawiając się utraty przywódcy i przewodnika w jednej osobie niż wszystkich okropności, jakie mogły się kryć w rozpadlinie. Trzymali się złotego pasma, tak jak pokazał im Cymeryjczyk.

Opuścili się na dno fosy i powędrowali srebrzystą równiną, krocząc po złotym paśmie, jak ludzie stąpający po linie rozpiętej nad przepaścią. Szli jakby niewidzialnym tunelem, przez który przepływało powietrze. Ze wszystkich stron napierała na nich śmierć.

Ścieżka, którą umknęli wrogowie, biegła do rampy po drugiej stronie rozpadliny i znikła za krawędzią. Ruszyli ku niej, w napięciu oczekując spotkania z nieznanym niebezpieczeństwem kryjącym się wśród ostrych głazów, którymi był najeżony skraj urwiska.

Czekali tam na nich odziani w zielone szaty, uzbrojeni w noże akolici. Może w swojej ucieczce dotarli do granicy, której nie mogli przekroczyć. Może opasujący brzuch Conana stygijski pas był przyczyną tego, że ich zaklęcia okazały się tak słabe i nieskuteczne. Może, wiedząc, że to niepowodzenie zostanie ukarane śmiercią, postanowili użyć ostatniego sposobu i z nożami w rękach wypadli z skał.

Wśród poszarpanych głazów rozgorzała krwawa walka, w której posługiwano się nie sztuką czarnoksiężką, lecz żelazem. Szczękała stal i spadające ze świstem ostrza przecinały ciało; żylaste ramiona zadawały potężne ciosy; płynęła krew, a padający byli tratowani stopami walczących.

Wprawdzie jeden z Irakzajczyków wykrwawił się na śmierć, ale akolici zginęli co do jednego — pocięci i porąbani na kawałki, zrzućeni do fosy, gdzie wolno opadali na lśniące daleko w dole srebrzyste dno.

Zwycięzcy otarli z czoł krew i pot, spoglądając po sobie. Oprócz Conana i Kerima Szacha jeszcze czterech Irakzajczyków wyszło cało z potyczki.

Stali wśród poszarpanych skał tworzących zębatą krawędź rozpadliny. Wijąca się po łagodnym stoku ścieżka prowadziła stamtąd do szerokich schodów, zbudowanych z pół tuzina stopni z zielonego, przypominającego nefryt kamienia. Schody wiodły na szeroką galerię z tego samego polerowanego materiału, a za nią, piętro po piętrze, wznosił się zamek Czarnych Wróżbitów. Wydawało się, że wykuto go w pionowym, skalnym urwisku. Architektura zamku była piękna, choć pozbawiona ozdób. Liczne okna były zamknięte i zasłonięte okiennicami. Nigdzie nie dostrzegli śladu życia, przyjaznej czy wrogiej istoty.

Bez słowa poszli ścieżką — ostrożnie, jak ludzie zbliżający się do siedliska żmij.

Irakzajczyki maszerowali jak w transie, niczym idący na pewną śmierć. Nawet Kerim Szach milczał. Tylko Conan zdawał się nie pojmować, jakim ogromnym wyłomem w powszechnie przyjętych poglądach, jakim bezprzykładnym pogwałceniem tradycji był ich czyn. On nie pochodził ze Wschodu: spłodziła go rasa, która walczyła z demonami i czarnoksiężnikami równie zaciekle i skutecznie, co z ludzkimi wrogami.

Wszedł po błyszczących schodach i przez szeroką, zieloną galerię przeszedł do znajdujących się na wprost obitych złotem drzwi z tekowego drzewa. Obrzucił czujnym spojrzeniem wyższe piętra wznoszącej się przed nim wielkiej piramidy zamku. Wyciągnął rękę do mosiężnego uchwyty, który sterczał z drzwi jak klamka — i z krzywym uśmiechem zatrzymał się w pół drogi. Klamka miała kształt żmii o wygiętym karku i uniesionej głowie; Conan podejrzewał, że metalowy gad może nagle ożyć pod

dotknięciem jego dłoni.

Jednym ciosem odrąbał uchwyt i brzęk mosiądzu na szklistej posadzce wcale nie uciszył jego podejrzeń. Końcem kindżału odrzucił klamkę na bok i znów odwrócił się do drzwi.

Wokół panowała niezmacona cisza. Różowa mgiełka otulała dalekie szczyty. Słońce błyszczało na okrytych śniegiem wierzchołkach. Wysoko w górze zawisł sęp — czarny punkcik na błękicie nieba. Prócz niego jedynymi żywymi istotami byli ludzie stojący przed obitymi złotą blachą drzwiami; maleńkie figurki na galerii z zielonego nefrytu, przylepionej do stoku ogromnej góry — Yimshy.

Smagnał ich zimny wiatr spadający z lodowców, szarpiąc łachmanami szat. Spadający na masywne drzwi kindżał Conana wywoływał grzmiące echa. Cymeryjczyk uderzał raz po raz, przecinając tek i metalowe listwy. Po chwili ostrożnie zajrzał do środka przez wybity otwór.

Ujrzał obszerną komnatę o nagich ścianach z wygładzonego kamienia i mozaikowej posadzce. Jedyne umeblowanie stanowiły stołki z polerowanego hebanu i kamienne podium. Nigdzie nie dostrzegł śladu ludzkiej obecności. Po przeciwnej stronie komnaty zobaczył następne drzwi.

— Zostaw strażnika na zewnątrz — mruknął. — Wchodzimy do środka.

Kerim Szach wyznaczył wojownika, który miał pełnić wartę, i wskazany z łukiem w ręku wrócił na środek galerii. Conan wszedł do zamku, a za nim Turańczyk i trzech pozostali Irakzajczycy. Wartownik przed drzwiami splunął, mruknął coś pod nosem i drgnął gwałtownie, słysząc cichy, drwiący śmiech. Podniósł głowę i zobaczył stojącą na piętrze wysoką, czarno odzianą postać, która spoglądała na niego pogardliwie,

szyderczo, kiwając głową. Irakzajczyk błyskawicznie naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę, która śmignęła w górę i wbiła się w opiętą czarną togą pierś. Drwiący uśmiech nie zniknął z ust Wróżbity; mag wyrwał pocisk z ciała i wzdorliwym gestem odrzucił go łucznikowi. Wojownik odskoczył, instynktownie zasłaniając się ręką. Jego palce zacisnęły się na koziółkującym w powietrzu drzewcu.

Irakzajczyk wydał przeraźliwy wrzask. Drewniana strzała w jego rękę zaczęła się wić.

Proste drzewce nagle stało się giętkie, jakby stopniało w jego dłoni. Próbował odrzucić to coś od siebie, lecz było już za późno. Zimne sploty otoczyły mu przegub, a paskudny, klinowaty łeb pomknął ku muskularnemu ramieniu. Wojownik krzyknął ponownie — twarz nabiegła mu purpurą, a oczy zdawały się wychodzić z orbit. Wstrząsany straszliwymi konwulsjami osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Mężczyźni, którzy weszli do zamku, zawrócili na jego pierwszy okrzyk. Conan spiesznie podszedł do wyważonych drzwi i stanął jak wryty, zbity z tropu. Patrzącym na to towarzyszom wydawało się, że Cymeryjczyk mocuje się z powietrzem. Mimo że niczego nie mógł dostrzec, czuł pod palcami śliską, gładką powierzchnię i zrozumiał, iż przejście zostało zamknięte kryształową płytą. Widział przez nią nieruchomo leżącego na środku galerii Irakzajczyka z pierzastą strzałą tkwiącą w ramieniu.

Conan uniósł kindżał i uderzył, a patrzący z osłupieniem kompani zobaczyli, jak ostrze odskakuje od niewidocznej przeszkody z głośnym brzękiem, jakby stał napotkała twardą substancję. Conan zaniechał dalszych prób. Wiedział, że nawet legendarny talwar Amira Kuruma nie zdołałby strzaskać tej niewidzialnej zapory. W kilku słowach wyjaśnił rzecz Kerimowi

Szachowi. Turańczyk wzruszył ramionami.

— Cóż, jeśli odcięto nam powrotną drogę, to musimy znaleźć inną. Zatem ruszamy naprzód, no nie?

Przytąknąwszy, Cymeryjczyk odwrócił się i pomaszerował do drzwi po drugiej stronie komnaty, mając wrażenie, że idzie na spotkanie nieuchronnej śmierci. Podniósł kindżał, by uderzyć w drzwi, lecz te otworzyły się cicho, jakby obdarzone własną wolą. Conan przeszedł przez próg i znalazł się w ogromnej sali. Pod jej bocznymi ścianami ciągnęły się rzędy wysokich, lśniących kolumn, a trzydzieści metrów od drzwi zaczynały się szerokie, nefrytowe stopnie schodów, zwężających się ku górze niczym boki piramidy. Nie miał pojęcia, co znajdowało się dalej, lecz aby wejść na schody, musiał minąć dziwny ołtarz z czarnego jak węgiel kamienia. Cztery wielkie, złote żmije owijały się wokół naroży ogonami, wysoko unosząc zwrócone w cztery strony świata klinowate łby — niczym strażnicy legendarnego skarbu. Jednak na strzeżonym przez nie ołtarzu spoczywała tylko kryształowa kula, wypełniona chmurą niby—dymu, w której unosiły się cztery złote owoce granatu. Ten widok wzbudził w umyśle Conana jakieś niewyraźne wspomnienie, ale nie poświęcił temu uwagi, ponieważ na dolnych stopniach schodów ujrzał cztery czarno odziane postacie. Nie zauważył, kiedy Wrózbici nadeszli; po prostu stali tam, zgodnie kołysząc ptasimi głowami, wysocy i chudzi, o dłoniach i stopach ukrytych w fałdach luźnych szat.

Jeden z nich podniósł rękę: rękaw jego togi opadł odsłaniając dłoń... która wcale nie była dłonią. Wbrew swej woli Conan zatrzymał się wpół kroku. Napotkał siłę odmienną od mesmeryzmu Khemisy i nie był w stanie zrobić ani kroku w przód, chociaż czuł, że może cofnąć się, jeżeli zechce. Jego

towarzysze również stanęli i wydawali się jeszcze bardziej bezradni niż on; byli niezdolni do jakiegokolwiek ruchu.

Wróżbita uniesionym ramieniem skinął na jednego z Irakzajczyków, który ruszył ku niemu jak w transie, z wbitymi w dal, wytrzeszczonymi oczyma i mieczem w bezsilnie opuszczonej ręce. Gdy wojownik mijał Conana, ten zagroził mu drogę wyciągniętym ramieniem.

Cymeryjczyk był o wiele silniejszy od Irakzajczyka i w normalnych warunkach z łatwością mógłby go zgnieść jak muchę. Jednak teraz wojownik odepchnął jego rękę jak źdźbło trawy, po czym podrygującym, mechanicznym krokiem podszedł do schodów. Dotarł do stopni i ukląkł sztywno, podając swój miecz i pochylając głowę. Wróżbita wziął od niego broń.

Błysnęło uniesione i opuszczone ostrze. Głowa Irakzajczyka spadła z ramion i z głuchym łomotem potoczyła się po czarnej, marmurowej posadzce. Z rozrąbanych arterii trysnęła fontanna krwi, po czym ciało osunęło się i legło z rozrzuconymi szeroko rękoma.

Zdeformowana dłoń znów uniosła się i skinęła na kolejnego Irakzajczyka, który chwiejnie ruszył na spotkanie śmierci. Koszmarna scena powtórzyła się i drugie bezgłowe ciało legło obok pierwszego.

Gdy trzeci góral przeszedł obok Conana, zdążając ku swej zgubie, Cymeryjczyk, któremu żyły nabrzmiały na skroniach z wysiłku, jaki wkładał w daremne próby przełamania trzymającej go niewidzialnej bariery, nagle zdał sobie sprawę, że wokół budzą się nieznane, przyjazne moce. Ta świadomość przyszła bez ostrzeżenia, niespodziewanie, lecz z taką siłą, że nie mógł wątpić w to, co podpowiadał mu instynkt. Lewa ręka Conana mimowolnie wsunęła się pod bachariocki pas i zacisnęła się na



stygijskim darze Khemsy. Ścisnął go i momentalnie poczuł przypływ nowych sił w zdrętwiałych kończynach: wola życia wybuchła w nim z intensywnością blasku rozżarzonej do białości stali, a towarzyszył jej dojmujący gniew.

Trzeci Irakzajczyk był już bezwładnym trupem i odrażający palec skinął ponownie, gdy Conan poczuł, że niewidzialna bariera pęka. Z jego gardła wydobył się dziki okrzyk i nagromadzona wściekłość znalazła ujście w błyskawicznym ataku. Runął jak burza na Wróżbitów, zaciskając lewą rękę na czarodziejskim pasie z rozpaczliwą siłą, z jaką tonący przytrzymuje się dryfującego pnia. Długie ostrze w prawej dłoni lśniło niczym promień słońca. Stojący na schodach Wróżbici nie poruszyli się. Jeżeli nawet byli zdziwieni, to nie okazali tego; patrzyli zimno i obojętnie. Conan nie tracił czasu na rozważania, co robi, gdy znajdują się w zasięgu jego kindżału. Ogarnęła go żądza mordy — chciał tylko wbić ostrze w ciała wrogów, zanurzyć je w ich krwi.

Był już o parę kroków od schodów, na których stali szyderczo uśmiechnięci Wróżbici. Nabrał powietrza w płuca; wściekłość rosła w nim z każdym susem. Właśnie mijał ołtarz z oplatającymi go złotymi zmijami, gdy jak błysk gromu spadło nań wspomnienie tajemniczych słów Khemsy i usłyszał je, jakby ktoś wyszeptał mu do ucha: „Stłucz kryształową kulę”.

Zareagował niemal odruchowo. Między impulsem a działaniem upłynął tak nieskończenie mały ułamek chwili, że największy z czarnoksiężników nie zdołałby odczytać myśli i zapobiec temu, co nastąpiło. Zwinnie jak kot zmienił kierunek ataku i z trzaskiem spuścił kindżał na kryształową kulę. Natychmiast poczuł niemalże namacalne tchnienie grozy, płynącej ze schodów, z ołtarza czy też samego kryształu. Uszy

rozdarł mu przeraźliwy syk rozzłoszczonych żmij, które ożyły nagle i unosząc ohydne łby, próbowały kąsać. Jednak rozwścieczony Conan był dla nich zbyt szybki. Błyszcząca klinga przecięła odrażające cielska jedno po drugim i ponownie spadła na kryształową kulę. Z gromowym hukiem kryształ rozprysnął się, sypiąc deszczem ognistych odłamków na czarny marmur posadzki, a złote owoce granatu, jakby uwolnione z uwięzi, wystrzeliły pod wyniosły sufit i zniknęły.

Oszalały wrzask, zwierzęcy i upiorny, odbił się echem w wielkiej sali. Cztery czarne postacie na schodach wiły się i skręcały w konwulsjach, tocząc pianę z posiniałych ust.

Crescendo nieludzkiego wycia nagle się urwało. Wróżbici zeszywnieli i zamarli w bezruchu.

Conan wiedział, że są martwi. Popatrzył na ołtarz i kryształowe skorupy. Cztery bezgłowe, złociste żmije wciąż owijały się wokół ołtarza, ale w ich metalowych cielskach nie pozostał nawet ślad życia.

Kerim Szach wolno podnosił się z kolan, na które rzuciła go niewidzialna siła. Potrząsnął głową, by wyzbyć się uporczywego dzwonięcia w uszach.

— Słyszałeś ten trzask, kiedy rozbiłeś kulę? — zapytał. — Jakby jednocześnie z nią w zamku roztrzaskano tysiąc kryształowych lusterek. Czy w tych złocistych jabłkach granatu były uwięzione dusze czarnoksiężników? Ha!

Conan odwrócił się, widząc, że Kerim Szach sięga po miecz i wskazuje coś ręką. Na szczycie schodów pojawiła się nowa postać. Nieznajomy był także odziany w czarną togę, ale z bogato haftowanego aksamitu, a na głowie miał spiczastą czapkę. Na jego przystojnej twarzy malował się niezmacony spokój.

— Kim, do diabła, jesteś? — spytał Conan, spoglądając na

nieznajomego.

— Jestem Władcą Yimshy! — odparł tamten głosem huczącym jak święteczny dzwon i przepojonym okrutną radością.

— Gdzie jest Yasmina? — spytał Kerim Szach. Władca wybuchnął śmiechem.

— I po co ci to wiedzieć, trupie? Czyż tak szybko zapomniałeś o mej sile, której niegdyś ci użyczyłem, że przybyłeś walczyć ze mną, biedny głupcze? Chyba będę musiał wydrzeć ci serce, Kerimie Szachu!

Wyciągnął rękę, jakby spodziewał się, że coś w nią wpadnie, i Kerim Szach krzyknął przeraźliwie w śmiertelnej męce. Zatoczył się jak pijany; nagle rozległ się trzask pękających kości i ogniów kolczugi, a z piersi Turańczyka trysnął strumień krwi i przez okropną dziurę rozszarpanych tkanek wystrzeliło coś czerwonego i ociekającego — wprost do nastawionej dłoni Władcy, jak okruch stali przyciągany przez magnes. Kerim Szach osunął się na posadzkę i legł bez ruchu, a Władca Yimshy ze śmiechem cisnął pod nogi Cymeryjczyka jeszcze bijące, ludzkie serce.

Conan zaklął i z rykiem runął na schody. Z pasa Khemсы płynął strumień siły bezgranicznej nienawiści, pomagający mu przezwyciężyć straszliwą emanację mocy, z jaką zetknął się na schodach. W powietrzu zawisała stalowo błyszcząca mgiełka, w którą zanurzył się jak pływak — opuściwszy głowę, zasłaniając twarz zgiętym ramieniem i mocno ściskając kindżał w lewej ręce. Wyteżając załzawione oczy, nieco wyżej, na stopniach, dostrzegł sylwetkę okrutnego czarnoksiężnika — falującą jak odbicie w wartko płynącej wodzie.

Targały nim i miotały moce, których nie potrafił ogarnąć rozumem, lecz czuł wspierającą go, płynącą z zewnątrz siłę,

która niepowstrzymanie niosła go naprzód mimo potęgi Wróżbity i własnej słabości.

Dotarł na szczyt schodów i przez stalowoszarą mgiełkę ujrzał przed sobą twarz Wróżbity oraz dziwny lęk malujący się w jego niepewnym spojrzeniu. Conan przebrnął przez mgłę jak przez fale przyboju i kindżał w jego muskularnej ręce skoczył w górę niczym żywe stworzenie. Ostrze rozcięło togę Władcy, który odskoczył ze zduszonym okrzykiem. Nagle, na oczach zdumionego Cymeryjczyka, czarnoksiężnik zniknął — po prostu zniknął jak mydlana bańka. Tylko po schodach przemknął jakiś długi i falujący cień.

Conan skoczył za nim na wąskie schody wiodące z podestu w górę. Nie potrafił nazwać tego, co tędy umknęło, ale szalona wściekłość przytłumiła ogarniające go obrzydzenie i strach.

Pobiegł szerokim korytarzem o nagich ścianach i podłodze z polerowanego nefrytu. Przed nim śmignął długi cień, znikając w zasłoniętych kotarą drzwiach. Zawtórował temu przerażony kobiecy krzyk, dobiegający z komnaty w głębi. Ten dźwięk uskrzydlił Conana, który pognał ile sił w nogach do drzwi i już w następnej chwili znalazł się w pomieszczeniu za kotarą.

Ujrzał przerażający widok. Na skraju pokrytego aksamitem podium kulila się Yasmina, wrzeszcząc z przerażenia i odrazy, podniesioną ręką zasłaniając się przed uniesionym ohydny łbem żmii o błyszczącym karku i połyskliwych, ciemnych splotach. Ze zduszonym okrzykiem Conan rzucił kindżałem.

Potwór odwrócił się błyskawicznie i runął na niego jak wiatr przelatujący wśród wysokich traw. Długie ostrze utkwilo w jego karku tak, że rękojeść sterczała z jednej, a koniec klingi z drugiej strony, lecz to tylko zdawało się powiększać wściekłość wielkiego gada. Pochylił ogromny łeb nad człowiekiem, który odważył się

stawić mu czoło, po czym szczerząc ociekające jadem kły, próbował go w nie pochwycić. Jednak w tej samej chwili Conan wyrwał zza pasa sztylet i dźgnął nim z całej siły, kierując ostrze w górę. Stał przebiła dolną szczękę potwora i utkwiała w górnej, przyszpilając je do siebie. Natychmiast wielkie cielsko owinęło się wokół Cymeryjczyka: nie mogąc użyć kłów, wąż spróbował innego sposobu ataku.

Lewa ręka Conana była przyciśnięta do ciała przez oplatające go zwoje, ale prawą miał wolną. Mocno wsparłszy się na rozstawionych dla zachowania równowagi nogach, złapał za wystającą z karku żmii rękojeść kindżału i wyszarpnął z jej cielska. Jakby odgadując swą nieludzką inteligencją zamiary przeciwnika, bestia zaczęła się wić i prężyć, usiłując owinąć się wokół jego wolnego ramienia. Jednak długie ostrze uniosło się już i opadło z szybkością błyskawicy, przecinając niemal na pół grube cielsko.

Zanim Cymeryjczyk zdążył uderzyć ponownie, giętkie zwoje wypuściły go z uścisku i potwór śmignął po posadzce, brocząc krwią z okropnych ran. Conan skoczył za nim, wznosząc broń do ciosu, lecz mordercze cięcie przeszło powietrze, bo wijący się gad usunął się w bok i uderzył łbem w przepierzenie z sandałowego drzewa. Jedna z płyt ustąpiła: długie, broczące krwią cielsko wśliznęło się w otwór i zniknęło.

Cymeryjczyk niezwłocznie zaatakował przepierzenie. Kilkoma ciosami wyrąbał w nim otwór i zajrzał do mrocznej alkowy. Nigdzie nie dostrzegł czarnego, ohydneho gada.

Zobaczył kałuże krwi na marmurowej posadzce i krwawe ślady wiodące do ukrytych w murze drzwi. Były to ślady bosych stóp...

— Conanie!

Okręcił się na pięcie w samą porę, by chwycić w ramiona Devi Vendhyi, która przebiegła przez komnatę i rzuciła mu się na szyję, drżąc ze strachu, wdzięczności i ulgi.

Wszystkie te wydarzenia w najwyższym stopniu wzburzyły gorącą krew Cymeryjczyka. Przycisnął dziewczynę do piersi z siłą, jaka w innych okolicznościach wywołałaby na jej twarzy bolesny grymas, i wycisnął na jej wargach gwałtowny pocałunek. Yasmina nie opierała się. Miejsce Devi zajęła zwykła kobieta. Zamknąwszy oczy utonęła w ulewie jego dzikich, gorących pocałunków, oddając się fali namiętności. Przerwał, by nabrać tchu, i spojrzał na nią: dyszącą, wtuloną w jego potężne ramiona.

— Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz — szepnęła. — Nie zostawiłbyś mnie w tym siedlisku demonów.

Słyszając te słowa, Conan odzyskał rozsądek i świadomość tego, gdzie się znajdują. Podniósł głowę i nadstawił ucha. W zamku na Yimshy panowała cisza, lecz była to cisza przepojona groźbą. Niebezpieczeństwo czaiło się w każdym kącie, szczyrzyło się szyderczo zza każdej draperii.

— Lepiej chodźmy stąd póki czas — mruknął. — Te rany wystarczyłyby, żeby zabić każde zwykłe zwierzę lub człowieka, ale czarnoksiężnik to co innego. Zranisz go, a on odpełza jak ranny wąż, by z jakiegoś magicznego źródła zaczerpnąć nowego jadu.

Podniósł dziewczynę i niosąc ją w ramionach jak dziecko, ruszył przez błyszczący nefrytowy korytarz i schody, w nerwowym napięciu wypatrując oznak niebezpieczeństwa.

— Spotkałam Władcę Yimshy — szepnęła Yasmina, otrząsając się i mocniej obejmując wybawcę. — Rzucił na mnie czary, by złamać moją wolę. Najstraszniejszy był gnijący trup, który chwycił mnie w objęcia... wtedy zemdlałam i leżałam jak

nieżywa, nie wiem, jak długo. Zaraz po odzyskaniu przytomności usłyszałam na dole zgiełk i krzyki, a potem ten wąż wślizgnął się do komnaty i... ach! — zadrżała na to przerażające wspomnienie. — W jakiś sposób wiedziałam, że to nie złudzenie, ale prawdziwa zmija dybiąca na moje życie.

— W każdym razie nie była to zjawa — odparł tajemniczo Conan. — Wiedział, że przegrał, i wołał cię zabić, niż pozwolić, żebym ja cię zabrał.

— Kogo masz na myśli? — spytała niepewnie.

Nagle krzyknęła, przytuliła się do Conana i zapomniała o swoim pytaniu. Zobaczyła leżące u stóp schodów trupy. Zwłoki Wróżbitów nie przedstawiały przyjemnego widoku. Były poskręcane i poczerniałe, a rozchylone szaty odsłaniały stopy i dłonie, które nie miały w sobie nic ludzkiego. Widząc je, Yasmina posiniała i skryła twarz na szerokiej piersi Conana.

Conan szybko przeszedł przez hol, przeciął przedsionek i dotarł do drzwi wiodących na galerię. Spozstrzegł, że posadzka jest usłana drobnymi, błyszczącymi okruchami. Kryształowa płyta zakrywająca wyjście rozsypała się na kawałki. Cymeryjczyk przypomniał sobie trzask towarzyszący rozbiciu spoczywającej na ołtarzu kuli i domyślił się, że w tej samej chwili rozsypały się wszystkie kryształy w zamku, a jakaś niewyraźna, skryta w podświadomości wiedza podsuwała mu wyjaśnienie tego faktu — prawdę o ponurym związku między Panami Czarnego Kręgu a złocistymi jabłkami granatu. Poczul zimny dreszcz przebiegający po krzyżu i pospiesznie wyrzucił tę myśl z pamięci.

Gdy wyszedł na galerię z zielonego nefrytu, wydał głębokie westchnienie ulgi. Musiał jeszcze przejść przez parów, ale przynajmniej mógł patrzeć na błyszczące w słońcu białe szczyty i długie zbocza tonące w morzu niebieskawych mgieł.

Irakzajczyk leżał w miejscu, gdzie padł; niekształtna plama na gładkiej, błyszczącej powierzchni. Idąc w dół krętą ścieżką, Conan ze zdumieniem spojrział na słońce, które jeszcze nie minęło zenitu; a przecież wydawało się, że od chwili, gdy wszedł do zamku Yimsha, minęły długie godziny.

Odczuwał nagłą potrzebę pośpiechu; nie powodowała tego ślepa panika, lecz instynktowne przeczucie czającego się za plecami niebezpieczeństwa. Nic nie powiedział Yasminie, a dziewczyna wydawała się zadowolona, mogąc oprzeć czarną główkę o jego wysoko sklepioną pierś i bezpiecznie wtulić się w



muskularne ramiona. Conan przystanął na moment na skraju rozpadliny i marszcząc brwi, spojrział w dół. Przelewająca się w parowie mgła nie była już różowa i roziskrzona. Była mętna, szara i widmowa, jak cień życia tłącego się w zranionym człowieku. Cymeryjczyka nawiedziła dziwna myśl, że zaklęcia czarnoksiężników są bardziej związane z ich osobowościami, niż gra aktorów jest odbiciem zachowania zwykłych ludzi.

Jednak daleko w dole równina wciąż błyszczała jak matowe srebro, a złote pasmo skrzyło się nie przyćmionym blaskiem. Conan przerzucił sobie Yasminę przez ramię, na co przystała bez oporu, i zaczął schodzić w dół. Pospiesznie opuścił się po rampie i przebiegł po rozbrzmiewającym echem dnie rozpadliny. Był pewien, że ściga się z czasem i że jedyną szansą ocalenia jest jak najszybsze przebycie tej upiornej fosy, zanim ranny Władca odzyska siły na tyle, by sprowadzić na nich jakieś nowe niebezpieczeństwo.

Kiedy wdrapał się na przeciwległą ścianę i stanął na krawędzi, wydał głębokie westchnienie ulgi i postawił Yasminę na ziemi.

— Dalej możesz iść sama — powiedział. — Droga przez cały czas biegnie w dół.

Dziewczyna rzuciła ukradkowe spojrzenie na błyszczącą piramidę po drugiej stronie rozpadliny; zamek Yimshy wznosił się na tle ośnieżonego stoku niczym cytadela milczenia i zła.

— Czy jesteś czarodziejem, że zwyciężyłeś Czarnych Wróżbitów z Yimshy, Conanie z Ghor? — spytała Yasmina, gdy zaczęli schodzić ścieżką.

— To ten pas, który Khemsa dał mi przed śmiercią — odparł Cymeryjczyk, otaczając krzepkim ramieniem wiotką talię dziewczyny. — Tak, znalazłem go na szlaku. To niezwykły pas; pokażę ci go, jak znajdę chwilę czasu. Przeciw niektórym

zaklęciom okazał się nieskuteczny, ale przeciw innym bardzo mi pomógł, a dobry kindżał to najskuteczniejsze zaklęcie.

— Ale skoro dzięki pasowi zwyciężyłeś Władcę — powiedziała Yasmina — to dlaczego nie powiodło się to Khemsie?

Conan potrząsnął głową.

— Kto wie? Khemsa był sługą Władcy, może to osłabiło jego siłę? Nade mną nie miał takiej władzy jak nad Khemsa. Jednak nie mogę powiedzieć, że go zwyciężyłem. Wprawdzie umknął, ale mam wrażenie, że jeszcze się z nim spotkamy. Chcę, by od jego siedziby dzieliła nas jak największa odległość.

Poczuł ulgę znalazłszy spętane konie przy tamaryszkach, tam gdzie je zostawili. Odwiązał je szybko, osiodłał czarnego ogiera i posadził dziewczynę przed sobą. Pozostałe konie ruszyły za nimi nabrawszy sił po popasie.

— I co teraz? — spytała. — Do Afgulistanu?

— Nie tak zaraz! — uśmiechnął się blado. — Ktoś, może gubernator, zabił moich siedmiu naczelników. Ci moi głupcy myślą, że miałem z tym coś wspólnego, i dopóki nie przekonam ich, że się mylą, będą mnie ścigać jak rannego szakala.

— A co ze mną? Jeżeli naczelnicy nie żyją, to jestem dla ciebie bezużyteczna jako zakładniczka. Chcesz mnie zabić, żeby ich pomścić?

Obrzucił ją roziskrzonym spojrzeniem i roześmiał się, słysząc takie niedorzeczne słowa.

— A więc jedźmy do granicy — powiedziała. — Tam będziesz bezpieczny przed Afgulisami...

— Tak, na vendhyańskiej szubienicy.

— Jestem królową Vendhyi — przypomniała mu, na chwilę przybierając dawny władczy ton. — Ocaliłeś mi życie. Otrzymasz za to nagrodę.

Zabrzmiało to nie tak, jak chciała. Conan zachnął się.

— Zatrzymaj swoje skarby dla swych dworskich kundli, księżniczko. Jeżeli ty jesteś władczynią równin, to ja jestem władcą gór i nie zabiorę cię nawet na krok w kierunku vendhyańskiej granicy!

— Byłbyś bezpieczny... — zaczęła z niedowierzaniem.

— A ty byłabyś znów Devi — przerwał jej. — Nie, dziękuję, wolę cię taką, jaka jesteś teraz: kobietą z krwi i kości, jadącą ze mną w siodle.

— Przecież nie możesz mnie zatrzymać! — krzyknęła. — Nie możesz...

— Poczekaj, a przekonasz się! — poradził cierpko.

— Przecież zapłaciłabym ogromny okup...

— Niech diabli wezmą twój okup! — odparł szorstko, mocniej zaciskając ręce na jej wiotkiej talii. — Całe królestwo Vendhyi nie ma mi do zaofiarowania niczego, czego pragnąłbym choć w połowie tak silnie, jak pragnę ciebie. Porwałem cię, ryzykując życiem; jeżeli twoi dworacy chcą cię z powrotem, niech przyjadą do Zaibaru i odbiją cię siłą.

— Przecież nie masz już ludzi! — wykrzyknęła. — Jesteś ścigany. Jak zdołasz ocalić własne życie, nie mówiąc o moim?

— Mam jeszcze w górach przyjaciół — odparł. — Wódz Churakzajczyków ukryje cię w bezpiecznym miejscu, dopóki nie dogadam się z Afgulisami. Jeżeli nie zechcą mnie wysłuchać, to, na Croma, pojedę z tobą na północ, do stepowych kozaków. Zanim przybyłem na Wschód, byłem hetmanem Wolnych Towarzyszy. Uczynię cię królową dorzecza Zaporoski!

— Nie chcę! — opierała się. — Nie możesz mnie zmusić...

— Jeżeli ten pomysł jest ci tak niemiły — spytał — to dlaczego tak chętnie nadstawiałaś usta do pocałunków?

— Nawet królowa jest tylko kobietą — odparła, rumieniąc się.  
— I dlatego, że jestem królową, muszę brać pod uwagę interesy mojego królestwa. Nie zabieraj mnie w jakieś obce kraje. Wróc ze mną do Vendhyi!

— A czy uczynisz mnie swoim królem? — spytał, uśmiechając się sardonicznie.

— Cóż, zwyczajnie... — zająknęła się, a Conan przerwał jej ze śmiechem:

— Tak, zwyczajnie cywilizowanych ludzi, które nie pozwolą ci uczynić tego, co byś chciała.

Wyjdiesz za jakiegoś starego, pomarszczonego króla z równin, a ja ruszę w swoją drogę, zabierając jako jedyną pamiątkę wspomnienie paru skradzionych pocałunków? Ha!

— Ale ja muszę wrócić do mego królestwa! — powtórzyła bezradnie.

— Po co? — pytał ze złością. — Wycierać tyłkiem złote trony i słuchać pochlebstw głupio uśmiechniętych fircyków w aksamitnych szatach? I co ci to da? Słuchaj: urodziłem się w górach Cymerii, gdzie wszyscy są barbarzyńcami. Byłem najemnym żołnierzem, korsarzem, kozakiem — robiłem sto innych rzeczy. Który król przemierzył tyle krajów, stoczył tyle bitew, kochał tyle kobiet i zdobywał takie łupy jak ja?

Przybyłem do Gulistanu, by zebrać hordę i splądrować południowe królestwa; między innymi i twoje. Zostałem wodzem Afgulisów i miał to być dopiero początek. Jeżeli zdołam ich przejednać, w ciągu roku pójdzie za mną tuzin innych plemion. Jeżeli nie, wrócę na stepy i razem z kozakami będę grabił pogranicze Turanu. A ty pojedziesz ze mną. Do diabła z twoim królestwem; dawali sobie jakoś radę, kiedy nie było cię na świecie.

Leżąc w jego ramionach i patrząc mu w oczy, Yasmina czuła budzące się w duszy zuchwałe pragnienie, dorównujące jego pasji. Jednak tradycja tysiąca generacji stanowiła zbyt przytłaczający ciężar.

— Nie mogę! Nie mogę! — powtarzała bezradnie.

— Nie masz wyboru — zapewnił ją. — Pojedziesz... Co, do diabła!?

Zostawili Yimszę daleko za sobą i jechali teraz po wysokiej grani, oddzielającej dwie doliny. Właśnie znaleźli się w najwyższym punkcie skalnego grzebienia, skąd mieli dobry widok na dolinę po prawej stronie. Toczyła się tam zacięta bitwa. Silny wiatr wiał w przeciwną stronę, zwiewając odgłosy walki, lecz i tak z dołu dochodził szczeł stali i łomot kopyt.

Dostrzegli błysk słońca na grotach włóczni i spiczastych hełmach. Trzy tysiące zakutych w stal jeźdźców pędziło przed sobą bandę obszarpanych wojowników w turbanach na głowach, którzy umykali jak stado wilków, odgryzając się napastnikom.

— Turańczycy! — mruknął Conan. — To oddziały z Sekunderamu. Co oni tu robią, do licha?

— Kim są ci, których ścigają? — spytała Yasmina. — I dlaczego walczą tak zażarcie?

Przy takiej przewadze wroga nie mają żadnych szans.

To pięciuset moich zwariowanych Afgulisów — warknął Conan, marszcząc brwi. — Są w pułapce i wiedzą o tym. Rzeczywiście, Afgulisi znaleźli się w ślepym zaułku. Dolina zwężała się stopniowo, przechodząc w głęboki wąwóz zakończony niewielką kotlinką, otoczoną wyniosłymi, nieprzebytymi ścianami.

Jeźdźcy w turbanach byli spychani do tej rozpadliny. Turańczycy napierali na nich zdecydowanie, ale niezbyt silnie.

Znali wściekłość doprowadzonych do rozpaczy górali i dobrze wiedzieli, że złapali ich w pułapkę bez wyjścia. Stwierdziwszy, że wojownicy należą do plemienia Afgulisów, zamierzali ich otoczyć i zmusić do poddania się. Aby zrealizować swój plan, potrzebowali zakładników.

Ich emir był człowiekiem czynu. Kiedy dotarł do Doliny Guraszach i stwierdził, że ani przeciwnicy, ani emisariusz nie stawili się na miejscu spotkania, ruszył dalej, ufając swojej znajomości gór. Przez cały czas jego wojsko walczyło z wrogo usposobionymi tubylcami i w wielu wioskach górale lizali swe rany. Emir wiedział, że zapewne ani on, ani żaden z jego włóczników nie powróci żywy do Sekunderamu, bo ze wszystkich stron otaczali ich wrogowie; był jednak zdecydowany wykonać rozkazy — to znaczy za wszelką cenę odebrać Devi Afgulisom i przyprowadzić ją jako niewolnicę Yezdigerdowi lub też, jeśli okaże się to niemożliwe, ściąć jej głowę i polec z honorem. O tym wszystkim, rzecz jasna, spoglądająca z grani para nie miała zielonego pojęcia. Conan wiercił się niespokojnie.

— Czemu, do diaska, dali się zaskoczyć? — rzucił w przestrzeń pytanie. — Wiem, co te psy robią w tych stronach; polują na mnie. Zaglądali do każdej doliny i zanim się opamiętali, wpadli w pułapkę. Biedni durnie! Będą się bronić w wąwozie, ale nie wytrzymają długo.

Kiedy Turańczycy zepchną ich do kotliny, zrobią z nimi, co zechcą. Zgiełk dobiegający z dołu przybierał na sile. Zaciekle opierający się Afgulisi w wąskim wąwozie powstrzymali na chwilę okrytych żelazem jeźdźców, którzy nie mogli rzucić przeciw nim wszystkich sił.

Conan zmarszczył ponuro brwi, zakręcił się niespokojnie, chwytając za rękojeść kindżału i w końcu rzekł bez ogródek:

— Devi, ja muszę tam iść. Znajdę ci jakąś kryjówkę, w której zaczekasz, aż wrócę.

Mówiłaś o swoim królestwie... no, nie będę udawał, że uważam tych włóchatych diabłów za swoje dzieci, ale mimo wszystko... jacy są, to są, ale to moi ludzie. Wódz nigdy nie opuszcza swoich ludzi, nawet jeżeli oni opuścili go pierwsi. Wydawało im się, że mają rację, obwiniając mnie... Do diabła, nie będę stał z boku i patrzył, jak ich wyrzynają! Wciąż jestem wodzem Afgulisów i udowodnię to!

Zejdę na dół.

— A co ze mną? — zaprotestowała. — Zabrałeś mnie siłą z mojego kraju, a teraz chcesz mnie zostawić w górach samą?

Conan bił się z myślami, aż żyły nabrzmiały mu na skroniach.

— To prawda — mruknął bezradnie. — Crom wie, co powinienem teraz zrobić.

Yasmina lekko pochyliła głowę i na jej pięknej twarzyczce pojawił się dziwny grymas.

— Słuchaj! — krzyknęła nagle. — Słuchaj!

Wiatr przyniósł do ich uszu słabe odgłosy fanfar. Spojrzeli w dolinę po lewej stronie grani i w oddali dostrzegli długie kolumny jeźdźców. Sunęły dnem doliny błyszczące w słońcu stałą włóczni i polerowanych hełmów.

— To vendhyańska konnica!

— Są ich tysiące! — mruknął Conan. — Już od dawna kszatrijaskie oddziały nie zapuszczały się tak daleko w góry.

Oni szukają mnie! — wykrzyknęła Yasmina. — Daj mi swojego konia! Pojadę po moich wojowników! Z lewej strony grań nie jest tak stroma, można zjechać w dół. Ty idź do swoich i każ im wytrzymać jeszcze chwilę. Ja skieruję jazdę w dolinę i uderzę na

Turańczyków! Weźmiemy ich w kleszcze. Szybko, Conanie! Chyba nie chcesz, by twoi ludzie zginęli przez twoje żądze? Jego oczy płonęły dziką namiętnością, lecz zeskoczył z konia i oddał jej wodze.

— Wygrałaś! — mruknął. — Pędź jak wszyscy diabli!

Yasmina skręciła na stok po lewej ręce, a on pobiegł szybko granią, aż dotarł do długiej, poszarpanej szczeliny wąwozu, w którym szalała bitwa. Zwinnie jak mała opuścił się w dół, wykorzystując wgłębienia i występy skały, by w końcu skoczyć w sam środek walczących.

Wokół rozlegał się świst i szczęk stalowych ostrzy, kwik i rżenie koni oraz łoskot walących się na ziemię ciał. Zaledwie stopy jego dotknęły ziemi, Cymeryjczyk zawył jak wilk, chwycił za nabijaną złotem uzdę, uchylił się przed ciosem szabli i wbił swój kindżał w serce jeźdźca. W następnej chwili był już w siodle, wykrzykując wściekle rozkazy do oszołomionych Afgulisów. Przez moment patrzyli na niego z rozdziawionymi ustami; później, widząc spustoszenie, jakie czynił wśród wrogów, znów zabrali się do dzieła, bez zastrzeżeń akceptując jego powrót. W tym piekielnym rozgardiaszu nie było czasu na zadawanie pytań czy udzielanie odpowiedzi.

Wciąż nowe szeregi jeźdźców w spiczastych hełmach i połączanych kolczugach wdzierały się do wąwozu; wąska rozpadlina była całkiem zapchana przez kłębowisko ludzi i koni.

Walczący zderzali się piersią w pierś, dźgając krótkimi nożami, zadając mordercze cięcia, ilekroć znaleźli odrobinę miejsca, by unieść ramię. Wojownik, który spadł z konia, już nie podnosił się z ziemi, wdeptany w nią setkami kopyt. W tej walce decydowała brutalna siła, a wódz Afgulisów miał jej za dziesięciu. W takich chwilach ludzie chętnie ulegają



zakorzenionym nawykom i górale, którzy przywykli widzieć Conana na czele, nabrali animuszu.

Jednak przewaga liczebna też miała swoje znaczenie. Napierające szeregi turańskiej jazdy spychały pierwszych jeźdźców w głąb wąskiego wąwozu, pod migoczące ostrza szabel.

Górale cofali się wolno, pozostawiając za sobą wał trupów. Rąbiąc i kłując jak szalony, Conan nie przestawał zadawać sobie mrożącego krew w żyłach pytania: czy Yasmina dotrzyma słowa? Przecież mogła dołączyć do swoich wojowników i zawrócić na południe, zostawiając Cymeryjczyka i jego Afgulisów na pewną śmierć.

Jednak w końcu, kiedy wydawało się, że minęły już wieki rozpaczliwych zmaganiań, ponad szczęk stali i wrzaski ginących wzbił się nowy dźwięk. Z hukiem trąb, od którego zatrzęsły się góry, z narastającym dudnieniem kopyt, pięć tysięcy vend—hyańskiej jazdy uderzyło na konnicę Yezdigerda.

To jedno uderzenie odrzuciło turańskie szwadrony na boki, rozbiło je, zgmiotło i rozpędziło po całej dolinie. W mgnieniu oka fala atakujących wycofała się z wąwozu: Turańczycy zawrócili, by pojedynczo lub gromadnie rzucić się w wir walki. Jednak gdy przeszyty kszatrijaską włócznią emir osunął się na ziemię, jeźdźcy w spiczastych hełmach stracili serce do walki; wściekle popędzając konie, próbowali przedrzeć się przez pierścień napastników. W miarę, jak ich oddziały szły w rozsypkę, zwycięscy Vendhyanie ruszyli za nimi w pogoń i cała dolina oraz łagodne stoki u jej wylotu zaroiły się od uciekających i ścigających. Ci z Afgulisów, którzy mogli jeszcze utrzymać się w siodle, wypadli z wąwozu i przyłączyli się do pościgu, tak samo bez zastrzeżeń akceptując niespodziewane przymierze, jak zaaprobowali powrót wygnanego wodza.

Słońce chowało się już za ostre szczyty Himelii, gdy Conan, w strzępach odzienia, zbryzganej, lepkiej od krwi kolczudze i z ubroczonym kindziałem w dłoni, przeszedł przez pobojuwisko i podszedł do Devi Yasminy, która w otoczeniu swej świty czekała na grani, przy krawędzi urwiska.

— Devi! — ryknął. — Dotrzymałaś słowa, chociaż były chwile, kiedy myślałem...

Uważaj!

Olbrzymi sęp spadł jak piorun z jasnego nieba, uderzeniem skrzydeł zwalając jeźdźców z siodeł. Zakrzywiony jak bułat dziób mierzył już w miękką szyję Yasminy, lecz Conan był szybszy; krótki bieg, tygrysi skok, wściekle pchnięcie okrwawionym kindziałem i sęp z przerażająco ludzkim jękiem zachwiał się, po czym runął w przepaść, by roztrzaskać się na głazach trzysta metrów niżej. Spadając i młócąc skrzydłami powietrze, przybrał postać człowieka w rozwianej czarnej todze.

Conan spojrział błyszczącymi oczyma na Yasminę. Z licznych ran na jego muskularnych ramionach i udach sączyła się krew.

— Znów jesteś Devi — rzekł, nie zwracając uwagi na zgromadzony wokół kwiat rycerstwa i szczerząc zęby na widok lamowanej złotem, cienkiej jak pajęczyna szaty, którą nałożyła na strój góralskiej dziewczyny. — Muszę ci podziękować za ocalenie ponad trzech setek moich zbójów, którzy w końcu przekonali się, że ich nie zdradziłem. Dzięki tobie mogę znów myśleć o podbojach.

— Wciąż jestem ci winna okup — powiedziała patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem.

— Zapłacę ci dziesięć tysięcy sztuk złota...

Przerwał jej gwałtownym, niecierpliwym gestem i otarłszy ostrze kindzału wepchnął broń do pochwy.

— Sam wezmę sobie okup — rzekł — i sam wyznaczę sposób i czas zapłaty. Podejmę go w twoim pałacu w Ayodhyi, a przybędę z pięćdziesięcioma tysiącami zbrojnych, by mieć pewność, że otrzymam dobrą miarę.

Zaśmiała się, ściągając wodze.

— A ja spotkam cię na brzegu Dżumdy ze stu tysiącami! Oczy Conana wyrażały zachwyt i podziw, gdy odsunął się i władczym gestem uniósł dłoń, pokazując Yasminie wolną drogę.

ROBERT E. HOWARD

## PEŁZAJĄCY CIEŃ

*Gdy jego plany stworzenia z wyproszonych plemion jednej silnej armii zawiodły, Conan wraca przez Hyrkanię i Turan, unikając patroli króla Yezdigerda i nocując w namiotach dawnych przyjaciół — kozaków. Na Zachodzie toczą się wielkie wojny i nęcony perspektywą bogatych łupów oraz zielonych łąk Cymeryjczyk powraca do hyboryjskich królestw.*

*Almuryk, książę Koth, zbuntował się przeciw znienawidzonemu królowi Strabonusowi. Zebrał sporą armię we wszystkich Ziemiach królestwa i Conan również zaciągnął się w jej szeregi. Jednak sąsiedzi Strabonusa przychodzi królowi z pomocą. Bunt zostaje stłumiony, a rozpita armia Almuryka zepchnięta na południe. Resztki buntowników przedzierają się przez ziemie Shemu i granicę Stygli, ku sawannom Kush. Tam, na skraju pustyni, zostają doszczętnie rozbite przez połączone siły czarnych i Stygijczyków. Conan jest jednym z niewielu pozostałych przy życiu.*

Nad pustynią unosiły się rozedrgane fale żaru. Conan Cymeryjczyk spojrział na otaczającą go pustkę i mimowolnie otarł spieczone wargi grzbietem potężnej dłoni. Stał wśród piasków niczym posąg z brązu, pozornie nie czując morderczego skwaru, chociaż całym jego strojem była jedwabna przepaska biodrowa przytrzymywana szerokim pasem, na którym wisiała szabla i sztylet o szerokim ostrzu. Na muskularnych kończynach miał ślady świeżo zagojonych ran.

U jego stóp siedziała dziewczyna, jednym ramieniem obejmując go za kolana i opierając o nie swoją jasną główkę. Jej jasna skóra kontrastowała z twardymi, ogorzałymi członkami barbarzyńcy, a krótka i głęboko wcięta na piersiach, ściągnięta w talii paskiem, jedwabna tunika bez rękawów raczej podkreślała, niż skrywała figurę dziewczyny.

Conan potrząsnął głową, mrużąc oczy. Blask słońca niemal go oślepił. Wyjął z pasa mały bukłak i zakołysał nim, marszcząc brwi, gdy usłyszał tylko nikły plusk. Dziewczyna wyprostowała się z trudem, jęcząc żałośnie:

— Och, Conanie, umrzemy tutaj! Jestem taka spragniona!

Cymeryjczyk mruknął coś pod nosem, zaciskając zęby i mierząc otaczającą ich pustkę wściekłym spojrzeniem spod czarnej, zmierzwionej grzywy, jakby pustynia była żywą istotą, którą można pokonać. Nachyliwszy się, przytknął bukłak do warg dziewczyny.

— Pij, dopóki ci nie powiem, że już dość — rozkazał.

Piła małymi, chciwymi łykami, a on jej nie powstrzymywał. Dopiero, kiedy bukłak był pusty, zrozumiała, że rozmyślnie pozwolił jej wypić cały skąpy zapas wody, jaki posiadali.

Łzy napłynęły jej do oczu.

— Och, Conanie! — rozpaczła, załamując ręce. — Dlaczego pozwoliłeś mi wypić wszystko? Nie wiedziałam... Teraz już nic nie zostało dla ciebie!

— Cicho — warknął. — Nie trać sił na szlochy. Wyprostował się i odrzucił pusty bukłak.

— Czemu to zrobiłeś? — szeptała dziewczyna.

Nic nie odpowiedział; stał bez ruchu, a jego palce powoli zaciskały się na rękojeści szabli. Nie patrzył na dziewczynę; płonącym spojrzeniem zdawał się przeszywać tajemniczą, purpurową mgiełkę ścielącą się na horyzoncie.

Kochający życie i obdarzony barbarzyńską wolą przetrwania Conan Cymeryjczyk wiedział jednak, że dotarł do kresu swej drogi. Wprawdzie nie był jeszcze zupełnie wyczerpany, ale wiedział, że następny dzień w prażącym bezlitośnie słońcu, na pozbawionej wody pustyni wykończy go. Co do dziewczyny, dość już wycierpiała. Lepszy szybki, bezbolesny cios szabli niż powolne konanie, jakie miało stać się jego udziałem. Jej pragnienie zostało ugaszone tylko chwilowo; oddałby jej złą przysługę, gdyby pozwolił jej cierpieć, dopóki nie wybawi jej maligna i śmierć. Powoli wysuwał szablę z pochwy. Nagle zastygł w pół ruchu. Daleko na południu coś błysnęło w falach żaru przetaczających się nad pustynią.

Najpierw myślał, że to majak, jeden z miraży, jakie szydziły z niego na tym przeklętym pustkowiu, doprowadzając do szaleństwa. Osłoniwszy dłonią oślepione słońcem oczy dostrzegł wieże, minarety i błyszczące mury. Patrzył na nie posepnie,

czekając, aż rozwieją się w powietrzu i znikną. Natała przestała szlochać; z trudem podniosła się na kolana i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Czy to miasto, Conanie? — szepnęła, zbyt przerażona, aby mieć nadzieję. — Czy też to tylko złudzenie?

Cymeryjczyk milczał przez chwilę. Kilkakrotnie zamknął i otworzył oczy; popatrzył w bok, a potem znowu na miasto. Pozostało tam, gdzie było.

— Diabli wiedzą — mruknął. — Tak czy owak, warto spróbować.

Wepchnął szablę z powrotem do pochwy. Schyliwszy się, wziął Natalę w swe potężne ramiona, jakby była dzieckiem.

Opierała się słabo.

— Nie trać sił na noszenie mnie, Conanie — prosiła. — Mogę iść.

— Ziemia jest tu kamienista — odparł. — Szybko zdarłabyś sandałki na strzępy! — dodał, zerknąwszy na jej obuwie z miękkiej, zielonej skóry. — Ponadto, jeżeli mamy w ogóle dotrzeć do tego miasta, to musimy się spieszyć, a w ten sposób będzie szybciej.

Nadzieja na uratowanie życia wlała nowe siły w stalowe mięśnie Cymeryjczyka. Kroczył przez piaski z takim wigorem, jakby dopiero co wyruszył w podróż. Barbarzyńca nad barbarzyńcami miał w sobie witalność dzikiego stworzenia, pozwalającą mu przeżyć tam, gdzie człowiek cywilizowany zginąłby w mgnieniu oka.

On i dziewczyna byli — o ile wiedział — jedynymi ocalałymi z armii księcia Almuryka, tej oszalałej, nieokiełznanej hordy, która, podążając za zbuntowanym księciem Koth, przeszła z niszczycielską siłą piaskowej burzy przez ziemie Shemu i utopiła

we krwi pogranicze Stygii. Ze stygijską jazdą depczącą jej po piętach przedarła się do czarnego królestwa Kush, gdzie na samym skraju południowej pustyni została całkowicie zniszczona. Conan w myślach porównywał ją do rwącej rzeki, która, pędząc na południe, zwęża się stopniowo, aby w końcu wsiąknąć w piaski pustyni. Kości żołnierzy tej armii — najemników, banitów, wyrzutków, przestępców — znaczyły jej drogę z wyżyn Koth aż po wydmy Kush.

W czasie tej ostatniej bitwy, kiedy to zastępy Stygijczyków i Kuszytów runęły na schwytane w zasadzkę resztki armii, Conan wyrąbał sobie drogę i uciekł razem z dziewczyną na pierwszym lepszym wielbłądzie.

Dziewczyna była Brythunką, którą barbarzyńca znalazł na targowisku niewolników w jednym ze zdobytych miast Shemu i zagarnął dla siebie. Nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, ale ponieważ i tak było to o niebo lepsze od tego, co czekało Hyboryjkę w shemickim seraju, z wdzięcznością powitała taki obrót spraw. W ten sposób zaczęła dzielić losy wyklętych buntowników Almuryka.

Natala i Conan przez wiele dni umykali przez pustynię, ścigani przez stygijskich jeźdźców tak daleko, że kiedy zgubili pościg, nie odważyli się zawrócić. Parli dalej, szukając wody, aż padł niosący ich wielbłąd. Od tej pory szli pieszo. Przez ostatnie kilka dni wiele wycierpieli.

Conan opiekował się Natalą, najlepiej jak mógł, a dzięki surowemu obozowemu życiu dziewczyna była lepiej przygotowana do trudów i niebezpieczeństw niż przeciętna kobieta.

Mimo to w końcu opadła z sił.

Słońce wściekle prażyło zmierzwioną, czarną grzywę



barbarzyńcy. Fale mdlącego otępienia zalewały mu umysł, ale zacisnął zęby i szedł dalej. Był pewien, że miasto jest rzeczywistością, nie mirażem. Nie miał pojęcia, co ich w nim czeka. Mieszkańcy mogą być wrogo usposobieni. Nawet jeśli tak, to będzie mógł walczyć o swoje życie — a barbarzyńca nigdy niczego więcej nie oczekiwał od losu.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy stanęli przed wielką bramą, z ulgą chroniąc się w cieniu. Conan postawił Natalę na ziemi i rozprostował obolałe ramiona. Mury postawione z jakiejś gładkiej, zielonkawej, błyszczącej jak szkło materii wznosiły się na blisko dziesięć metrów w górę. Conan spojrzął na blanki, lecz nie dostrzegł nikogo. Zniecierpliwiony, zawołał głośno i załomotał w bramę ręką szabli — lecz odpowiedziały mu jedynie drwiące echa. Wystraszona głuchą ciszą Natalia kulila się tuż przy nim. Conan z całej siły pchnął wrota i cofnął się o krok, wyciągając szablę, gdy drzwi nieoczekiwanie ustąpiły bezszelestnie. Natalia wydała zduszony okrzyk.

— Och, spójrz, Conanie!

Tuż za bramą leżały ludzkie zwłoki. Conan przyjrzał im się bacznie, po czym rozejrzał się wokół. Ujrzał rozległy dziedziniec otoczony arkadami kamieniczek zbudowanych z tego samego zielonkawego materiału, co mury zewnętrzne. Budynki były wysokie i wyniosłe, zwieńczone lśniącymi kopułami i wieżyczkami. Nigdzie nie dostrzegł śladu życia. Na środku dziedzińca stała czworokątna cembrowina studni i jej widok poderwał do czynu Conana, któremu język wysechł już na wiór. Chwyciwszy Natalę za rękę wciągnął ją do środka i zamknął za nią bramę.

— Czy on nie żyje? — spytała szeptem, drżącym palcem wskazując leżącego opodal człowieka. Mężczyzna był wysoki i

dobrze zbudowany, najwidoczniej w kwiecie wieku; skórę miał żółtą, a oczy lekko skośne — oprócz tego niczym się nie różnił od przeciętnego Hyboryjczyka. Był odziany w tunikę z purpurowego jedwabiu i wysoko sznurowane sandały, u boku miał krótki miecz w pochwie ze złotogłowiu. Conan dotknął ciała. Było zimne, bez śladu życia.

— Nie ma żadnej rany — mruknął Cymeryjczyk. — A jednak jest martwy jak Almuryk przeszyty czterdziestoma stygijskimi strzałami. Na Croma, sprawdźmy studnię! Jeśli jest w niej woda, napijemy się — choćby leżało tu sto trupów.

Studnia nie była wyschnięta, ale nie napili się z niej. Lustro wody znajdowało się dobre piętnaście metrów niżej i nie było czym jej nabrać. Conan zaklął wściekle, oszalały na widok płynu, którego nie mógł zaczerpnąć, i zaczął rozglądać się za jakimś sznurem. Odwrócił się gwałtownie, słysząc przeraźliwy krzyk Natali.

Uznany za martwego człowiek rzucił się nań z mieczem w dłoni, a błysk w jego oczach bezsprzecznie świadczył o tym, że żyje. Conan zaklął ze zdziwienia, ale nie tracił czasu na rozważania. Przywitał napastnika zamaszystym cięciem szabli, przecinając ciało i kości.

Głowa tamtego z łoskotem potoczyła się po bruku; ciało zatoczyło się bezwładnie, tryskając strumieniem krwi z rozrąbanej arterii, po czym runęło na ziemię. Conan zmierzył je wściekłym spojrzeniem, klnąc pod nosem.

— Ten gość nie jest teraz wcale bardziej martwy niż kilka minut temu. Do jakiegoż to domu wariatów trafiliśmy?

Natala, która zasłoniła oczy rękami, aby nie patrzeć na trupa, zerknęła przez palce i zadrżała ze strachu.

— Och, Conanie, czy mieszkańcy miasta nie zabiją nas za to?

— No — warknął barbarzyńca — ten stwór z pewnością zabiłby nas, gdybym nie uciął mu głowy.

Zerknął na krużganki ziejące pustką w zielonych ścianach nad ich głowami. Nie dostrzegł śladu ruchu, nie usłyszał żadnego dźwięku.

— Nie sądzę, żeby ktoś nas zobaczył — mruknął. — Ukryję dowód...

Jedną ręką chwycił trupa za pas, a drugą podniósł uciętą głowę za długie włosy i pół niosąc, pół wlokąc, zaciągnął okropne szczątki do studni.

— Skoro nie możemy napić się tej wody — zgrzytnął zębami — zadbam o to, aby nikt się jej nie napił. Do diabła z taką studnią!

Przerzucił ciało przez krawędź i puścił, ciskając głowę w ślad za nim. Daleko w dole rozległ się stłumiony plusk.

— Została krew na kamieniach — szepnęła Natała.

— Będzie jej więcej, jeśli zaraz nie znajdę wody! — mruknął Cymeryjczyk, którego niewielkie zasoby cierpliwości były na ukończeniu. Dziewczyna ze strachu niemal zapomniała o głodzie i pragnieniu, ale Conan nie.

— Wejdziemy w jedne z tych drzwi — powiedział. — Na pewno w końcu znajdziemy jakichś ludzi.

— Conanie! — jęknęła, przysuwając się do niego, najbliżej jak mogła. — Boję się! To miasto duchów i trupów! Wracajmy na pustynię! Lepiej umrzeć tam, niż spotkać upiory!

— Pójdziemy na pustynię, kiedy zrzucą nas z murów — warknął. — Gdzieś w tym mieście jest woda i znajdę ją, choćbym miał zabić wszystkich jego mieszkańców!

— A jeśli oni ozywają?

— Wtedy będę ich zabijał, aż pozostaną martwi! — uciął. — Chodź! To wejście jest równie dobre jak każde inne. Trzymaj się

blisko mnie i nie uciekaj, chyba że ci każe!

Cichutko wyraziła zgodę i poszła za nim, trzymając się tak blisko, że — ku jego irytacji — deptała mu po piętach. Zapadł zmierzch, zapełniając dziwne miasto purpurowymi cieniami.

Weszli w drzwi i znaleźli się w rozległej komnacie, której ściany były obwieszane aksamitnymi, przedziwnie tkanymi gobelinami. Posadzka, ściany i sufit sali były z zielonego, szklistego kamienia, ozdobionego na ścianach złotym fryzem. Podłogę wyścielały futra i aksamitowe poduszki. Kilko drzwi prowadziło do innych pomieszczeń. Przeszli przez komnatę i przez kilka innych, bliźniaczo podobnych do pierwszej. Nie znaleźli nikogo, ale Cymeryjczyk mrucał cicho pod nosem.

— Ktoś tu był, i to niedawno. Ta sofa jest jeszcze ciepła od dotyku ludzkiego ciała. Na tej jedwabnej poduszce widać jeszcze zarys bioder. W powietrzu unosi się słaby zapach perfum.

Wszystko spowijała upiorna, nierzeczywista aura. Wędrownica przez ten mroczny, cichy pałac była jak majak wywołany opium. Niektóre komnaty były nieoświetlone — tych unikali. Inne kąpały się w blasku łagodnego, nieziemskiego światła, zdającego się emanować z klejnotów osadzonych w ścianach i tworzących na nich fantastyczne wzory. Nagle, gdy wchodzili do jednej z tych oświetlonych komnat, Natalia krzyknęła i chwyciła towarzysza za rękę. Obrócił się z przekleństwem na ustach, wypatrując wroga, zdziwiony okropnie, gdyż nikogo nie dostrzegł.

— O co chodzi? — warknął. — Jeśli jeszcze raz złapiesz mnie za prawą rękę, to obedrę cię ze skóry. Chcesz, żeby poderżnęli mi gardło? Dlaczego wrzeszczysz?

— Spójrz tam — wykrztusiła, wskazując ręką.

Conan przełknął ślinę. Na stole z polerowanego hebanu stały złote naczynia, najwidoczniej zawierające jadło i napoje. Pokój

był niezamieszkaany.

— No, ten dla kogo przygotowano tę ucztę — orzekł barbarzyńca — będzie musiał dziś wieczór udać się gdzie indziej.

— Czy odważymy się to zjeść, Conanie? — zaproponowała nerwowo dziewczyna. — Ci ludzie mogą nadejść i...

— Lir an mannanam mac lir! — zaklął Conan, biorąc ją za kark i bezceremonialnie popychając na złożone krzesło stojące na końcu stołu. — Zdychamy z głodu, a ty wybrzydzasz! Jedz!

Zajął miejsce na drugim końcu stołu i złapawszy nefrytowy puchar opróżnił go jednym haustem. Naczynie zawierało szkarłatny, podobny do wina napój o szczególnym smaku nieznanym Cymeryjczykowi, lecz będącym jak nektar dla jego wyschniętego gardła.

Zaspokoiwszy pragnienie, z niezrównanym zapalem zaatakował jedzenie. Ono również było dlań obce: egzotyczne owoce i nieznanne mięsiwa. Nakrycia były niezwykle kunsztownej roboty, a noże i widelce ze szczerego złota. Te ostatnie Conan zignorował, chwytając mięsiwo w palce i szarpiąc je swymi silnymi zębami. Zresztą manery Cymeryjczyka przy stole zawsze były raczej wilcze. Jego cywilizowana towarzyszka jadła wykwintniej, lecz równie żarłocznie. Przyszło mu na myśl, że jedzenie może być zatrute, lecz to nie zmniejszyło jego apetytu. Wolał raczej umrzeć od trucizny niż z głodu.

Zaspokoiwszy głód, z głębokim westchnieniem odchylił się w fotelu. O tym, że w tym milczącym mieście mieszkają ludzie, świadczyło świeże jedzenie i picie i być może za każdym rogiem czaił się wróg. Jednak Conan niezbyt się tym przejmował, ufając swojej umiejętności posługiwania się mieczem. Zaczął morzyć go sen i rozważał myśl wyciągnięcia się na pobliskiej kanapce, żeby się chwilę zdrzemnąć.

Natala nie była senna. Zaspokoiwszy głód i pragnienie, nie miała ochoty spać. Pięknymi, szeroko otwartymi oczyma spoglądała lękliwie w ciemne otwory drzwi, za którymi czyhało nieznane. Cisza i półmrok tego dziwnego miejsca silnie oddziaływały na jej wyobraźnię.

Komnata zdawała się większa, a stół dłuższy niż był na początku i dziewczyna zdała sobie sprawę, że znajduje się dalej od swego ponurego opiekuna, niżby sobie tego życzyła.

Podniósłszy się szybko, obeszła stół i usiadła na kolanach barbarzyńcy, nerwowo zerkając na łukowate przejścia. Jedne były oświetlone, a inne nie i na tych nieoświetlonych najdłużej zatrzymała wzrok.

— Zjedliśmy, wypiliśmy i odpoczęliśmy — nalegała. — Chodźmy stąd, Conanie. To złe miejsce. Czuję to.

— No, jak dotąd nic złego nam się tu nie przytrafiło... — zaczął, kiedy przerwał mu cichy, lecz złowrogi szmer. Zepchnąwszy dziewczynę z kolan, Cymeryjczyk zerwał się zwinnie jak pantera i dobywając szabli, zwrócił się w stronę drzwi, zza których dobiegł ów dźwięk.

Odgłos nie powtórzył się i Cymeryjczyk zaczął bezszelestnie skradać się w kierunku przejścia. Natala podążała za nim, czując serce w gardle. Wiedziała, że jej towarzysz wietrzył niebezpieczeństwo. Wtuliwszy głowę w swe potężne ramiona, lekko zgarbiony, sunął naprzód jak przyczajony do skoku tygrys. Nie robił też więcej hałasu niż ten wielki kot.

W progu zatrzymał się i Natala lękliwie wyjrzała zza jego pleców. W pokoju nie było światła, lecz częściowo oświetlała go poświata wpadająca z ich komnaty i ukazująca jeszcze jedno pomieszczenie. W tej następnej komnacie, na niewielkim podwyższeniu leżał jakiś człowiek. Smuga światła padała na jego

twarz i zobaczyli, że mężczyzna ów jest bliźniaczo podobny do tego, którego Conan zabił przy bramie. Tylko strój miał bogatszy i ozdobiony klejnotami, które skrzyły się w niepewnym oświetleniu. Był martwy, czy tylko spał? Znowu dał się słyszeć złowieszczy szmer, jakby ktoś odsunął na bok zasłonę. Conan cofnął się, pociągając za sobą drżącą Natalę. W ostatniej chwili zdążył położyć dłoń na jej ustach, tłumiąc krzyk.

Z miejsca, w którym teraz stali, nie widzieli już podium, tylko jego cień na przeciwległej ścianie. A teraz na tej ścianie pojawił się drugi cień — ogromna, bezkształtna plama czerni.

Conan poczuł, że włosy na głowie stają mu dęba. Jakkolwiek cień ten mógł być zniekształcony, Cymeryjczyk przeczuwał, że nigdy nie widział człowieka czy zwierzęcia, które miałyby podobną sylwetkę. Pożerała go ciekawość, lecz instynkt kazał mu zostać w miejscu. Słyszał spazmatyczny oddech patrzącej szeroko otwartymi oczyma Natali. Żaden inny dźwięk nie zakłócał grobowej ciszy. Wielki cień zakrył zarys podium. Przez dłuższą chwilę czarna plama trwała na gładkiej ścianie, po czym powoli wycofała się i patrzący znowu ujrzeli ciemny kontur podium. Jednak śpiącego już na nim nie było.

W gardle Natali wezbrał histeryczny gulgot i Conan potrząsnął nią ostrzegawczo. Sam też czuł, że krew lodowacieje mu w żyłach. Nie obawiał się nikogo na świecie; nic nie było w stanie wzbudzić trwogi w jego sercu. Jednak tu zetknął się z czymś, co przekraczało jego zdolność pojmowania.

Po chwili ciekawość przemogła niepokój i Cymeryjczyk znowu ruszył ku nie oświetlonej komnacie, przygotowany na wszystko. Zajrzawszy do drugiego pokoju zobaczył, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. Podium stało tak jak przedtem, lecz nie spoczywało na nim żadne ludzkie ciało. Tylko na jedwabnej

kapie okrywającej postument lśniła jedna kropla krwi, niczym wielki, szkarłatny klejnot. Natalia dostrzegła ją i wydała zduszony okrzyk, za który barbarzyńca nie skarcił jej, samemu również czując lodowate palce strachu. Na tym postumencie leżał człowiek; coś zakradło się do komnaty i porwało go. Conan nie miał pojęcia, co by to mogło być, lecz w tych mrocznych salach unosiła się aura grozy i przerażenia.

Był gotów odejść. Wziąwszy Natalę za rękę obrócił się i stanął jak wryty. Gdzieś z głębi pałacu, od strony, z której przyszli, dobiegł go cichy odgłos kroków. Ten dźwięk wywołały ludzkie stopy, bose lub w obuwiu o miękkich podeszwach, i czujny jak wilk Cymeryjczyk pospiesznie ruszył w bok. Sądził, że zdoła wrócić na dziedziniec, unikając pokoju, z którego zdały się dobiegać kroki.

Jednak zanim zdążyli przebiec pierwszą komnatę, usłyszeli za plecami nagły szelest rozchylanej kotary. Stanęli i odwrócili się. Przed ukrytą za zasłoną alkową stał jakiś człowiek i bacznie im się przyglądał.

Mężczyzna był podobny do dwóch poprzednich: wysoki, dobrze zbudowany, odziany w purpurowe szaty spięte wysadzonym klejnotami pasem. Jego bursztynowe oczy nie wyrażały zdziwienia ani wrogości. Były senne, jak oczy zjadacza lotosu. Nawet nie sięgnął po miecz, wiszący mu u boku. Po krótkiej chwili milczenia przemówił obojętnym i znudzonym tonem, w jakimś nieznanym języku. Wiedziony przeczuciem Conan odpowiedział mu po stygijsku i obcy również odezwał się w tej mowie.

— Kim jesteście?

— Ja jestem Conan Cymeryjczyk — odparł barbarzyńca. — A to jest Natalia z Brythunii.



Co to za miasto?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Obrzucił Natalę rozmarzonym, czułym spojrzeniem i zabełkotał:

— Ze wszystkich mych licznych wizji, ta jest najdziwniejsza! Dziewczyno o złotych lokach, z jakiejże krainy marzeń przybywasz? Z Andarry, Tothry czy też srebrnogwiezdnego Kuth?

— Co to za głupoty? — warknął Cymeryjczyk, któremu nie spodobały się te słowa, ani sposób, w jaki mówiący patrzył na Natalę.

Tamten nie zwrócił nań żadnej uwagi.

— Śniłem o piękniejszych ślicznotkach — mrucał. — O gibkich kobietach z włosami czarnymi jak noc i oczyma ciemnymi jak niezgłębiona zagadka. Jednak twoja skóra jest biała jak mleko, a oczy jasne jak poranek i jest w tobie świeżość i powab nęcący jak nektar. Pójdź w me objęcia, dziewczyno ze snu!

Zrobił krok i wyciągnął rękę, a Conan odtrącił ją w bok uderzeniem, które mogło połamać kości. Mężczyzna zatoczył się i chwycił za zdrętwiałe ramię, spoglądając szeroko otwartymi oczami.

— Cóż to — bunt duchów? — wymamrotał. — Barbarzyńco, zaklinam cię — odejdź!

Zgiń! Przepadnij! Rozwiej się! Zniknij!

— Zaraz zniknie łeb z twoich ramion! — warknął rozwścieczony Cymeryjczyk i szabla zabłysła mu w ręku. — Czy to tak wita się tu przybyszy? Na Croma, umoczę te zasłony we krwi!

Senność zniknęła z oczu nieznanego, ustępując miejsca niebotycznemu zdziwieniu.

— Na Thoga! — wykrzyknął. — Jesteście prawdziwi! Skąd przybywacie? Kim jesteście?

Co robicie w Xuthal?

— Przybyliśmy z pustyni — mruknął Conan. — Zawędrowaliśmy do miasta o zmroku, umierając z głodu. Znaleźliśmy stół zastawiony do uczy i posililiśmy się. Nie mam pieniędzy, żeby za to zapłacić. W moim kraju nie odmawia się pożywienia nikomu, kto jest głodny, ale wam, ludziom cywilizowanym, trzeba za wszystko płacić — jeśli jesteście tacy, jak ci wszyscy, których dotychczas spotkałem. Nie uczyniliśmy nikomu nic złego i właśnie mieliśmy odejść. Na Croma, nie podoba mi się takie miejsce, gdzie martwi wracają do życia, a śpiący znikają w brzuchach cieni!

Słyszając ostatnie słowa, mężczyzna drgnął, a jego żółta twarz stała się szara jak popiół.

— Co mówisz? Cienie? W brzuchach cieni?

— No — odparł ostrożnie Cymeryjczyk. — Cokolwiek to jest, porwało śpiącego z posłania i pozostawiło tylko plamę krwi.

— Widzieliście? Widzieliście? — mężczyzna trząsł się jak liść; głos mu się łamał.

— Tylko człowieka śpiącego na podium i cień, który go ogarnął — odrzekł Conan.

Jego słowa wywarły piorunujące wrażenie na nieznanym. Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie i obróciwszy się na pięcie wypadł z komnaty. Pędząc na oślep, uderzył o framugę drzwi, złapał równowagę i pognał przed siebie, wciąż wrzeszcząc, ile sił w płucach.

Conan spoglądał na to ze zdumieniem, a dygocząca dziewczyna kurczowo trzymała go za ramię. Po chwili przestali widzieć biegnącą postać, lecz nadal słyszeli przeraźliwe wrzaski,

zwolna cichnące w dali i odbijające się echem od wysokich sklepień. Nagle rozległ się jeszcze jeden, głośniejszy od innych krzyk, który urwał się gwałtownie — i zapadła głucha cisza.

— Na Croma!

Conan drżącą dłonią otarł pot z czoła.

— To chyba miasto szaleńców! Wynośmy się stąd, zanim napotkamy kolejnych wariatów!

— To jakiś koszmar! — skomlała Natała. — Jesteśmy martwi i przekłęci! Umarliśmy na pustyni i jesteśmy w piekle! Staliśmy się bezcielesnymi duchami... au!

Ten okrzyk poprzedził odgłos solidnego klapsa wymierzonego jej przez barbarzyńcę.

— Nie jesteś duchem, skoro tak się drzesz, gdy cię klepnę — zauważył w przyływie wisielczego humoru, jaki często nawiedzał go w najmniej odpowiednich chwilach. — Na razie żyjemy, ale to może nie potrwać długo, jeśli będziemy się włóczyć po tej nawiedzanej przez diabła ruderze. Chodź!

Przeszli zaledwie jedną komnatę, gdy znów stanęli jak wryci. Ktoś się zbliżał. Czekając nie wiedzieć na co, zwrócili twarze do przejścia, z którego dolatywał odgłos. Nozdrza barbarzyńcy rozszerzyły się, a oczy zwężyły się w szparki. Zwiertzył słaby zapach perfum, który czuł już wcześniej. W drzwiach pojawiła się jakaś postać. Conan zaklął pod nosem; Natała otworzyła usta ze zdziwienia.

Ta kobieta również patrzyła na nich ze zdumieniem. Była wysoka, smukła i zbudowana jak bogini, odziana w wąską przepaskę biodrową, zdobioną drogimi kamieniami. Gęsta grzywa czarnych jak noc włosów podkreślała biel jej alabastrowego ciała. Ciemne oczy ocienione długimi, jedwabistymi rzęsami były niezgłębioną i zmysłową zagadką. Jej

piękno zaparło dech w piersi barbarzyńcy, a i Natała spoglądała na kobietę szeroko otwartymi oczyma.

Cymeryjczyk nigdy nie widział takiej piękności; rysami twarzy przypominała Stygijkę, lecz nie była smagłokóra jak znane mu stygijskie kobiety: jej skóra była jak alabaster. Jednak gdy przemówiła głębokim, melodyjnym głosem, mówiła po stygijsku.

— Kim jesteście? Co robicie w Xuthal? Kim jest ta dziewczyna?

— A kim ty jesteś? — odparował szorstko barbarzyńca, który nie lubił, gdy zadawano mu zbyt wiele pytań.

— Jestem Thalís Stygijka — odparła. — Musicie być szaleni, żeby tu przybywać!

— Tak też mi się zdawało — warknął Cymeryjczyk. — Na Croma, jeśli jestem przy zdrowych zmysłach, to nie pasuję do tego miasta, bo wszyscy jego mieszkańcy to szaleńcy!

Przywlekliśmy się tu z pustyni, umierając z głodu i pragnienia, a tu napotykamy trupa, który próbuje dźgnąć mnie w plecy. Wchodzimy do pałacu, wielkiego i wspaniałego, który sprawia wrażenie opuszczonego. Znajdujemy zastawiony stół, ale żadnych biesiadników.

Później widzimy, jak cień pożera śpiącego mężczyznę... Mówiąc, przyglądał jej się uważnie i zobaczył, że lekko pobladła.

— No?

— Co „no”? — odparła, najwidoczniej odzyskując panowanie nad sobą.

— Spodziewałem się, że rzucisz się do ucieczki, wyjąc jak dzikie zwierzę — odrzekł. — Człowiek, któremu powiedziałem o cieniu tak właśnie zrobił.

Wzruszyła kształtnymi, alabastrowymi ramionami.

— A więc to on tak krzyczał. Cóż, każdemu to, co mu pisane i tylko głupiec piszczy jak szczur w pułapce. Kiedy Thog mnie

zechce, dopełni się mój czas.

— Kim jest ten Thog? — zapytał podejrzliwie barbarzyńca. Obrzuciła go przeciągłym, pełnym podziwu spojrzeniem, aż na policzki Natali wypłynął ciemny rumieniec i perłowymi ząbkami przygryzła dolną wargę.

— Usiądźcie na tej otomanie, a opowiem wam — powiedziała. — Ale najpierw powiedzcie mi wasze imiona.

— Ja jestem Conan Cymeryjczyk, a to jest Natała z Brythunii — odrzekł. — Jesteśmy niedobitkami armii rozbitej na granicy Kush. Jednak nie mam ochoty siadać i czekać, aż jakiś cień podkradnie się do mnie od tyłu.

Śmiejąc się perliście, usiadła sama, z wystudiowaną gracją wyciągając swe smukłe ciało na otomanie.

— Nie obawiajcie się — poradziła im. — Jeśli Thog was zechce, dostanie was, gdziekolwiek się ukryjecie. Mężczyzna, o którym wspomniałeś, który wrzasnął i uciekł — czy nie słyszałeś, jak krzyknął po raz ostatni i ucichł? W panice wpadł prosto na to, przed czym uciekał. Nikt nie ujdzie przed swoim losem.

Conan mruknął coś niezachęcająco, lecz przysiadł na skraju sofy trzymając szablę na kolanach i omiatając komnatę podejrzliwym spojrzeniem. Podwijając nogi pod siebie, Natała umościła się przy nim, tuląc się doń zazdrośnie. Z niechęcią spoglądała na nieznajomą.

Przy tej olśniewającej piękności czuła się mała i brudna, a ponadto nie uszły jej uwagi namiętne spojrzenia czarnych oczu, jakie tamta rzucała na ogorzałego barbarzyńcę.

— Co to za miasto i jaki zamieszkuje je lud? — dopytywał się Cymeryjczyk.

— Miasto zwie się Xuthal i jest bardzo stare. Zbudowano je wokół oazy, którą założyciele Xuthal znaleźli podczas wędrówki.

Przybyli ze wschodu tak dawno temu, że ich potomkowie nie pamiętają już kiedy.

— Chyba nie ma ich tu wielu? Pałac wygląda na opustoszały.

— Niewielu, ale więcej, niż myślisz. Miasto jest jednym wielkim pałacem, bowiem wszystkie budynki stojące w obrębie murów są połączone ze sobą. Mógłbyś godzinami wędrować przez komnaty i nie ujrzeć nikogo. A innym razem zobaczyłbyś setki mieszkańców.

— Jak to? — spytał zaniepokojony Conan; jak na jego gust jej słowa zbyt trąciły czarami.

— Przez większość czasu ci ludzie są pogrążeni we śnie. Ich sny są dla nich równie ważne — i równie rzeczywiste — co życie na jawie. Słyszeliście o czarnym lotosie? Rośnie w podziemiach tego miasta. Uprawiali go przez długie wieki, aż wyhodowali taką odmianę, której sok miast śmierci sprowadza sny — cudowne, fantastyczne sny. Na nich upływa im życie. Śnią, budzą się, piją, kochają, jedzą i znów śpią. Rzadko kończą coś, co zaczęli; częściej zostawiają to w połowie i znów pogrążają się w drzemce zesłanej przez czarny lotos.

Ten zastawiony stół, jaki znalazłeś — niewątpliwie któryś obudził się, poczuł głód, przygotował sobie posiłek, a potem zapomniał o nim i znów wrócił do swoich snów.

— A skąd biorą jedzenie? — przerwał jej Conan. — Za murami nie dostrzegłem pól ani winnic. Czy w mieście są sady i obory?

Potrząsnęła głową.

— Wytwarzają swoją żywność z prostych substancji. Są wspaniałymi uczonymi, kiedy nie odurza ich kwiat snów. Ich przodkowie byli wielkimi mędrkami, którzy zbudowali to wspaniałe miasto na środku pustyni, i choć oni stali się niewolnikami tego dziwnego nałogu, nie zapomnieli wszystkiego.

Czy nie zdziwiły was te światła? To klejnoty z domieszką radu.

Jeśli potrze się je palcem, zaczną świecić, a jeśli potrze się w przeciwnym kierunku — zgasną. Jednak to ledwie maleńki przykład ich wiedzy. Wiele zapomnieli. Realne życie niezbyt ich interesuje, wolą przez większość czasu leżeć w podobnym do śmierci śnie.

— Zatem martwy przy bramie... — zaczął Conan.

— Niewątpliwie drzemał. Pograżeni w lotosowym śnie są jak umarli. Czynności życiowe ulegają zawieszeniu. Nie można wykryć nawet najmniejszego śladu życia. Duch opuszcza ciało i przemierza do woli inne, egzotyczne światy. Mężczyzna przy bramie jest dobrym przykładem na to, jak bardzo oderwani od życia są mieszkańcy miasta. Pilnował bramy, przy której zwyczaj nakazuje trzymać wartę, choć nigdy jeszcze żaden wróg nie przebył pustyni.

W innych częściach miasta znajdziecie innych strażników, z reguły śpiących równie mocno jak ten przy wrotach.

Conan przetrwał to przez chwilę.

— Gdzie są teraz mieszkańcy?

— W różnych częściach miasta: leżą na sofach, jedwabnych otomanach, w wyścielonych poduszkami alkowach i zasłanych futrami łóżach; a wszystkich okrywa lśniący welon snów.

Conan poczuł lekkie mrowienie między łopatkami. Poczucił się nieswojo na myśl o setkach ludzi leżących w tym ogromnym pałacu i wpatrujących się nieruchomymi, szklistymi oczyma w przestrzeń. Nagle przypomniał sobie coś.

— A co to za stwór skradał się przez komnaty i porwał mężczyznę śpiącego na łożu?

Jej alabastrowe ciało zadrżało gwałtownie.

— To był Thog. Odwieczny, bóg Xuthal, mieszkający głęboko

pod ziemią. Zawsze tu był.

Nikt nie wie, czy przybył wraz z budowniczymi miasta, czy też był tu już, kiedy je budowali. Jednak lud Xuthal oddaje mu cześć. Przeważnie śpi w podziemiach miasta, lecz w regularnych odstępach czasu, gdy poczuje głód, budzi się i tajemnymi przejściami wychodzi do mrocznych komnat, szukając żeru. Wtedy nikt nie jest bezpieczny. Natała jęknęła z przerażenia i objęła potężną szyję Conana, jakby opierając się sile próbującej oderwać ją od ogromnego opiekuna.

— Na Croma! — wykrzyknął osłupiały Cymeryjczyk. — Chcesz powiedzieć, że oni leżą sobie i spokojnie śpią, podczas gdy demon grasuje po pałacu?

— On tylko czasem jest głodny — powtórzyła. — Bóg domaga się swoich ofiar. Kiedy byłam dzieckiem w Stygii, pod rządami kapłanów ludzie nie byli pewni dnia ani godziny.

Nikt nie wiedział, kiedy mogą go zawlec na ołtarz. Co to za różnica, czy kapłan składa bogu ofiarę, czy bóg sam po nią przychodzi?

— Nie takie są zwyczaje mego ludu — warknął Conan — ani ludu Natali. Hyboryjczycy nie składają ofiar z ludzi swemu bogu — Mitrze, a co do moich ziomków... Na Croma, chciałbym zobaczyć kapłana, który spróbowałby któregoś z nich zawlec na ołtarz! Z pewnością polałaby się krew, ale nie byłaby to krew Cymeryjczyka!

— Jesteś barbarzyńcą — zaśmiała się Thalís, ale oczy jej błysnęły. — Thog jest pradawnym i straszliwym bóstwem.

— Ci ludzie to głupcy lub bohaterowie — burknął Conan. — Leżeć i śnić idiotyczne sny, wiedząc, że mogą się obudzić w jego żołądku!

Roześmiała się.



— Zawsze tak było. Thog pożera ich od niepamiętnych czasów. To także przez niego jest ich dziś kilkuset, gdy dawniej były ich tysiące. Jeszcze kilka pokoleń, a całkowicie wymrą i Thog będzie musiał ruszyć dalej w świat szukać nowego żeru albo zstąpić w otchłań, z której niegdyś przybył. Oni wiedzą, jaki ich czeka los, lecz są fatalistami, niezdolnymi do oporu czy ucieczki. Nikt z obecnie żyjących mieszkańców miasta nie oddalił się od niego choć na tyle, by je stracić z oczu. O dzień marszu na południe znajduje się jakaś oaza — widziałam ją na starych mapach, jakie przodkowie kreślili na pergaminie — lecz nikt z Xuthal nie odwiedził jej już od trzech pokoleń, a tym bardziej nie próbował przemierzyć żyznych łąk, jakie według tych map rozpościerają się o kolejny dzień drogi za nią. Oni są szybko wymierającą rasą, pogrążoną w lotosowych snach, a na jawie raczącą się złocistym winem, które goi rany, przedłuża życie i wlewa nowy ogień w żyły nawet najbardziej znużonego rozpustnika. A jednak kurczowo czepiają się życia i boją się bóstwa, któremu oddają cześć. Widzieliście, jak jeden z nich oszalał na wieść o tym, że Thog krąży po pałacu. Widziałam, jak wszyscy w mieście wrzeszczeli i rwali sobie włosy z głowy, po czym uciekli za bramę, żeby pociągnąć losy i wybrać ofiarę, którą skępowali i podrzucili Thogowi, aby nasycił swoją żądzę i głód.

Gdyby nie to, że wszyscy teraz drzemią, na wieść o jego pojawieniu się umknęliby z wrzaskiem za mury.

— Och, Conanie! — błagała histerycznie Natała. — Uciekajmy stąd!

— W swoim czasie — mruknął Conan, mierząc palącym spojrzeniem białe ciało Thalís.

— A co ty, Stygijka, robisz w tym mieście?

— Przybyłam tu jako młoda dziewczyna — odpowiedziała,

wyciągając się na aksamitnej sofie i splatając dłonie na karku. — Nie jestem kobietą z ludu, lecz córką króla, co możesz poznać po mojej skórze, białej tak jak skóra twojej blondyneczki. Zostałam porwana przez zbuntowanego księcia, który z armią kuszyckich łuczników zapuścił się w pustkowie południa szukając ziemi, na której mógłby założyć swe królestwo. On sam i wszyscy jego ludzie zginęli na pustyni, lecz jeden z nich przed śmiercią wsadził mnie na wielbłąda i szedł, wiodąc go za uzdę, dopóki nie upadł. Zwierzę poszło dalej, a ja w końcu straciłam przytomność z głodu i pragnienia. Obudziłam się w tym mieście. Powiedziano mi, że zauważyli mnie z murów wczesnym rankiem, leżącą bez czucia obok martwego wielbłąda.

Wyszli, przynieśli mnie i ożywili swoim cudownym, złotym winem. Tylko widok dziewczyny mógł ich skłonić do wyjścia poza mury miasta. Oczywiście bardzo się mną zainteresowali, szczególnie mężczyźni. Ponieważ nie znałam ich języka, nauczyli się mojego. Są bardzo pojętni i szybko się uczą: umieli mówić po stygijsku, zanim ja zdążyłam nauczyć się ich mowy. Jednak bardziej interesowali się mną niż językiem. Byłam i jestem jedyną rzeczą, dla której mężczyzna z tego miasta na chwilę byłby skłonny porzucić swoje lotosowe sny. Zaśmiała się bezwstydnie, rzucając znaczące spojrzenie Cymeryjczykowi.

— Oczywiście ich kobiety są o mnie zazdrosne — mówiła dalej. — Są nawet niebrzydkie na swój żółtoskóry sposób, lecz są tak samo rozmarzone i niepewne jak mężczyźni, a ci ostatni lubią mnie nie tylko dla mej urody, lecz i dlatego, że jestem z krwi i kości. Nie jestem snem! Chociaż śniłam lotosowe sny, jestem normalną kobietą, mającą zwyczajne uczucia i pragnienia. Te skośnookie kobiety nie mogą się ze mną równać. Właśnie dlatego lepiej byłoby, gdybyś poderżnął tej dziewczynie gardło swoją

szablą, zanim obudzą się mężczyźni Xuthal. Oni pochwycą ją i wypróbują w sposób, o jakim nawet jej się nie śniło! Ona jest zbyt delikatna, aby znieść to, co ja wycierpiałam. Ja jestem córką Luxuru: nim ukończyłam piętnaście wiosen, przeszłam przez świątynie Derketo, bogini mroku i poznałam jej rytuały. A i tak moje pierwsze lata w Xuthal nie były pasmem rozkoszy! Mieszkańcy Xuthal są w tym o wiele bardziej pomysłowi niż kapłanki Derketo. Żyją tylko dla przyjemności. We śnie czy na jawie, ich życie jest pełne zmysłowych rozkoszy, niepojętych dla zwykłych śmiertelników.

— Przekłęci degeneraci! — prychnął Conan.

— Wszystko zależy od punktu widzenia — uśmiechnęła się leniwie Thalís.

— No, tracimy tylko czas — stwierdził barbarzyńca. — Widzę, że nie jest to miejsce dla zwykłego człowieka. Odejdziemy, zanim zbudzą się twoi szaleńcy albo zjawi się Thog, żeby nas pożreć. Myślę, że na pustyni będziemy bezpieczniejsi.

Natala, której krew zastygła w żyłach pod wpływem słów Thalís, ochoczo na to przystała.

Słabo mówiła po stygijsku, ale dobrze rozumiała ten język. Conan wstał, podnosząc ją z kanapy.

— Jeśli pokażesz nam najkrótszą drogę do bramy — rzekł — zaraz opuścimy to miasto.

Jednak nie odrywał oczu od gładkiego ciała i kształtnych piersi Stygijki. Zauważyła to i uśmiechnęła się tajemniczo, wstając z otomany z leniwym wdziękiem wielkiego kota.

— Chodźcie za mną — poleciała i poszła przodem, świadoma tego, że barbarzyńca nie odrywa oczu od jej gibkiej kibici i rozkołysanych bioder. Nie poszła drogą, którą przybyli, lecz nim w sercu Conana zbudziły się jakieś podejrzenia, stanęła w

rozległej, wykładanej kością słoniową komnacie i wskazała na tryskającą na jej środku małą fontannę.

— Nie chcesz przemyć sobie twarzy, dziecko? — zapytała Natała. Jest brudna od kurzu i masz piasek we włosach.

Natała mimowolnie zarumieniła się, wyczuwając złośliwość ukrytą w lekko drwiącym głosie Stygijki, lecz usłuchała rady, zastanawiając się ze zgrozą, jakie szkody wyrządził pustynny wiatr i słońce jej jasnej cerze, z której słusznie sływały wszystkie kobiety jej ludu.

Uklękła przy fontannie, odrzuciła na plecy długie, jasne włosy, zsunęła do pasa tunikę i zaczęła obmywać nie tylko twarz, lecz również białe ramiona i piersi.

— Na Croma! — marudził Conan. — Kobieta nie przestanie troszczyć się o swoją urodę, choćby sam diabeł deptał jej po piętach. Spiesz się, dziewczyno. Zanim stracimy z oczu to miasto, znów będziesz zakurzona! Thalís, byłbym ci wdzięczny, gdybyś dała nam trochę jedzenia i picia.

Thalís w odpowiedzi przywarła doń całym ciałem, obejmując białym ramieniem jego zbrązowiałe plecy. Czuł dotyk jej nagiego ciała na swoim udzie, a w nozdrzach miał upajający zapach jej falujących włosów.

— Po co masz iść na pustynię? — szepnęła pospiesznie. — Zostań tutaj! Nauczę cię wszystkiego o Xuthal. Obronię cię. Będę cię kochała! Jesteś prawdziwym mężczyzną; mam dość tych lunatyków, którzy wzdychają, śnią, budzą się i znów zasypiają. Pragnę gorącej, ziemskiej namiętności. Blask twych płonących oczu sprawia, że serce łomocze mi w piersi, a dotyk twych stalowych mięśni doprowadza mnie do szaleństwa. Zostań tu! Uczynię cię królem Xuthal! Pokażę ci wszystkie tajniki nieziemskich rozkoszy!

Zarzuciła mu ręce na szyję i stanęła na palcach, przylegając doń drżącym, półnagim ciałem. Nad jej ramieniem zobaczył Natalę, która na ten widok zatrzymała się w pół ruchu, odgarniając mokre, zmierzwione włosy i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Zmieszany Cymeryjczyk chrząknął, wywinął się z objęć Thalisy i potężnym ramieniem odsunął ją na bok.

Stygijka obrzuciła dziewczynę spojrzeniem i uśmiechnęła się zagadkowo, zdając się skinieniem ślicznej główki przytakiwać jakimś swoim tajemniczym myślom.

Gniewnie zaciskając usta i sypiąc skry z oczu, Natalia wstała i gwałtownie poprawiła tunikę. Conan zaklął pod nosem. Z natury nie bardziej skłonny do monogamii niż przeciętny awanturnik, miał jednak wrodzone poczucie przyzwoitości, które było najlepszym sprzymierzeńcem Natali.

Thalisy nie ponowiła zalotów. Gestem drobnej dłoni nakazawszy, by szli za nią, odwróciła się i przeszła przez pokój. Przystanęła przed wiszącym na ścianie gobelinem.

Przyglądającemu się jej Conanowi przyszło do głowy, że mogła usłyszeć kroki potwora skradającego się przez mroczne komnaty i dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Co się stało? — zapytał.

— Spójrz na te drzwi — odparła, wyciągając rękę.

Barbarzyńca okręcił się na pięcie, unosząc szablę do ciosu. Ujrzał tylko puste, łukowate przejście. Nagle za plecami usłyszał jakiś szelest i zduszone westchnienie. Błyskawicznie obrócił się. Thalisy i Natalia zniknęły. Gobelin falował lekko, jakby przed chwilą odsunięto go od ściany. Gdy Conan rozdziawił usta ze zdumienia, zza ściany dobiegł stłumiony krzyk Brythunki.

Kiedy Conan odwrócił się, aby, spełniając polecenie Thalís, spojrzeć na drzwi po drugiej stronie komnaty, Natała stała tuż za nim, obok Stygijki. W tej samej chwili, gdy Cymeryjczyk zwrócił się do nich plecami, Thalís z niewiarygodną szybkością położyła dłoń na ustach dziewczyny, tłumiąc krzyk, który ta próbowała wydać. Jednocześnie drugą ręką chwyciła Natalę w pól i pchnęła na ścianę, która ustąpiła pod naporem barku Stygijki. Fragment muru na moment odchylił się w głąb i Thalís prześliznęła się ze swą ofiarą przez powstałą szparę, nim Conan zdążył obrócić się z powrotem.

Wewnątrz panowała kompletna ciemność. Thalís przystanęła, manipulując przy drzwiach — widocznie zasuważąc rygiel — i zdjęła przy tym dłoń z ust Natali, która zaczęła wrzeszczeć, ile sił w płucach. W ciemnościach rozległ się szyderczy śmiech Stygijki, jadowity jak zatruty miód.

— Krzycz, ile chcesz, mała idiotko. To ci tylko skróci życie. Słyszając to, Natała umilkła i skuliła się, dygocząc.

— Czemu to zrobiłaś? — zapytała błagalnie. — Co zamierzasz?

— Mam zamiar zaprowadzić cię kawałek dalej tym korytarzem — odparła Thalís — i zostawić temu, który prędzej czy później po ciebie przyjdzie.

— Ooch! — głos Natali łamał się z przerażenia. — Czemu chcesz mnie skrzywdzić? Nic ci nie zrobiłam!

— Chcę twojego wojownika, a ty stoisz mi na drodze. On mnie pragnie, czytam to w jego oczach. Gdyby nie ty, zgodziłby się

zostać tu i być moim królem. Kiedy ciebie nie będzie, zostanie ze mną.

— Raczej poderżnie ci gardło — powiedziała z przekonaniem Natała, znając Conana lepiej niż Thalís.

— Zobaczymy — odparła chłodno Stygijka, pewna swej władzy nad męskimi sercami.

— W każdym razie ty i tak nie dowiesz się, czy mnie pchnie nożem, czy pocałuje, ponieważ zostaniesz oblubienicą tego, który mieszka w mroku. Chodź!

Na pół oszalała z przerażenia Brythunka walczyła jak dzikie zwierzę, lecz na nic jej się to nie zdało. Thalís złapała ją z wprost niewiarygodną u kobiety siłą i powlokła korytarzem jak niesforne dziecko. Pamiętając złowieszcze słowa Stygijki, Natała nie krzyczała: w ciszy było słychać tylko jej zdyszany oddech i cichy, drwiący śmiech Thalís. Nagle dłoń opierającej się Brythunki natrafiła na rękojeść gęsto wysadzanego klejnotami sztyletu, który napastniczka nosiła za pasem. Natała wyszarpnęła sztylet i dźgnęła na oślep, wkładając w cios wszystkie siły.

Z ust Thalís wyrwał się koci wrzask bólu i wściekłości. Zachwiała się, a gdy rozluźniła chwyt, Natała wyrwała się jej i upadła na kamienną posadzkę. Natychmiast podniosła się i przywarła do ściany korytarza, dysząc i drżąc na całym ciele. Nie widziała Thalís, lecz słyszała jej głos. Stygijka z pewnością nie była martwa. Bluzgała potokiem przekleństw z taką wściekłością i jadem, że Natali krew zastygła w żyłach, a kości zaczęły mięknąć jak wosk.

— Gdzie się podziałaś, mała diablico? — dyszała Thalís. — Niech no tylko dostanę cię w ręce!

Od opisów wymyślnych cierpień, jakie Thalís zamierzała jej zadać, Natali zrobiło się niedobrze. Język stygijskiej piękności

wywołałby rumieniec wstydu na policzkach każdej ulicznicy w Akwilonii.

Natala usłyszała, jak tamta szuka czegoś w ciemności i nagle rozbłysło światło. Widocznie rozgniewana Stygijka zapomniała o obawie, jaką budził w niej ten korytarz. Światło płynęło z jednego z klejnotów zdobiących ściany Xuthal. Thalís potarła go i stała teraz skąpana w czerwonym blasku; nieco odmiennym od tego, jaki emitowały inne. Jedną ręką przyciskała bok i między jej palcami płynął strumyk krwi. Jednak nie wyglądała na ciężko ranną czy choćby osłabioną, a jej oczy płonęły nienawiścią. Na widok Stygijki skąpanej w tym upiornym blasku i spoglądającej na nią z twarzą wykrzywioną piekielną furią, Natalę opuściły resztki odwagi. Thalís skradała się do niej jak tygrysica, puściwszy zraniony bok i niecierpliwie strząsając z palców krople krwi. Brythunka przekonała się, że nie wyrządziła większej krzywdy rywalce. Ostrze ześlizgnęło się po wysadzonym klejnotami pasie, zadając powierzchowną ranę, która tylko rozwścieczyła Stygijkę.

— Daj mi ten sztylet, idiotko! — zgrzytnęła zębami, podchodząc do kulącej się dziewczyny.

Natala wiedziała, że powinna walczyć o życie, póki ma okazję, lecz po prostu nie mogła zdobyć się na odwagę. Nie miała wojowniczej natury, a ciemność, przemoc i groza położenia odebrały jej zdolność do myślenia i działania. Thalís wyrwała sztylet z jej omdlałych palców i pogardliwie odrzuciła go w mrok.

— Ty mała dziwko! — wycodziła przez zaciśnięte zęby, wymierzając dziewczynie mocny policzek. — Zanim powlokę cię korytarzem i rzucę w paszczę Thoga, najpierw sama posmakuję twojej krwi! Ośmieliłaś się pchnąć mnie nożem — zapłacisz za to zuchwalstwo!



Chwyciwszy Brythunkę za włosy, Thalís zawlokła ją w krąg światła. Na wysokości głowy w ścianie tkwił metalowy pierścień, z którego zwisał jedwabny sznur. Jak w okropnym śnie Natała poczuła, że zerwano z niej tunikę, podniesiono ręce i przywiązano przeguby do pierścienia. Naga, jak w dniu, gdy przyszła na świat, stała z wyciągniętymi w górę ramionami, ledwie końcami palców dotykając ziemi. Wykręciła głowę i zobaczyła, jak Thalís zdejmuje ze ściany bat o rękojeści wysadzanej klejnotami. Bicz miał siedem ramion plecionych z jedwabiu — twardszych, lecz bardziej giętkich niż rzemień.

Westchnąwszy z satysfakcją, Thalís zamachnęła się i Natała wrzasnęła, gdy bicz owinął się wokół jej lędźwi. Wiła się, jęczała i targała pęta wiążące jej przeguby. Tak samo jak Thalís zapomniała o czającym się w ciemnościach potworze, którego mogły zwabić jej krzyki.

Każdy cios wywoływał wrzask bólu. W porównaniu z tym chłosta, jaką otrzymała na shemickim targu niewolników wydawała się niczym. Nie miała pojęcia, że sznury splecione z jedwabiu mogą sprawić tyle bólu. Ich okrutna pieszczota była dotkliwsza niż uderzenia różgą czy rzemieniem. Ze złowrogim świstem przecinały powietrze.

Nagle, gdy Natała obróciła zalaną łzami twarz, by błagać o litość, krzyk zamarł jej na wargach. Wyraz cierpienia na jej ślicznej twarzyczce ustąpił miejsca nieopisanemu przerażeniu. Uderzona tą zmianą Thalís zatrzymała uniesioną do ciosu rękę i obróciła się zwinnie jak kot. Za późno! Z jej ust wydobył się okropny krzyk i cofnęła się o krok, zasłaniając się rękoma. Natała przez moment widziała białą, słaniającą się postać na tle ogromnego, czarnego, niekształtnego cienia; potem białe ciało Stygijski uniosło się w powietrze, cień cofnął się i Natała została

sama w kręgu słabego światła, pólżywa ze zgrozy.

Z ciemności dobiegały jakieś odgłosy, dziwne i mrozące krew w żyłach. Słyszała błagalny głos Thalís, jej zdyszane westchnienia, które nagle przeszły w rozdzierające wrzaski, przerywane histerycznym śmiechem zmieszonym z łkaniem. Powoli krzyki zmieniły się w spazmatyczne sapanie i w końcu wszystko ucichło, a w ukrytym przejściu znów zapadła straszliwa cisza.

Omdlała z przerażenia Natała obróciła głowę i ośmieliła się ze strachem spojrzeć tam, gdzie zniknęła Thalís. Niczego nie dojrzała, lecz czuła czające się wokół niebezpieczeństwo, przekraczające jej zdolność pojmowania. Walczyła z ogarniającą ją falą hysterii. W obliczu niebezpieczeństwa, które —jak mgliście przeczuwała — groziło nie tylko jej ciału, ale i duszy, zapomniała o obolałych przegubach i posiniaczonym ciele.

Wyteżyła wzrok, próbując przeniknąć mrok za kręgiem słabego światła, drętwiejąc ze strachu przed tym, co mogła tam ujrzeć. Z jej ust wyrwał się cichy jęk. W ciemności formował się jakiś stwór. Coś olbrzymiego i niekształtnego wyłaniało się z mroku. W słabym świetle dostrzegła wielki, nieforemny łeb. W końcu pojęła, że to głowa, chociaż niepodobna do głowy żadnego żyjącego stworzenia. Zobaczyła ogromny, żabi pysk, którego rysy rozpływały się jak zjawa widziana w sennym koszmarze. Łypnęły na nią wielkie sadzawki światła, które mogły być ślepiami, i dziewczyna zadrżała, widząc odzwierciedlający się w nich ogrom kosmicznej żądz. Nie mogła nic powiedzieć o ciele potwora. Jego sylwetka zdawała się nieustannie pulsować i zmieniać w oczach, a jednak stwór wydawał się być z krwi i kości. Nie był złudzeniem czy snem.

Gdy zaczął się do niej zbliżać, nie wiedziała, czy idzie, wije się,

frunie czy pełźnie. Sposób jego poruszania się był dla nici zupełnie niezrozumiały. Kiedy wyłonił się z cienia, nadal nie miała pojęcia, z czym ma do czynienia. Blask osadzonego w ścianie klejnotu nie oświetlał go tak, jak oświetliłby każdą zwykłą istotę. Choć wydawało się to niemożliwe, stwór ten zdawał się nie poddawać światłu. Natalia nie była w stanie dostrzec żadnych szczegółów jego wyglądu nawet wtedy, gdy znalazł się tak blisko, że niemal dotykał jej wijącego się ciała.

Widziała tylko ogromny, ropuszy pysk. Potwór był rozmazaną, czarną plamą cienia, którego zwykle światło nie mogło rozproszyć ani rozświetlić.

Dziewczyna doszła do wniosku, że oszalała, ponieważ nie mogła orzec, czy stwór spogląda na nią z dołu, czy też z góry. Nie była w stanie rzec, czy niewyraźny, odrażający pysk wykrzywia się do niej z cienia u jej stóp czy też spogląda na nią z niezwyklej wysokości.

Lecz tak jak wzrok przekonał ją, że czymkolwiek był niemy stwór, to jednak był materialną istotą, tak samo upewnił ją o tym zmysł dotyku. Czarna, mackowata kończyzna przesunęła się po jej ciele i dziewczyna wrzasnęła, czując jej dotknięcie na swej nagiej skórze. Nie było ani zimne, ani ciepłe, szorstkie czy delikatne; nie przypominało niczego, co kiedykolwiek jej dotknęło, i napełniło ją takim wstydem i lękiem, jakiego nigdy w życiu nie czuła. Cała lubieżność i sprośność wylęgła w bagnisku bezdennych otchłani zdawała się zalewać Natalę potwornym morzem plugastwa. W tym momencie zrozumiała, że jakąkolwiek formę życia stanowił ów potwór, z pewnością nie był zwierzęciem.

Zaczęła wrzeszczeć opętańczo, a potwór pociągnął ją do siebie, jakby chciał brutalną siłą oderwać ją od pierścienia, gdy nagle nad ich głowami rozległ się przeraźliwy trzask, po czym coś

przeleciało w powietrzu i spadło na kamienną podłogę.

Kiedy Conan obróciwszy się ujrzał wyglądający się gobelin i usłyszał zduszony krzyk Natali, z wściekłym rykiem rzucił się na ścianę. Z siłą, która zgruchotałaby kości każdemu innemu człowiekowi, uderzył barkiem o mur, odzyskał równowagę i zerwał arras z pozornie litej ściany. Oszałały z wściekłości, wznosił szablę, jakby chciał przerąbać nią marmur, gdy jakiś dźwięk za plecami sprawił, że odwrócił się, tocząc wokół płonącym spojrzeniem.

Przed nim stało tuzin żółtoskórych mężczyzn w purpurowych tunikach, dzierżących w dłoniach krótkie miecze. Gdy odwrócił się, runęli na niego, wznosząc wrogie okrzyki. Nie próbował z nimi pertraktować. Rozwścieczony zniknięciem swojej bogdanki postąpił w sposób typowy dla swej rasy.

Wydając ochoczo krwiożerczy ryk z głębi potężnej gardzieli skoczył na spotkanie wrogom i pierwszy z nich runął na ziemię z rozrąbaną czaszką, nim jeszcze znalazł się dość blisko, by móc dosięgnąć Cymeryjczyka swym krótkim mieczem. Okręciwszy się zwinnie jak kot, Conan przyjął spadający cios na swoją klingę i trzymająca miecz ręka poszybowała w powietrze, pryskając deszczem czerwonych kropeł. Jednak barbarzyńca nie zatrzymał się ani nie zawahał. Tygrysim skrzętem ciała uniknął ataku dwóch następnych napastników i ostrze jednego z nich, chybiwszy celu, wbiło się aż po rękojeść w pierś drugiego.

Na ten widok Xuthalczycy wydali okrzyk zgrozy, a barbarzyńca zaśmiał się ochryple i odskoczywszy przed

spadającym ze świstem ostrzem ciął nisko, powalając następnego przeciwnika. Trysnęła szkarłatna struga krwi i żółtoskóry jęcząc, runął z rozciętym brzuchem na podłogę.

Wojownicy Xuthal zawyli jak stado wilków. Nie zaprawieni do walki, byli śmiesznie powolni i niezdarni w porównaniu ze zwinnym jak tygrys barbarzyńcą, który poruszał się z błyskawiczną szybkością możliwą tylko dzięki doskonałemu zgraniu stalowych mięśni i refleksu. Tamci zderzali się i potykali, przeszkadzając sobie wzajemnie, uderzali zbyt wcześnie lub za późno, trafiając w powietrze. On nawet przez chwilę nie pozostawał w tym samym miejscu: uskakując, obracając się, schodząc z linii ciosu, stanowił dla ich mieczy nieustannie poruszający się cel, podczas gdy jego wygięte ostrze nieprzerwanie śpiewało im pieśń śmierci.

Jednak mimo wszystko wojownikom Xuthal nie brakowało odwagi. Roili się wokół niego, wrzeszcząc i siekąc, a z łukowatych drzwi wybiegali następni, obudzeni ze snu niebywałym zgiełkiem.

Krwawiąc z rozciętej skroni, Conan na chwilę oczyścił sobie pole szerokim zamachem ociekającej krwią szabli i rozejrzał się wokół, szukając drogi ucieczki. W tejże chwili dostrzegł, że arras na jednej ze ścian odchyła się, ukazując wąskie schody. Stał na nich mężczyzna w bogatych szatach, ze zdziwieniem mrugający oczami, jakby dopiero co się obudził i jeszcze nie oprzytomniał. Cymeryjczyk nie wahał się ani chwili.

Jednym tygrysim skokiem przedarł się nietknięty przez zwierający się krąg wrogów i skoczył ku schodom, słysząc za sobą wycie i tupot nóg. Trzech wrogów zastąpiło mu drogę u stóp marmurowych schodów — wpadł na nich i ciął potężnie. Przez moment cztery ostrza zalśniły w powietrzu jak letnie błyskawice;

później grupka rozpadła się i Conan skoczył na schody. Ścigający go napastnicy potknęli się o trzy trupy leżące na ziemi: jeden leżał twarzą w dół w okropnej kałuży mózgu i krwi, drugi usiłował dźwignąć się na rękach, brocząc czarną posoką z rozrąbanego gardła, a trzeci, skowycząc jak pies, ścisnął krwawy kikut, który kiedyś był ramieniem.

Gdy Conan pomknął po marmurowych schodach, mężczyzna na stopniach otrząsnął się ze snu i dobył miecza, który zalśnił zimno w blasku zielonych kamieni. Zadał mocne pchnięcie, celując w gardło nadbiegającego barbarzyńcy, jednak ten w ostatniej chwili uchylił się. Ostrze rozcięło tylko skórę na plecach Cymeryjczyka, który natychmiast wyprostował się, z potworną siłą tnąc szablą od dołu, jak rzeźnickim nożem.

Pędził po schodach z impetem, którego nie wytracił, wbijając szablę po rękojeść w brzuch przeciwnika. Odbił się od nieszczęśnika, odrzucając go na bok i z trzaskiem uderzył o ścianę.

Tamten, rozpruty od podbrzusza aż po mostek, potoczył się po schodach. Wlokący za sobą ohydny płataninę wnętrzości trup runął na biegnących po schodach ludzi, zbijając ich z nóg. Lekko oszołomiony barbarzyńca przez chwilę opierał się o ścianę, mierząc ich spojrzeniem, później pogroziwszy im ociekającą szablą pognął schodami w górę. Znalazłszy się na górze przystanął tylko na moment, by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

Za nim zgraja wyła z taką wściekłością i zgrozą, że Cymeryjczyk zrozumiał, iż na schodach zabił jakąś znamienitą osobę, zapewne króla tego miasta. Uciekał na oślep, przed siebie.

Rozpaczliwie pragnął odnaleźć i oswobodzić Natalę, która — czego był pewny — bardzo potrzebowała pomocy, lecz mając za

plecami ścigających go wojowników Xuthal, mógł tylko uciekać, ufając, że szczęście pozwoli mu umknąć i znaleźć dziewczynę. W ciemnych lub mrocznych komnatach szybko stracił orientację, więc nic dziwnego, że w końcu wpadł do sali, do której właśnie wbiegali wrogowie. Wrzasnęli mściwie i rzucili się na barbarzyńcę, który warknął z obrzydzeniem i obróciwszy się, pognął z powrotem drogą, którą przybył. A przynajmniej tak mu się wydawało. Kiedy jednak wpadł do kolejnej, urządzonej ze szczególnym przepychem komnaty, zrozumiał, że się mylił. Wszystkie pomieszczenia, które przemierzył, od kiedy wbiegł na schody, były puste. Ten pokój miał mieszkańca, który zerwał się z krzykiem na widok barbarzyńcy.

Conan ujrzał złotoskórą kobietę, zupełnie nagą, jeśli nie liczyć wysadzanej drogimi kamieniami biżuterii, patrzącą nań szeroko otwartymi oczyma. Tyle zdążył dostrzec, nim podniosła rękę i szarpnęła za jedwabny sznur zwisający przy ścianie. W tejże chwili podłoga zapadła się pod nim i nawet jego szybki jak myśl refleks nie zdołał uratować go przed upadkiem w ciemną czeluść, jaka rozwarła się pod jego stopami.

Nie poleciał daleko, chociaż wysokość była wystarczająca, aby człowiek o mniej odpornych kościach i ścięgnach połamał sobie nogi.

Spadł na nogi jak kot, podpierając się jedną ręką, a drugą instynktownie łapiąc za rękojeść szabli. Zrywając się z ziemi i szczerząc kły jak ryś, usłyszał znajomy głos. Odgarnąwszy z czoła grzywę zmierzwionych włosów zobaczył nagą Natalę, wijącą się w lubieżnym uścisku czarnego, nieforemnego cienia, który mógł się zrodzić jedynie w najgłębszych otchłaniach piekieł.

Widok tego straszliwego potwora mógł zmrozić krew w żyłach Cymeryjczyka. Jednak słysząc krzyk Natali, Conan poczuł



przyływ straszliwej wściekłości. Z oczyma zasnutymi szkarłatną mgłą furii ciał potwora szablą.

Tamten porzucił dziewczynę i odwrócił się do Cymeryjczyka. Spadające ostrze świsnęło w powietrzu, przecięło czarny kształt i uderzyło o kamienną podłogę, krzesząc błękitne skry. Conan stracił równowagę i upadł na kolana: cięcie nie napotkało oporu, jakiego oczekiwał.

Gdy zerwał się z ziemi, bestia była już przy nim.

Piętrzyła się nad nim niczym czarny obłok. Zdawała się omywać go niemal wyczuwalnymi falami, otaczać i pochłaniać. Ostrze jego szabli przecinało ją raz po raz, a sztylet szarpał i kroił; zalewały go strugi jakiejś lepkiej mazi, która musiała być krwią bestii. A jednak furia potwora nie słabła.

Cymeryjczyk nie wiedział, czy tnie kończyny stwora, czy też jego tułów, który goi się w oka mgnieniu. Przetaczali się tu i tam w zaciętych zmaganiach i barbarzyńca miał niejasne wrażenie, że walczy nie z jedną, a z całym mnóstwem niosących śmierć istot. Stwór zdawał się gryźć, drapać, dusić go i tłuc jednocześnie. Czuł kły i pazury szarpiące mu ciało; owijały go wiotkie, a jednak mocne jak stal macki; a najgorsze ze wszystkiego było to, że coś jakby ogon skorpiona raz po raz spadało mu na ramiona, plecy i piersi, rozdzierając skórę i napełniając rany jadem palącym jak płynny ogień.

Przetoczyli się za krąg światła i Cymeryjczyk walczył teraz w zupełnej ciemności. W pewnej chwili jak zwierzę wbił zęby we wroga i z odrazą poczuł w nich wijące się i śliskie niczym kauczuk, wiotkie ciało.

W zaciętej walce przewalali się po korytarzu, coraz dalej i dalej. Barbarzyńca był zamroczony od ciosów. Ze świstem oddychał przez zaciśnięte zęby. Wysoko nad sobą widział żabi

pysk, skąpany w upiornej poświacie, która zdawała się emanować z potwora. Ze zduszonym ni to krzykiem bólu, ni to przekleństwem Cymeryjczyk rzucił się na bestię i zebrawszy wszystkie siły zadał potężne pchnięcie. Ostrze weszło aż po rękojeść gdzieś pod okropną paszczę i dreszcz wstrząsnął ogromnym cielskiem, które już niemal wchłonęło Conana. Tytaniczny skurcz targnął bestią, która nagle w opętańczym pośpiechu potoczyła się korytarzem. Conan toczył się wraz z nią, poobijany, potłuczony, lecz niezwyciężony, ściskając kurczowo rękojeść szabli, której nie mógł wyjąć, a trzymanym w lewej dłoni sztyletem tnąc i siekąc na kawałki drgające cielsko. Teraz cały stwór zaczął emanować z siebie jakiś upiorną, fosforyczną poświatę; ten blask oślepił Cymeryjczyka. Nagle dygocząca, kłębiąca się masa zaczęła odpływać, uwalniając się od szabli, która pozostała mu w dłoni. Ta dłoń i ramię zawisły w próżni, a daleko w dole świecące ciało potwora mknęło w otchłań niczym meteor. Oszołomiony Conan uświadomił sobie, że leży na krawędzi głębokiej, owalnej studni, ocembrowanej śliskimi kamieniami. Leżał, patrząc, jak świecąca kula staje się mniejsza i mniejsza, aż wreszcie znika w ciemnej, lśniącej tafli, która jakby się podniosła na jej spotkanie. Przez chwilę w tej bezdennej otchłani migotały jakieś błędne ogniki; później zniknęły i Conan leżał, spoglądając w czerń absolutnej pustki, z której nie dobiegał żaden dźwięk.

Daremnie szarpiąc jedwabne więzy wrzynające się w nadgarstki, Natała próbowała przeniknąć wzrokiem ciemność za kręgiem światła. Język zdawał się przysychać jej do podniebienia.

Widziała, jak Conan zniknął w tych ciemnościach, szczepiony w śmiertelnej walce z potworem, i tylko dźwięki dochodziły do jej uszu: głośnie sapanie barbarzyńcy, łomot toczących się ciał oraz łoskot zadawanych ciosów. W końcu wszystko ucichło i na pół zemdlona Natała zwisiała w więzach.

Odgłos kroków wyrwał ją z apatii. Ujrzała wyłaniającego się z mroku Conana. Nagle odzyskała głos i wydała okrzyk, który odbił się echem w wysoko sklepionym tunelu. Trudno było jej powstrzymać ów krzyk zgrozy na widok zmaltretowanego Cymeryjczyka. Przy każdym kroku broczył krwią. Twarz miał podrapaną i pokrytą sińcami, jakby od uderzeń maczugi. Wargi miał rozbite, a z tuzina ran na głowie sączyła się krew. Uda, łydki i przedramiona miał pocięte głębokimi bruzdami, a całe ciało posiniaczone od uderzeń o kamienną posadzkę. Jednak najbardziej ucierpiały jego ramiona, plecy i mięśnie klatki piersiowej. W tych miejscach ciało było posiniaczone, napuchłe i poszarpane, aż skóra zwisiała w luźnych strzępach, jakby sieczono ją drucianym biczem.

— Och, Conanie! — załkała. — Co się z tobą stało?

Brakło mu tchu, aby odpowiedzieć, lecz gdy do niej podszedł, jego rozbite wargi wykrzywił ponury uśmiech. Owłosiona pierś,

błyszcząca od potu i krwi, unosiła się w ciężkim oddechu. Powoli, z wysiłkiem, sięgnął i przeciął jej więzy, po czym zatoczył się pod ścianę i oparł o mur, szeroko rozstawiając nogi. Natalia podniosła się z podłogi i przywarła do niego, łkając histerycznie.

— Och, Conanie, jesteś śmiertelnie ranny! Co teraz zrobimy?

— No — wysapał — nie można walczyć z demonem Piekieł i wyjść bez uszczerbku!

— Gdzie To jest? — szepnęła. — Zabiłeś to?

— Nie wiem. Runęło w otchłań. Pociąłem to w strzępy, ale nie wiem, czy można to zabić stalą.

— Twoje biedne plecy! — jęczała, załamując ręce.

— Chłostał mnie swoją macką — skrzywił się i zaklął. — Cięła jak drut i paliła jak ogień.

Jednak najgorszy był ten uścisk — gorszy niż pytona. Założę się, że ani jednej kiszki nie mam na swoim miejscu.

— Co teraz poczniemy? — biadała.

Zerknął w górę. Kłapa zapadni była zamknięta. Z góry nie dobiegał żaden dźwięk.

— Nie możemy wyjść przez sekretne drzwi — mruknął. — W komnacie leży pełno trupów i z pewnością postawili tam straż. Musieli uznać, że mój los jest przypieczętowany, gdy wpadłem do lochu, albo nie ośmielili się pójść tu za mną... Wykręć to radowe światełko ze ściany... Kiedy tu wracałem, namacałem w ścianie wyloty bocznych korytarzy. Pójdziemy pierwszym, na jaki trafimy. Może prowadzić do innego lochu albo na zewnątrz. Musimy zaryzykować. Nie możemy gnić w tych podziemiach.

Natala posłuchała go i, trzymając małe światełko w lewej ręce, a zakrwawioną szablę w prawej, Conan ruszył korytarzem. Szedł powoli, sztywno i tylko zwierzęca witalność pozwalała mu utrzymać się na nogach. Jego nabiegłe krwią oczy miały błędny

wyraz i Natalia widziała, że od czasu do czasu bezwiednie oblizuje rozbite wargi. Wiedziała, że okropnie cierpi, lecz z właściwym barbarzyńcy stoicyzmem nie skarży się.

Wreszcie w nikłym świetle ujrzeli czarny otwór i Conan wszedł weń. Natalia kurczyła się ze strachu na myśl o tym, co teraz zobaczy, lecz światło ukazało jedynie tunel podobny do tego, który zostawili za sobą.

Nie miała pojęcia, jak długo szli, zanim wspięli się na długie schody i dotarli do kamiennych drzwi zamkniętych na złoty rygiel.

Zawahała się, zerkając na Conana. Barbarzyńca chwiał się na nogach, a światło w jego dłoni kreśliło chwiejne, fantastyczne figury na ścianach korytarza.

— Otwórz drzwi, dziewczyno — mruknął ochryple. — Wojownicy Xuthal czekają na nas, a ja ich nie rozczaruję. Na Croma, to miasto jeszcze nie widziało takiej ofiary, jaką zaraz złożę!

Wiedziała, że jest półprzytomny. Zza drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Wyjąwszy świecący kamień z jego dłoni odsunęła rygiel i pociągnęła drzwi do siebie. Jej spojrzenie padło na spód kotary ze złotogłowiu. Czując serce w gardle, odchyliła ją i wyjrzała ostrożnie. Spoglądała na pustą komnatę, na środku której srebrzyście szemrała fontanna.

Ciężka dłoń Conana spoczęła na jej nagim ramieniu.

— Odsuń się, dziewczyno — wymamrotał. — Teraz przemówi stal.

— W komnacie nikogo nie ma — odparła. — I jest tu woda...

— Słyszę.

Oblizął spieczone wargi.

— Napijemy się przed śmiercią.

Wydawało się, że oślepl. Wzięła go za zbryzganą czarnymi plamami rękę i przeprowadziła przez kamienne drzwi. Szła na palcach, w każdej chwili spodziewając się, że do sali wpadną żółtoskórzy wojownicy.

— Napij się, a ja będę stał na straży — wymruczał.

— Nie, nie jestem spragniona. Połóż się przy fontannie, a ja przemyję ci rany.

— A co z wojownikami Xuthal?

Co chwila pocierał ręką oczy, jakby chciał zetrzeć z nich mrok.

— Nikogo nie słyszę. Wszędzie panuje cisza.

Z trudem osunął się na posadzkę i zanurzywszy twarz w krystalicznej wodzie pił, jakby miał nigdy nie mieć dość. Kiedy podniósł głowę, w jego nabiegłych krwią oczach nie było już szaleństwa i wyciągnął się na marmurowej posadzce tak, jak mu kazała, chociaż nie wypuszczał szabli z ręki i wciąż rozglądał się wokół. Obmyła jego poszarpane ciało i owinęła mu najgłębsze rany pasami oddartymi z jedwabnej zasłony. Wzdrygnęła się na widok jego pleców: w miejscach, gdzie nie było ran, ciało było odbarwione, pstrokate, w sinoczarne i żółte plamy. Zajęta opatrywaniem ran, przez cały czas gorączkowo próbowała znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Jeśli zostaną tutaj, w końcu zostaną odkryci. Nie wiedziała, czy Xuthalczycy przetrząsali pałac, szukając ich, czy też z powrotem zapadli w swoje sny. Skończyła pracę i nagle zamarła. W szparze kotary zasłaniającej alkowę zobaczyła skrawek żółtego ciała.

Nic nie mówiąc Conanowi, podniosła się i cicho podeszła do kotary, ściskając w ręku sztylet. Serce waliło jej jak młotem, gdy ostrożnie odsunęła zasłonę. Na łożu leżała młoda, żółto—skóra dziewczyna, naga i pozornie bez życia. Tuż obok posłania stał nefrytowy dzban, prawie pełen dziwnego, złocistego płynu.

Natala pojęła, iż był to zapewne eliksir opisywany przez Thalisa, zapewniający siły i zdrowie zdegenerowanemu Xuthalczykom. Nachyliła się nad śpiącą i chwyciła dzban, trzymając ostrze wymierzone w pierś dziewczyny. Ta nie obudziła się.

Zdobywszy dzbanek Natala zawahała się, uświadamiając sobie, że bezpieczniej byłoby mieć pewność, że dziewczyna nie zbudzi się i nie podniesie alarmu. Jednak nie mogła zmusić się do wbicia sztyletu Cymeryjczyka w pierś śpiącej i w końcu zasunęła z powrotem kotarę i wróciła do Conana, który leżał tam, gdzie go zostawiła, najwidoczniej tylko półprzytomny.

Nachyliła się i przytknęła mu naczynie do ust. Zaczął pić, najpierw odruchowo, później z nagle obudzonym ożywieniem. Ku jej zdumieniu usiadł i wziął dzbanek z jej rąk. Kiedy na nią spojrzał, jego oczy miały normalny, przytomny wyraz, jego rysy zdawały się odzyskiwać normalny wygląd, a słowa nie były majaczeniem konającego.

— Na Croma! Skąd to masz? Wskazała ręką.

— Z tej alkowy, gdzie śpi jakaś żółta hurysa.

Znów zanurzył usta w złocistym płynie.

— Na Croma! — rzekł z głębokim westchnieniem. — Czuję, że nowe życie i siły krążą jak płynny ogień w moich żyłach! To zaiste prawdziwy eliksir życia!

Wstał, podnosząc z podłogi swoją szablę.

— Lepiej wracajmy do tunelu — zaproponowała nerwowo Natala. — Jeśli zostaniemy tu dłużej, mogą nas odkryć. Ukryjemy się, dopóki nie zagoją się twoje rany i...

— O nie! — przerwał jej. — Nie jesteśmy szczurami, żeby kryć się w ciemnych norach.

Opuścimy to diabelskie miasto i niech nikt nie próbuje nas zatrzymać!

— A twoje rany!? — jęknęła.

— Wcale ich nie czuję — odrzekł. — Może ten likwor dał mi tylko złudzenie siły, lecz przysięgam, że nie czuję ani bólu, ani słabości.

Wiedziony nagłą myślą podszedł do okna, którego do tej pory nie zauważyła. Zerknęła mu przez ramię. Chłodny wietrzyk rozwichrzył jej jasne loki. W górze było ciemne, aksamitne niebo usiane gwiazdami. Wokół rozpościerała się bezkresna pustynia.

— Thalís mówiła, że to miasto jest jednym wielkim pałacem — powiedział Conan.

Widocznie niektóre komnaty są niczym baszty na murach. Ta musi być jedną z nich.

Przypadkiem dobrze trafiliśmy.

— Co masz na myśli? — spytała, tęsknie spoglądając mu przez ramię.

— Na tym stole z kości słoniowej stoi kryształowy dzban — odparł. — Napełnij go wodą i owiąż szyjkę paskiem oddartym z zasłony, żeby było za co chwycić, a ja tymczasem podreż kotarę na pasy.

Usłuchała, nie zadając żadnych pytań, a skończywszy zobaczyła, że Cymeryjczyk pospiesznie wiąże linę z długich, mocnych pasów jedwabiu i mocuje jeden jej koniec do nogi potężnego stołu.

— Poszukamy szczęścia na pustyni — rzekł. — Thalís mówiła o oazie o dzień marszu na południe i o zielonych łąkach za nią. Jeśli dotrzemy do tej oazy, zatrzymamy się w niej, dopóki nie zagoją się moje rany. To wino było chyba zczarowane. Jeszcze przed chwilą byłem prawie martwy, a teraz wróciły mi siły. Masz, zostało jeszcze tyle jedwabiu, że możesz się trochę okryć.

Natala zapomniała o tym, że jest zupełnie naga. Ten fakt



zbytnio jej nie martwił, lecz jej delikatna skóra potrzebowała osłony przed pustynnym słońcem. Gdy owijała swoje gibkie ciało kawałkiem jedwabiu, Conan podszedł do okna i niedbałym ruchem wyłamał miękkie, złote kraty. Później opasał liną biodra Natali, po czym, przestrzegając, by trzymała się liny obiema rękami, wystawił ją za okno i powoli opuścił na ziemię. Gdy tylko rozwiązała pętlę, Conan ściągnął linę i szybko spuścił na niej naczynia z wodą i winem, prosto w ręce Natali.

Później na rękach opuścił się w ślad za nimi.

Gdy stanął u jej boku, Natalia westchnęła z ulgą. Znajdowali się u stóp potężnego, przeszło dziesięciometrowego muru, nad głową mieli blednące gwiazdy, a wokół piaski pustyni. Nie wiedziała, jakie jeszcze mogły ich czekać niebezpieczeństwa, lecz jej serce śpiewało z radości, gdyż wydostali się z tego upiornego, niesamowitego miasta.

— Mogą znaleźć linę — mruknął Conan, zarzucając cenne dzbany na plecy i krzywiąc się, gdy dotknęły jego obolałego ciała. — Może nawet będą nas ścigać, chociaż sądząc po tym, co powiedziała Thalís, wątpię w to. Oto droga na południe — wskazał kierunek zbrązowiałym, muskularnym ramieniem. — Gdzieś tam znajduje się oaza. Chodź!

Z rzadką u niego czułością wzięwszy dziewczynę za rękę, Conan pomaszerował przez piaski, dostosowując swój krok do małych kroczków Natali. Nawet nie obejrzał się na uśpione miasto, majaczące ponuro za ich plecami.

Natalia w końcu zdobyła się na odwagę i zapytała:

— Powiedz mi, Conanie, czy kiedy walczyłeś z potworem i później, kiedy wracałeś korytarzem, widziałeś gdzieś ślad Thalís? Potrząsnął głową.

— W tunelu było ciemno, ale nie było tam nikogo. Zadrzała.

— Dręczyła mnie, lecz mimo to żal mi jej.

— Zgotowali nam gorące powitanie w tym przeklętym mieście — warknął, lecz zaraz odzyskał swoje ponure poczucie humoru.

— No, założę się, że długo popamiętają naszą wizytę. Z marmurowych kafelków trzeba zetrzeć krew, mózg i flaki, a jeśli ich bóstwo żyje, to jest pokiereszowane gorzej niż ja. Mimo wszystko mieliśmy szczęście: mamy wino, wodę i spore szansę na dotarcie do zamieszkałej krainy, chociaż ja wyglądam, jakby mnie przekręcili przez maszynkę do mięsa, a ty masz obolały...

— To wszystko twoja wina — przerwała mu. — Gdybyś nie patrzył tak długo i namiętnie na tę stygijską kocicę...

— Crom i demony! — zaklął. — Kobiety nie zapomną o zazdrości nawet, gdyby ocean zatapiał ziemię. Niech diabli wezmą ich próżność! Czy ja kazałem tej Stygijce, żeby się we mnie zakochała? Mimo wszystko była tylko kobietą!

**ROBERT E. HOWARD,  
L. SPRAGUE DE CAMP**

## **BĘBNIY TOMBALKU**

W końcu Conanowi udaje się dotrzeć z powrotem do hyboryjskich krain. Stukając pojęcia, naciąga są jako kondotier w szeregi najemnej armii, jaką Zingarani, książę Zapajo da Kopa, opiera w Argos. Argos i Koth toczą wojnę ze Stygią. Zgodnie z planem Koth ma najechać Stygię z północy, a armia argijska ma zaatakować ją od południa, z morza. Jednak Koth w tajemnicy zawiera pokój ze Stygią i armia najemników zostaje odcięta w południowej Stygii między dwiema wrogimi siłami. I znów Conan jest jednym z niewielu ocalałych. Umykając przez pustynię z młodym akwilońskim żołnierzem, Amalrykiem, zostaje schwytany przez pustynnych nomadów, podczas gdy Amalrykowi udaje się uciec.

Trzej mężczyźni przysiedli przy wodopoju, pod wieczornym niebem malującym pustynię umbrą i czerwienią. Jeden był biały i na imię miał Amalryk; pozostali dwaj byli Ghanatanami, o ciałach ledwie okrytych nędznymi łachmanami. Zwali się Gobir i Saidu; przykucnięci przy sadzawce wyglądali jak dwa sępy.

Opodal wielbłąd głośno przeżuwał swój pokarm, a para znużonych koni daremnie obwąchiwała nagi piach. Mężczyźni ponuro zajadali suszone daktyle. Czarni byli zajęci jedynie poruszaniem szczękami, podczas gdy biały od czasu do czasu zerkał na ciemnoczerwone niebo lub na monotonną równinę, na której zbierały się coraz gęstsze cienie.

On pierwszy zobaczył jeźdźca, który podjechał i ściągnął koniowi wodze tak silnie, że wierzchowiec stanął dęba.

Jeździec był olbrzymem, którego skóra, czarniejsza od tych dwóch siedzących przy ogniu, i spłaszczony nos świadczyły wyraźnie o kuszyckim pochodzeniu. Obszerne, ściągnięte w kostkach jedwabne pantalone podtrzymywał szeroki pas owinięty kilkakroć wokół wielkiego brzucha. Na pasie tym wisiał też ogromny sejmitar, który niewielu ludzi zdołałoby unieść jedną ręką. Posiadacz tego oręża był powszechnie znany wśród ciemnoskórych synów pustyni. Był to Tilutan, duma Ghanaty.

Przez siodło miał przełożoną, a raczej przewieszoną, jakąś postać. Ghanatanie syknęli przez zaciśnięte zęby, gdy dostrzegli błysk białego ciała. Przez łęk siodła Tilutana była przerzucona dziewczyna; jej czarne włosy spływały gęstą falą na końskie

strzemie.

Czarny olbrzym wyszczerzył zęby w uśmiechu i niedbale rzucił na piasek swoją brankę, która upadła bezwładnie i leżała bez ruchu. Gobir i Saidu instynktownie obrócili się do Amalryka, podczas gdy Tilutan obserwował go z siodła: trzech czarnych przeciwko jednemu białemu. Pojawienie się na scenie białej kobiety w przedziwny sposób zmieniło atmosferę przy ognisku.

Amalryk był jedynym, który zdawał się nie wyczuwać napięcia. Odruchowo przyglądał swoje jasne loki i spojrzał obojętnie na nieprzytomną dziewczynę. Jednak w jego szarych oczach pojawił się dziwny błysk, którego tamci nie zauważyli.

Tilutan zeskoczył z siodła, pogardliwie rzucając wodze Amalrykowi.

— Zajmij się moim koniem — powiedział. — Na Jhila, nie wytropiłem pustynnej antylopy, ale znalazłem tę małą kózkę. Szła, zataczając się, przez piaski i upadła w chwili, gdy nadjechałem. Myślę, że zasłała z głodu i pragnienia. Odejdźcie, szakale i pozwólcie mi ją napoić.

Ułożywszy dziewczynę przy sadzawce czarny olbrzym zaczął przemywać jej twarz i ręce oraz sączyć krople wody między spieczone wargi. W końcu jęknęła i poruszyła się. Gobir i Saidu przykucnęli, trzymając ręce na kolanach i gapiąc się na nią przez ramię Tilutana.

Amalryk stał nieco dalej, nie okazując większego zainteresowania.

— Dochodzi do siebie — oznajmił Gobir.

Saidu nic nie powiedział, ale oblizwał grube wargi.

Amalryk obrzucił obojętnym spojrzeniem leżącą dziewczynę, od podartych sandałów po rozwichrzoną koronę lśniących, czarnych włosów. Jedynym strojem dziewczyny była jedwabna

sukienka, ściągnięta w talii. Strój ukazywał jej ramiona, dekolt oraz część piersi i kończył się kilka centymetrów nad kolanami. Ghanatanie pożerali spojrzeniami odsłonięte części ciała dziewczyny, taksując krągłe kształty, jeszcze dziecinne w swej białej miękkości, lecz już zaokrąglone budzącą się kobiecością. Amalryk wzruszył ramionami.

— A kto po Tilutanie? — zapytał obojętnie.

Dwie kołtuniaste głowy zwróciły się do niego; błysnęły białka oczu. Później czarni spojrzeli po sobie. Napięcie wisiało w powietrzu jak burzowa chmura.

— Nie bijcie się — poradził Amalryk. — Rzućcie kości. Wyjął rękę spod znoszonej tuniki i rzucił im parę kości.

Szponiasta dłoń chwyciła je chciwie.

— Tak! — zgodził się Gobir. — Rzucimy kości — zwycięzca po Tilutanie!

Amalryk rzucił spojrzenie czarnemu gigantowi, który wciąż pochylał się nad branką, przywracając życie wyczerpanemu ciału. Zobaczył, jak jej długie rzęsy unoszą się lekko.

Ciemnofiołkowe oczy spojrzały ze zdumieniem na obleśnie wykrzywioną twarz czarnego. Z grubych warg Tilutana wyrwał się okrzyk zadowolenia. Wydobycszy zza pasa bukłak z winem, przycisnął jej do ust. Mimowolnie zaczęła pić. Amalryk unikał jej spojrzenia — był sam przeciw trzem czarnym, z których każdy był równym mu przeciwnikiem.

Gobir i Saidu pochylili się nad kostkami; Saidu zamknął je w dłoni, chuchnął na szczęście, potrząsnął i rzucił. Dwie głowy pochyliły się nad toczącymi się po piasku kostkami. W tejże chwili Amalryk dobył miecza i uderzył. Ostrze przecięło chudy kark aż po krtań. Gobir tryskając krwią, runął na piach, z niemal zupełnie odciętą głową.

Saidu zerwał się na równe nogi z błyskawicznym refleksem właściwym ludziom pustyni i ciął wściekle, mierząc w głowę zabójcy. Amalryk ledwie zdążył sparować cios uniesioną klingą. Spadający ze świstem sejmitar zbił proste ostrze w dół tak, że uderzyło w głowę białego, który zatoczył się i upuścił swój miecz. Natychmiast otrząsnąwszy się z zamroczenia, rzucił się na Saidu, przechodząc do zwarcia, w którym długi sejmitar był bezużyteczny. Jednak pod łachmanami koczownika kryło się żylaste ciało i stalowe mięśnie.

Tilutan, zrozumiałwszy co się dzieje, puścił dziewczynę i podniósł się z rykiem. Z błyszczącym, wielkim sejmitarem w dłoni runął na walczących jak szarżujący byk. Amalryk zobaczył nadbiegającego wroga i krew zastygła mu w żyłach. Saidu wił się i szamotał, daremnie próbując użyć swego ostrza. Ich stopy deptały i miesiły piach; zwarli się w śmiertelnym uścisku. Amalryk z całej siły uderzył piętą obutej w sandał nogi w śródstopie Ghanatanina i poczuł, jak pękają kości. Saidu zawył i targnął się konwulsyjnie. Zatoczyli się w momencie, gdy Tilutan zamachnął się, wymierzając potężny cios. Akwilończyk poczuł, jak ostrze prześlizguje się pod jego ramieniem i wbija głęboko w pierś Saidu. Mały Ghanatanin wydał przeraźliwy krzyk i w konwulsyjnym skurczu wyrwał się z rąk Amalryka.

Tilutan zaklął z furią i wyszarpnąwszy oręż z ciała umierającego odepchnął go na bok. Zanim zdążył uderzyć po raz drugi, Amalryk, czując dreszcz zgrozy na myśl o tym wielkim, zakrzywionym ostrzu, złapał go za gardło.

Z rozpaczą uświadomił sobie, jak silny był jego przeciwnik. Tilutan był sprytniejszy niż Saidu. Upuścił sejmitar i z rykiem chwycił Akwilończyka oburącz za gardło. Wielkie, czarne paluchy były jak stalowe cęgi. Amalryk, daremnie próbujący

wyrwać się z ich uścisku, runął na ziemię i został przygnieciony ogromnym cielskiem Ghanatanina. Tamten potrząsał nim, jak pies potrząsa szczurem, tłukąc jego głową o piach. W zasnuwającej mu oczy, czerwonej mgłę młodzieniec widział wykrzywioną grymasem wściekłości twarz Negra, grube wargi ściągnięte w nienawistnym uśmiechu i błyszczące zęby.

— Chcesz jej, ty biały psie! — warczał Ghanatanin, oszalały z wściekłości i żądy. — Aaa! Skręć ci kark! Rozszarpię ci gardło! Ja — i mój sejmitar! Odetnę ci łeb i każę jej go całować!

Po raz ostatni uderzywszy głową Amalryka o twarde piach, Tilutan w przypływie morderczej pasji podniósł przeciwnika w powietrze i cisnął nim o ziemię. Podniósłszy się odbiegł kawałek, pochylił się i złapał swój oręż — szeroki, stalowy półksiężyc leżący na piasku. Z dzikim wrzaskiem odwrócił się i znów skoczył na Amalryka, unosząc broń do ciosu. Ogłuszony, oszołomiony i obolały od ciosów Akwilończyk podniósł się, by stawić mu czoła. Pas Tilutana rozwiązał się w czasie walki i teraz jego koniec zaplątał mu się pod nogi.

Ghanatanin potknął się, stracił równowagę i runął jak długi, wyciągając ręce, aby złagodzić upadek. Sejmitar wypadł mu z dłoni.

Amalryk schylił się, chwycił oręż w obie ręce i zrobił niepewny krok w przód. Pustynia przed nim zdawała się kołysać. W mroku ujrzął, jak twarz Tilutana pobieliała nagle w przeczuciu nadchodzącej zguby. Czarny rozdziawił szerokie usta, dziko wywracając białkami oczu. Zastygł w przykłęku, podparty na jednej ręce, jakby niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. W następnej chwili sejmitar opadł, rozcinając okrągłą głowę aż po brodę. Amalryk dojrzał jeszcze, jak czarna twarz przecięta poszerzającą się, czerwoną linią, zapada w mrok.



Potem ogarnęła go ciemność.

Coś chłodnego i miękkiego delikatnie, lecz ponagłajaco dotykało twarzy Amalryka. Wyciągnął rękę i dotknął czegoś ciepłego, krągłego i gładkiego. Gdy odzyskał wzrok zobaczył łagodną, owalną twarz okoloną grzywą czarnych włosów. Patrzył jak urzeczony, bez słowa, chłonąc wzrokiem każdy szczegół jej pełnych, czerwonych warg, ciemnofiołkowych oczu i alabastrowej szyi. Z nagłym dreszczem zdał sobie sprawę, że zjawka mówi doń coś cichym, melodyjnym głosem. Słowa były niezrozumiałe, lecz dziwnie znajome. Mała, biała dłoń trzymająca skrawek ociekającego wodą jedwabiu przesuwała się delikatnie po jego obolałej głowie i twarzy. Podniósł się z trudem.

Zapadła noc, niebo było usiane gwiazdami. Wielbłąd wciąż przeżuwał, koń zarżał niespokojnie. Opodał, w okropnej kałuży krwi i mózgu, leżał trup z rozplataną czaszką.

Amalryk spojrział na klęczącą przy nim dziewczynę, mówiącą coś w dziwnym, nieznanym języku. Gdy mgła spowijająca mu umysł rozwiała się nieco, zaczął rozumieć jej słowa.

Sięgnąwszy pamięcią do na pół zapomnianych języków, jakimi rozmawiał w przeszłości, przypomniał sobie ten, jakim posługiwali się wykształceni mieszkańcy południowych prowincji Koth.

— Kim... Kim jesteś, dziewczyno? — spytał powoli i z wysiłkiem, przytrzymując jej małą dłoń w swojej twardej ręce.

— Jestem Lissa.

Zabrzmiało to niemal tak, jakby sepleniała. Jej imię było niczym plusk czystego strumyka.

— Cieszę się, że odzyskałeś przytomność. Bałam się, że nie żyjesz.

— Niewiele brakowało — mruknął, zerkając na okropne

szczętki tego, który jeszcze niedawno był zuchwałym Tilutanem. Dziewczyna, dygocząc, odwróciła głowę. Jej dłoń drżała i siedzącemu obok niej Amalrykowi wydawało się, że czuje, jak szybko bije jej serce.

— To było straszne — wyjąkała. — Jak zły sen. Gniew... i ciosy... krew...

— Mogło być gorzej — burknął.

Zdawała się wyczuwać każdą zmianę jego głosu i nastroju. Wolną dłonią chwyciła go za rękę.

— Nie chciałam cię obrazić. To było bardzo odważne z twojej strony, zaryzykować życie dla kogoś obcego. Jesteś tak szlachetny jak rycerze z północy, o których czytałam.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Jej wielkie, czyste oczy odpowiedziały mu spojrzeniem odzwierciedlającym tylko to, co powiedziała. Zaczął coś mówić, lecz rozmyślił się i zapytał tylko:

— Co robiłaś na pustyni?

— Przybyłam z Gazal — odparła. — Ja... ja uciekałam. Nie mogłam już tego znieść. Było tak gorąco, byłam sama i zmęczona, a wokół był tylko piasek, piasek... i rozpalone niebo.

Piach parzył przez podeszwy sandałów, które szybko się zdarły. Byłam taka spragniona; mój bukłak szybko się opróżnił. Wtedy chciałam wrócić do Gazal, ale nie wiedziałam, w którą stronę mam iść. Wszystko wyglądało tak samo. Byłam strasznie przerażona i zaczęłam biec w kierunku, w którym, jak sądziłam, leży Gazal. Potem niewiele już pamiętam: biegłam, dopóki byłam w stanie biec. Przez jakiś czas musiałam leżeć na rozpalonym piasku. Przypominam sobie, że wstałam i powlokłam się dalej; potem chyba usłyszałam czyjś krzyk i zobaczyłam pędzącego na mnie czarnego jeźdźca na czarnym koniu. Później nic już nie pamiętam aż do chwili, gdy odzyskałam przytomność, a ten

czarny trzymał mi głowę i poił winem. Potem były krzyki i szczęk broni...

Zadrzała.

— Kiedy już było po wszystkim, podczołgałam się tam, gdzie leżałeś jak nieżywy i próbowałam ci pomóc.

— Dlaczego? — zapytał. Zdawała się nie rozumieć.

— Dlaczego? — wyjąkała. — No... Byłeś ranny, a ja... No, przecież każdy zrobiłby to na moim miejscu. Ponadto zrozumiałam, że walczyłeś, aby obronić mnie przed tymi czarnymi.

Ludzie w Gazal zawsze mówili, że czarni są źli i robią krzywdę bezbronnym.

— To nie dotyczy tylko czarnych — mruknął Amalryk. — Gdzie jest to Gazal?

— Nie może być daleko — odrzekła. — Szłam przez cały dzień... Nie wiem, jak długo jechałam na koniu tego, który mnie przywiózł. Jednak musiał mnie znaleźć po zachodzie słońca, więc nie ujechał daleko.

— W jakim kierunku? — spytał.

— Nie wiem. Kiedy opuściłam miasto, podążyłam na południe.

— Miasto? — mruknął. — O dzień drogi stąd? Myślałem, że w promieniu tysiąca mil jest tu tylko pustynia.

— Gazal leży na pustyni — odparła. — Stoi wśród palm oazy.

Odsunawszy dziewczynę na bok, Amalryk podniósł się z ziemi, klnąc cicho, gdy dotknął posiniaczonej i podrapanej szyi. Obejrzał kolejno wszystkich trzech czarnych, nie znajdując w żadnym ani śladu życia. Później odciągnął ich na pustynię, jednego po drugim. Gdzieś w pobliżu zawyły szakale. Wróciwszy do wodopoju, przy którym spokojnie czekała dziewczyna, zaklął, widząc oprócz wielbłąda tylko czarnego ogiera Tilutana.

Pozostałe wierzchowce zerwały pęta podczas walki i uciekły.

Amalryk wrócił do dziewczyny i podał jej garść suszonych daktyli. Zaczęła je chciwie zajadać, a on usiadł i przyglądał jej się z narastającym zniecierpliwieniem.

— Czemu uciekałaś? — zapytał nagle. — Czy jesteś niewolnicą?

— W Gazal nie ma niewolników — odparła. — Och, byłam zmęczona... tak bardzo zmęczona tym monotonnym życiem. Chciałam zobaczyć trochę świata. Powiedz mi, z jakiej pochodzisz ziemi?

— Urodziłem się wśród zachodnich wzgórz Akwilonii — rzekł.

Kłasnęła w dłonie jak uradowane dziecko.

— Wiem, gdzie to jest! Widziałam na mapach. To wysunięty najdalej na zachód kraj hyboryjski, a jego królem jest Epeus Mieczodzierzca.

Amalryk doznał lekkiego szoku. Gwałtownie podniósł głowę i ze zdumieniem spojrzął na swoją towarzyszkę.

— Epeus? Ejże, Epeus nie żyje już od dziewięciuset lat. Król nazywa się Vilerus.

— No tak, oczywiście — powiedziała zmieszana. — Rzecz jasna, Epeus był królem dziewięć wieków temu, tak jak mówisz. Opowiedz mi... Opowiedz mi coś o świecie!

— No, to ci skromne życzenie! — odrzekł zakłopotany. — Nigdzie nie podróżowałaś?

— Pierwszy raz znalazłam się za murami Gazal! — wykrzyknęła.

Utkwił spojrzenie w wypukłości jej białej piersi. W tej chwili nie interesowały go jej opowieści; Gazal mogło być nawet Piekłem.

Zaczął coś mówić, później zmienił zamiar i porwał ją w ramiona, napinając mięśnie, by pokonać spodziewany opór. Nie

napotkał żadnego. Jej miękkie, uległe ciało leżało na jego kolanach, a oczy spoglądały nań z lekkim zdumieniem, lecz bez lęku czy zmieszania. Była jak dziecko, czekające na nową zabawę. Coś w jej szczerym spojrzeniu zbiło go z tropu. Gdyby krzyczała, płakała, walczyła lub uśmiechała się znacząco, wiedziałby, co z nią robić.

— Na Mitrę! Kimże jesteś, dziewczyno? — spytał szorstko. — Chyba słońce nie odebrało ci rozumu i nie igrasz ze mną? Twoja mowa wskazuje, że nie jesteś zwykłą wieśniaczką, niewinną w swej niewiedzy. A jednak zdajesz się nie wiedzieć nic o świecie i ludziach.

— Jestem córą Gazal — odparła bezradnie. — Gdybyś zobaczył Gazal, może zrozumiałbyś.

Podniósł ją z kolan i posadził obok. Przyniósł końską derkę i rozłożył na piasku.

— Śpij, Lisso — rzekł ochrypłym głosem zdradzającym miotające nim uczucia. — Jutro zamierzam ujrzeć Gazał.

O świcie wyruszyli na zachód. Amalryk posadził Lisę na wielbłądzie, pokazawszy jej, jak utrzymać równowagę. Złapała się oburącz siodła, zdradzając całkowitą nieumiejętność jazdy.

To znów zdziwiło młodego Akwilończyka. Dziewczyna wychowana na pustyni, która jeszcze nigdy nie siedziała na wielbłądzie i aż do poprzedniego wieczora nigdy nie jechała na koniu!

Amalryk sporządził dla niej coś w rodzaju płaszcza. Włożyła strój, nie zadając żadnych pytań, nawet nie pytając, skąd go ma — przyjmując go tak jak wszystko, co dla niej robił — z wdzięcznością i bez wahania, nie dociekając powodów. Amalryk nie powiedział jej, że jedwab, który teraz osłaniał ją od słońca, przedtem okrywał czarną skórę jej porywacza.

Gdy jechali, znów zaczęła go prosić, aby opowiedział jej coś o świecie — jak dziecko dopominające się bajki.

— Wiem, że Akwilonia leży daleko od tej pustyni — powiedziała. — Między nią leży Stygia i ziemie Shemu i inne krainy. Jak to się stało, że jesteś tutaj, tak daleko od ojczyzny?

Przez chwilę jechał w milczeniu, trzymając w dłoni uzdę wielbłąda.

— Argos i Stygia toczą wojnę — rzekł nagle. — Koth też zostało w nią wplątane.

Kothijczycy nalegali, aby jednocześnie zaatakować Stygię. Argos zebrało armię najemników, którzy wsiedli na okręty i pożeglowali wzdłuż wybrzeża na południe. W tym samym czasie armia Koth miała zaatakować Stygię na lądzie. Byłem jednym z najemników w armii Argos.

Napotkaliśmy stygijską flotę i pobiliśmy ją, odrzucając z powrotem do Khemi. Powinniśmy wylądować, splądrować miasto i podążać wzdłuż rzeki Styks, lecz nasz admirał był ostrożny.

Przewodził nam książę Zapayo da Kova, Zingararin.

Płynęliśmy na południe, aż dotarliśmy do porośniętych dżunglą brzegów Kush. Tam wylądowaliśmy i statki rzuciły kotwice, zaś armia ruszyła na wschód, wzdłuż stygijskiej granicy, paląc i grabiąc. Zamierzaliśmy w pewnej chwili skrócić na północ i uderzyć w samo serce Stygii, aby połączyć się z kothijską jazdą nacierającą z północy.

Wtedy dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy zdradzeni. Koth zawarło odrębny pokój ze Stygijczykami. Stygijską armia podążała na południe, chcąc przeciąć nam drogę, podczas gdy jej część już odcięła nas od morza.

Zdesperowany książę Zapayo wpadł na szalony pomysł, aby

pomaszerować na wschód, w nadziei dotarcia wzdłuż granicy do wschodnich ziem Shemu. Jednak armia z północy dogoniła nas. Stanęliśmy i walczyliśmy.

Walka trwała cały dzień i wróg w rozsypce wrócił do swego obozu. Jednak na drugi dzień z zachodu nadciągnęła reszta ich sił. Wzięta w dwa ognie nasza armia przestała istnieć.

Zostaliśmy pokonani, rozbici, zniszczeni. Nielicznym udało się uciec. Kiedy zapadła noc, wymknąłem się z okrążenia razem z jednym towarzyszem, Cymeryjczykiem imieniem Conan — ogromnym, silnym jak byk mężczyzną.

Pojechaliśmy na południe, na pustynię, ponieważ nie mogliśmy się udać w żadnym innym kierunku. Conan był już przedtem w tej części świata i sądził, że mamy szansę ujść z życiem.

Daleko na południu znaleźliśmy oazę, lecz ścigała nas stygijską jazda. Znowu uciekaliśmy, od oazy do oazy, głodni i spragnieni, aż znaleźliśmy się w surowej, nieznannej ziemi prażącego słońca i nagich piasków. Jechaliśmy, aż nasze konie zaczęły się słaniać na nogach, a my byliśmy półprzytomni ze zmęczenia.

Wtedy, pewnej nocy zobaczyliśmy ogniska i podjechaliśmy do nich, w desperackiej nadziei, że znajdziemy tam przyjaciół. Gdy tylko podjechaliśmy bliżej, przywitał nas grad strzał. Koń Conana został trafiony i stanął dęba, zrzucając jeźdźca z siodła. Cymeryjczyk musiał skręcić sobie kark, bo ani się ruszył. Jakoś udało mi się uciec w ciemnościach, chociaż padł pode mną koń. Ledwie zdążyłem dostrzec napastników — wysokich, chudych ludzi w dziwnych, barbarzyńskich strojach.

Wędrowałem pieszo przez pustynię, aż przyłączyłem się do tych trzech sępów, których widziałś wczoraj. Ta banda szakali należała do Ghanatanów, zbójckiego plemienia będącego

mieszanką wielu ras — czarnej i Mitra wie jakich jeszcze. Nie zamordowali mnie tylko dlatego, że nie miałem nic, czego by pragnęli. Przez miesiąc wędrowałem z nimi i kradłem, bo nie miałem innego wyjścia.

— Nie wiedziałam, że to jest tak — powiedziała cicho. — Mówili, że na świecie są wojny i okrucieństwa, lecz zdawało się to czymś odległym, jak sen. Słyszając, jak mówisz o zdradach i bitwach, wydaje mi się, że sama je widzę.

— Czy żaden wróg nigdy nie napadł na Gazal? — zapytał. Potrząsnęła głową.

— Ludzie omijają Gazal z daleka. Czasem widziałam rzędy czarnych plamek poruszające się na horyzoncie, a starzy ludzie mówili, że to armie idące na wojnę; lecz one nigdy nie zbliżyły się do miasta.

Amalryk poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Tę pustynię, pozornie pozbawioną życia, zamieszkiwało jednak kilka najdzikszych plemion na ziemi: Ghanatanie, żyjący daleko na wschodzie, zakapturzeni Tibu, którzy — jak sądził — żyli dalej na południe, a ponadto gdzieś na południowym zachodzie znajdowało się na poły legendarne imperium Tombalku, zamieszkane przez okrutny, barbarzyński lud. To dziwne, że jakieś miasto stojące pośrodku tej dzikiej krainy mogło trwać niepokojone na tyle, że jego mieszkanka nawet nie znała znaczenia słowa wojna.

Gdy zwrócił swój wzrok w inną stronę, ogarnęły go dziwne myśli. Czy dziewczyna oszalała od słońca? A może była demonem w kobiecej postaci, przybyłym z pustyni, by zwabić go na pewną zgubę? Jedno spojrzenie na nią, kurczowo trzymającą się łąku wielbłądziego siodła, wystarczyło, aby rozwiać te podejrzenia. Wtedy znów ogarnęły go wątpliwości. Czyżby była



czarodziejką? Może rzuciła na niego urok?

Podążali uparcie na zachód, przystając w południe tylko po to, żeby napić się wody i zjeść trochę daktyli. Aby osłonić ją przed palącym słońcem, Amalryk zbudował wątki baldachim ze swego miecza, pochwy i końskich derek. Zmęczoną i zeszywniałą od rozkołysanego, wielbłądziego chodu dziewczynę musiał znieść na rękach. Kiedy znów poczuł bujną słodycz jej miękkiego ciała przy swoim, ogarnęła go gorąca, pulsująca fala pożądania. Przez chwilę stał bez ruchu, upojony jej bliskością, zanim ułożył ją w cieniu prowizorycznego namiotu.

Napotkawszy jej niewinne spojrzenie poczuł niemal złość na uległość, z jaką powierzała swoje młode ciało jego rękom. Jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że może ją skrzywdzić: jej ufność zawstydziała go i budziła w nim bezsensowny gniew.

Gdy jedli, nie czuł smaku daktyli, które przeżuwał; przyglądał jej się płonącymi oczyma, chłonąc każdy szczegół jej gibkiej postaci. Wydawała się zupełnie nie zdawać z tego sprawy.

Kiedy znów ją podniósł, aby posadzić na wielbłąda i odruchowo objęła go ramionami, zadrżał. Jednak wsadził ją na wierzchowca i znów wyruszyli w drogę.

Tuż przed zachodem słońca Lissa wykrzyknęła, wskazując ręką: — Spójrz! Wieże Gazal!

Wtedy zobaczył je na horyzoncie — kopuły i strzeliste minarety wznoszące się nefrytowozieloną chmurą na tle błękitnego nieba. Gdyby nie dziewczyna, uznałby, że to miraż. Ze zdziwieniem spojrzął na Lisę; nie zdradzała radości z powodu powrotu do domu.

Westchnęła i zdawało mu się, że zgarbiła swe drobne ramiona. W miarę jak podjeżdżali bliżej, dostrzegali coraz więcej szczegółów. Mury otaczające wieże wyrastały wprost z piasków pustyni. Amalryk dojrzał, że głazy w wielu miejscach kruszyły się. Wieże też były w kiepskim stanie. Dachy pozapadały się, w blankach ziały wielkie dziury, wieżyczki chyliły się jak pijane. Poczuł przerażenie: czyżby, wiedziony przez wampira, jechał do miasta umarłych? Zerknąwszy na dziewczynę, pozbył się tych obaw.

Żaden demon nie mógłby przybrać tak boskiej postaci. Spojrzała nań z dziwnym, tęsknym pytaniem w oczach, potem niezdecydowanie spojrzała na pustynię i z cichym westchnieniem znów zwróciła twarz w stronę miasta, jakby z rezygnacją poddając się losowi.

Teraz, przez wyrwy w nefrytowym murze, Amalryk ujrzał poruszające się figurki. Nikt nie okrzyknął ich, gdy przez szeroki wyłom wjechali na ulice miasta. Z bliska, w świetle zachodzącego słońca opłakany stan budowli był jeszcze bardziej widoczny.

Gęsta trawa porastała ulice, stercząc między popękkanymi płytami bruku, małe place były zarośnięte jak łąki. Ulice i dziedzińce były usłane potrzaskanymi kamieniami osypującymi się z budynków. Tu i ówdzie gruz uprzątnięto i w wolnym miejscu uprawiano warzywa.

Kopuły były spękane i szare ze starości. Pozbawione drzwi portale ziały pustką. Niszcząca ręka czasu pozostawiła znaki na wszystkim. Wreszcie Amalryk dostrzegł jedną nietkniętą budowlę: błyszczącą, czerwoną, cylindryczną wieżę, wznoszącą się na południowo-wschodnim krańcu miasta. Sterczała dumnie pośród ruin. Wskazał ją ręką.

— Dlaczego ta wieża jest mniej zniszczona niż inne? — spytał.

Lissa pobladła, zadrżała i kurczowo złapała go za rękę.

— Nie mów o niej głośno! — szepnęła. — Nie patrz tam! Nawet o niej nie myśl!

Amalryk zmarszczył brwi; jej słowa w dziwny sposób zmieniły wygląd tajemniczej wieży. Teraz zdawała się przypominać łeb żmii, unoszący się wśród ruin i zniszczenia. Wysoko, z ciemnych szczelin okien, śmignął rząd czarnych plamek — skrzydlatych nietoperzy.

Młody Akwilończyk rozejrzał się czujnie wokół. Mimo wszystko nie miał żadnej pewności, że lud Gazal przyjmie go przyjaźnie. Zobaczył ludzi snujących się ulicami. Kiedy przystanęli i zaczęli mu się przyglądać, z jakiegoś powodu poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Ich twarze były łagodne, a zachowanie spokojne. Jednak nie okazywali szczególnego zainteresowania przybyłymi — jedynie słabą, przelotną ciekawość. Nawet nie próbowali podejść czy porozmawiać. Zdawało się, że widok zbrojnego jeźdźca wjeżdżającego z pustyni do miasta jest dla nich czymś najzwyklejszym w świecie, a

przecież Amalryk wiedział, że tak nie jest i obojętność, z jaką mieszkańcy Gazal przyjęli ich przybycie, wywołała w jego sercu dziwny niepokój.

Lissa przemówiła do nich, wskazując na Amalryka, którego ujęła za rękę jak dziecko:

— To jest Amalryk z Akwilonii, który ocalił mnie przed czarnymi ludźmi i przyprowadził do domu.

Tłum wydał uprzejmy, powitalny pomruk i kilka osób podeszło do nich, wyciągając ręce na powitanie. Amalryk pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział takich łagodnych, miłych twarzy: ich oczy były wielkie i spokojne, bez lęku i bez zdziwienia. A jednak nie były to oczy stada osłów; raczej oczy ludzi żyjących w świecie marzeń.

Ich spojrzenia sprawiły, że wszystko wydało mu się nierzeczywiste; z trudem rozumiał, co do niego mówią. Wszystkie jego myśli zaprzętała niezwykłość tego wszystkiego: ci spokojni, senni ludzie w swych jedwabnych tunikach i miękkich sandałach, snujący się bezcelowo wśród zrujnowanych budowli. Lotosowy raj złudzeń? Jednak obecność tej czerwonej wieży stanowiła niepokojący dysonans.

Jeden z mężczyzn, o gładkiej twarzy bez zmarszczek, lecz z siwą głową, rzekł:

— Akwilonia? Słyszeliśmy, że została napadnięta — przez króla Bragorusa z Nemedii. Jak potoczyła się wojna?

— Został odparty — rzekł krótko Amalryk, opanowując drżenie. Minęło dziewięćset lat, od kiedy Bragorus poprowadził swoich oszczepników na równiny Akwilonii.

Tamten nie wypytywał dalej; tłum rozszedł się, a Lissa pociągnęła młodzieńca za rękę. Obrócił się i zmierzył ją spojrzeniem. W tym królestwie złudzeń i snów jej miękkie,

kształtne ciało było jedyną konkretną rzeczą. Ona nie była snem, lecz rzeczywistością; jej ciało było słodkie i dotykalne jak mleko i miód.

— Chodź — powiedziała. — Pójdziemy odpocząć i pożywić się.

— A co z nimi? — opierał się. — Czy nie powiesz im o swoich przygodach?

— Nie będą uważać; może tylko przez chwilę — odrzekła. — Trochę posłuchają, a potem rozejdą się. Ledwie zdają sobie sprawę z tego, że mnie nie było. Chodź!

Amalryk wprowadził konia i wielbłąda na otoczony murem dziedziniec, gdzie rosła wysoka trawa, a z pękniętej fontanny na marmurowy bruk sączyła się woda. Tam je uwiązał i poszedł za Lissą. Wziąwszy go za rękę, poprowadziła go przez dziedziniec do łukowatych drzwi. Zapadła noc. Na niebie zapaliły się gwiazdy, ukazując poszarpane szczyty wież.

Lissa przeszła przez szereg ciemnych komnat, krocząc z pewnością siebie zdradzającą długotrwałą praktykę. Amalryk szedł za nią, kierowany jej drobną dłonią. Nie była to przyjemna przechadzka. W gęstym mroku unosiła się woń kurzu i rozkładu. Stopami często natrafiał na popękane kafle i wytarte dywany. Wolną ręką wymacywał otwory bocznych korytarzy. Wreszcie blask gwiazd wpadł przez dziurawy sufit, ukazując mroczną, długą salę, obwieszoną zbutwiałymi gobelinami. Poruszały się w słabym wietrze; ich szmer był niczym głos szepczący zaklęcia i Amalrykowi włosy zjeżyły się na głowie.

Później weszli do komnaty słabo oświetlonej blaskiem gwiazd wpadającym przez otwarte okna i Lissa puściła dłoń młodzieńca. Poszukała czegoś i po chwili rozbłysło nikłe światło.

Dobywało się ze szklanej kuli, lśniącej złocistą poświatą. Postawiła ją na marmurowym stole i gestem pokazała

Amalrykowi zasłaną jedwabiami sofę, na której spoczął. Sięgnąwszy do jakiejś ukrytej wnęki wydobyła złoty dzban z winem i inne naczynia zawierające nieznane Akwilończykowi produkty. Były tam daktyle, lecz innych owoców i warzyw pozbawionych barwy i smaku nie zdołał rozpoznać. Wino miało przyjemny smak, lecz było równie mocne co popłuczyny. Usiadłszy na marmurowym krześle naprzeciw Amalryka Lissa jadła schludnie.

— Co to za miejsce? — zapytał. — Jesteś podobna do innych mieszkańców miasta, a jednak dziwnie odmienna.

— Mówią, że jestem taka, jak nasi przodkowie — odpowiedziała Lissa. — Dawno temu przybyli na tę pustynię i wybudowali to miasto wokół wielkiej oazy, gdzie tryskało kilka źródeł. Kamienie do budowy wzięli z ruin o wiele starszego miasta, tylko Czerwona Wieża...

Zniżyła głos i nerwowo obejrzała się za siebie.

— ...tylko ta czerwona wieża stała tu wcześniej. Wtedy była pusta. Nasi przodkowie, którzy zwali się Gazalami, zamieszkiwali niegdyś południowe Koth. Słynęli w świecie jako uczeni. Jednak zamierzali wskrzesić kult Mitry, dawno porzucony przez Kothijczyków, i król wygnał ich ze swego królestwa. Przybyli na południe i było ich wielu: kapłani, uczeni, nauczyciele i mędrcy ze swymi shemickimi niewolnikami. Na pustyni wzniesli Gazal, jednak gdy tylko miasto zostało zbudowane, niewolnicy zbuntowali się i uciekły, połączyli się z dzikimi, pustynnymi plemionami. Nie traktowano ich źle, lecz pewnej nocy dowiedzieli się czegoś, co sprawiło, że uciekli jak szaleni z miasta. Mój lud zamieszkał tu i nauczył się wytwarzać żywność i wodę z tego, co było pod ręką. Ich wiedza czyniła cuda. Kiedy niewolnicy uciekli, zabrali ze sobą wszystkie wielbłądy, konie i

osły, jakie były w mieście.

Tak więc od tej pory nie mieliśmy kontaktu ze światem. W Gazal są całe komnaty pełne map, ksiązek i kronik, lecz sprzed co najmniej dziewięciuset lat, bo upłynęło dziewięć wieków, od kiedy nasi przodkowie opuścili Koth. Od tej pory żaden człowiek z zewnątrz nie postawił stopy w Gazal. A ten lud powoli wymiera. Są tak senni i zamknięci w sobie, że nie dla nas ludzkie namiętności i apetyty. Miasto popada w ruinę i nikt nie rusza palcem, aby je naprawić. A kiedy ogarnia ich... — przełknęła ślinę i zadrżała. — ...Kiedy ogarnia ich zgroza, nie potrafią ani uciekać, ani walczyć.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — szepnął, czując się tak, jakby zimny podmuch przeleciał mu po plecach. Szelest zbutwiałych draperii w ciemnych korytarzach budził w nim dziwne, mroczne obawy.

Potrząsnęła głową. Wstała, obeszła stół i położyła mu ręce na ramionach. Oczy miała wilgotne od łez, pełne przerażenia i rozpaczliwej tęsknoty, od której ścisnęło go w gardle.

Instynktownie objął ją ramieniem i poczuł, że drży.

— Obejmij mnie! — prosiła. — Boję się! Och, marzyłam o takim mężczyźnie jak ty. Ja nie jestem taka, jak mój lud; oni są jak umarli, przemierzający zapomniane ulice, ale ja żyję!

Oddycham i czuję. Czuję głód i pragnienie i łaknę życia. Nie mogę znieść tych cichych ulic, zrujnowanych sal i sennych mieszkańców Gazal, chociaż nigdy nie zaznałam niczego innego.

To dlatego uciekłam — tęskniłam za życiem...

Szlochała niepowstrzymanie w jego ramionach. Jej włosy rozsypały się, dotykając jego twarzy; ich delikatny zapach upajał go. Czuł jej pełne ciało przy swoim. Usiadła mu na kolanach i zarzuciła ramiona na szyję. Objąwszy ją mocno, przycisnął wargi

do jej ust. Oczy, usta, policzki, włosy, szyję, piersi —wszystko zasypał deszczem gorących pocałunków, aż jej łkania przeszły w ciche westchnienia. Jego namiętność nie była brutalnym pożądaniem. A uczucie, jakie w niej obudził, wezbrało niepowstrzymaną falą. Płonąca złota kula, trącona niecierpliwymi palcami, potoczyła się na podłogę i zgasła. Tylko gwiazdy zaglądały przez okno.

Leżąc w ramionach Amalryka na zasłanym jedwabiami łożu, Lissa otworzyła przed nim duszę, szeptem opowiadając o swoich marzeniach, nadziejach i pragnieniach — dziecinnych, wzruszających, wstrząsających.

— Zabiorę cię stąd — mruknął. — Jutro. Masz rację, Gazal to miasto umarłych.

Poszukamy sobie miejsca w świecie. Jest gwałtowny, surowy i okrutny, lecz lepsze to niż śmierć za życia... W mroku rozległ się przeraźliwy krzyk męki, zgrozy i rozpacz. Ten dźwięk sprawił, że Amalryk oblał się zimnym potem. Próbował wstać z sofy, lecz Lissa objęła go z całej siły.

— Nie, nie! — błagała gorączkowym szeptem. — Nie idź! Zostań!

— Przecież kogoś mordują! — wykrzyknął, szukając swego miecza. Krzyki zdawały się dobiegać z drugiej strony dziedzińca. Mieszały się z nimi dziwne odgłosy, jakby szarpania i darcia. Wrzaski przybrały na sile, wyrażając nieznośną mękę, po czym ucichły, kończąc się jednym przeciągłym jękiem.

— Słyszałem, jak tak krzyczeli ludzie łamani kołem! — wymamrotał Amalryk, trzęsąc się ze zgrozy. — Cóż to za diabelstwo?

Lissa trzęsała się jak osika w przypiływie przerażenia. Czuł, jak gwałtownie łomocze jej serce.



— To koszmar, o którym mówiłam. Potworność mieszkająca w Czerwonej Wieży.

Pojawiła się dawno temu; niektórzy mówią, że zamieszkiwała tam w zamierzchłych czasach i powróciła po wybudowaniu Gazal. Pożera ludzi. Nikt nie wie, co to jest, bo nikt kto to widział, nie przeżył, aby opowiedzieć. To bóstwo lub demon. Właśnie dlatego uciekli niewolnicy, dlatego ludzie pustyni omijają Gazal. Wielu z nas zniknęło w jego straszliwym brzuchu. W końcu wszyscy w nim skończą i to zostanie samo w pustym mieście, tak jak podobno władało ruinami, na których wzniesiono Gazal.

— A czemu twój lud został tu i daje się pożerać?

— Nie wiem — załkała. — Oni śnią...

— Hipnoza — mruknął Amalryk. — Hipnoza i apatia. Widziałem to w ich oczach. Ten demon zaczarował ich. Na Mitrę, cóż za okropność!

Lissa przycisnęła twarz do jego piersi i objęła go mocno.

— I co zrobimy? — spytał niespokojnie.

— Nic nie można zrobić — szepnęła. — Twój miecz byłby bezużyteczny. Może to zostawi nas w spokoju. Przecież złapało już dziś swoją ofiarę. Musimy czekać, jak owce na rzeź.

— Niech mnie diabli, jeśli tak uczynię! — wykrzyknął Amalryk, zrywając się na nogi.

— Nie będziemy czekać do rana. Pojedziemy jeszcze dziś. Zapakuj jedzenie i picie. Ja pójdę po konia i wielbłąda i przyprowadzę je tu, na dziedziniec. Tam się spotkamy!

Ponieważ nieznany potwór już znalazł ofiarę, Amalryk uznał, że może spokojnie zostawić dziewczynę samą na kilka minut. Jednak idąc po omacku długim korytarzem i przez ciemne komnaty, w których szeleściły draperie, czuł dreszcze przebiegające po krzyżu. Znalazł wystraszone wierzchowce na

podwórzu, tam gdzie je zostawił. Ogier parsknął i trącał go pyskiem, jakby czując czające się w mroku niebezpieczeństwo.

Akwilończyk osiodłał wierzchowce i założywszy uzdy poprowadził przez wąską bramę na ulicę. Po kilku minutach znalazł się na oblanym blaskiem gwiazd podjeździe. W tejże chwili usłyszał przeraźliwy krzyk dobiegający z komnaty, w której zostawił Lisę.

Odpowiedział na ten rozpaczliwy okrzyk wściekłym wrzaskiem. Dobywszy miecza, przebiegł przez dziedziniec i wskoczył przez okno do środka. Złocista kula płonęła znowu, rzucając drżące cienie w kątach komnaty. Na podłodze leżały porozrzucane jedwabie posłania. Marmurowe krzesło było wywrócone; w pokoju nie było nikogo.

Ogarnięty mdlącą rozpaczą Amalryk oparł się o marmurowy stół i pokój zakołysał mu się przed oczyma. Później wezbrała w nim szalona wściekłość. Czerwona Wieża! Tam bestia zanieś swoją ofiarę!

Śmignął przez pokój, wypadł na ulicę i pomknął ku wieży, jarzącej się nieziemską poświatą w blasku gwiazd. Ulica nie prowadziła wprost do wieży. Akwilończyk biegł między budynkami i przebiegał przez płace, gdzie gęste trawy falowały w podmuchach nocnego wiatru.

Ujrzał przed sobą rzędy ruin wznoszące się w sąsiedztwie wieży, gdzie budowle były bardziej zniszczone niż w innych częściach miasta. Widocznie nikt w nich nie mieszkał.

Budynki chyliły się i pękały, tworząc jedno cmentarzysko rozsypujących się kamieni, a czerwona wieża unosiła się nad nimi jak trujący czerwony kwiat na pogorzelsku.

Musiał przejść przez te ruiny, żeby dotrzeć do celu. Odważnie zagłębił się w ciemny zaułek, po omacku szukając drzwi. Znalazł

jakieś i wszedł, z mieczem gotowym do ciosu. Ujrzał widok, jaki człowiek może zobaczyć tylko w fantastycznym śnie.

Stał u wylotu długiego korytarza, oblanego słabą, nieziemską poświatą. Na czarnych ścianach wisiały gobeliny przedstawiające sceny budzące dreszcz zgrozy. W odległym końcu sali zobaczył oddalającą się postać: białą, nagą, skuloną figurkę, pochyloną i wlokącą za sobą coś, na widok czego oblał się zimnym potem. Zjawa zniknęła mu z oczu, a wraz z nią zgasła upiorna poświata. Amalryk znalazł się w głuchych ciemnościach, nie widząc i nie słysząc niczego; myślał tylko o zgarbionej, białej postaci wlokącej długim, mrocznym korytarzem bezwładne ludzkie ciało.

Gdy po omacku ruszył naprzód, odżyło w nim jakieś niewyraźne wspomnienie: przypomniał sobie ponurą opowieść, jaką słyszał przy dogasającym ognisku w trzcinowej chatce czarnoskórego zaklinacza duchów — opowieść o bóstwie zamieszkującym w czerwonej wieży pośród ruin miasta, czczonym w parnych dżunglach i nad brzegami bagnistych, mętnych rzek. Z zakamarków pamięci przypłynęło zakłęcie szeptane do ucha ze zgrozą i czcią, gdy noc wstrzymała oddech, lwy nad rzeką przestały ryczeć i nawet trzciny znieruchomiały, nie ocierając się o siebie.

Ollam-onga, szeptał gorący wiatr w mrocznym korytarzu. Ollam-onga, skrzypiał piach pod nogami Amalryka. Pot oblał mu ciało, a dłoń, w której dzierżył miecz, drżała. Skradał się przez siedzibę demona i strach ścisnął mu serce swą kościaną pięścią. Siedziba demona — te przerażające słowa tłukły mu się echem pod czaszką. Opadły go wszystkie lęki będące dziedzictwem jego rasy i te, które wywodziły się z jeszcze odleglejszej przeszłości; czuł niehumaniczny, potworny strach. Przytłoczony świadomością

własnej, ludzkiej słabości szedł jednak przez ciemność zalegającą w budynku, który był siedzibą bóstwa.

Korytarz rozświetlił się poświatą tak słabą, że ledwie zauważalną. Amalryk zrozumiał, że dotarł do wieży. Po chwili namacał łukowate wejście i potykając się, zaczął wchodzić na dziwnie wysokie stopnie. Szedł wyżej i wyżej, a w miarę jak się wspinał, wzbierała w nim ślepa furia, będąca ostatnią obroną człowieka przed wrogimi siłami Kosmosu. Zapomniał o lęku. Dygocząc z wściekłości, piął się wyżej i wyżej przez gęstą, lepłą ciemność, aż dotarł do komnaty oświetlonej upiornym, złotawym blaskiem.

Na przeciwległym końcu sali rząd niskich, szerokich stopni wiodł w górę, na coś w rodzaju podium lub platformy, na której stały przedziwne, kamienne meble. Na tym podium leżały zmasakrowane szczątki ofiary; ujrzał bezwładnie rozrzucone ręce. Marmurowe schody były zbryzgane strugami krwi, zakrzepłej jak stalaktyty tworzące się na przedwiośniu. Większość plam zaschła i szerniała, lecz niektóre były jeszcze czerwone, wilgotne i lśniące.

Przed Amalrykiem, u podnóża schodów, stała biała, naga postać. Akwilończyk zamarł i język przysechł mu do podniebienia. Istota, którą miał przed sobą, wyglądała jak nagi, biały mężczyzna, stojący z rękoma założonymi na piersi. Jednak jej oczy, podobne do lśniących kul ognia, nie były oczyma człowieka. W tych ślepiach Amalryk dostrzegł mroźne płomienie piekielnych otchłani i płas okropnych cieni.

Nagle, na jego oczach, stwór zaczął zmieniać kształt i znikać. Straszliwym wysiłkiem woli Amalryk złamał więzy milczenia i wymówił sekretne, straszne zaklęcie. Gdy okropne słowa przerwały ciszę biały gigant znieruchomiał — i zastygł. Znów był

widoczny na tle oblanych złocistym blaskiem ścian.

— Teraz walcz, przeklęty! — wrzasnął histerycznie Amalryk.  
— Przykułem cię do twojej ludzkiej postaci! Czarny czarownik powiedział mi prawdę! On nauczył mnie tego zaklęcia!

Walcz, Ollam-onga! Dopóki nie złamiesz zaklęcia, pożerając moje serce, jesteś takim samym człowiekiem jak ja!

Rycząc jak spadający z gór wicher, stwór runął na Akwilończyka. Ten uskoczył, unikając wyciągniętych rąk, których uścisk miał siłę stalowych kleszczy. Jeden szponiasty palec zahaczył o jego tunikę i zdarł ją z niego jak zbutwiały łań. Jednak w tejże chwili Amalryk, doprowadzony do szaleństwa utratą ukochanej, z nadludzką szybkością obrócił się i wbił miecz w plecy potwora, tak że ostrze przeszło na wylot i wyłoniło się z szerokiej piersi wroga.

Ohydny ryk agonii wstrząsnął wieżą. Stwór odwrócił się i runął na Akwilończyka, lecz ten uskoczył i wbiegł na marmurowe stopnie wiodące na podium. Tam obrócił się i schwyciwszy kamienny fotel, cisnął nim w nadchodzącego przeciwnika. Ciężki pocisk trafił prosto w twarz, strącając demona ze schodów. Jednak potwór podniósł się i znów ruszył w górę — broczący krwią, straszny. Zdesperowany Amalryk podniósł nefrytową ławę, której ciężar wyrwał głuchy jęk z jego piersi, i rzucił.

Uderzony potężnym pociskiem Ollam-onga stoczył się ze schodów i legł przywalony marmurowym gruzem, zbryzganym jego krwią. Ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem podźwignął się na rękach, sypiąc skry z oczu. Odchyliwszy głowę w tył, wydał okropny krzyk.

Amalryk zadrżał i cofnął się, słysząc ten niewypowiedziane przerażający zew, któremu zawtórował inny krzyk. Gdzieś w

powietrzu nad wieżą chóralny, ohydny wrzask odpowiedział słabym echem temu wołaniu. Później zmiażdżona, biała postać znieruchomiła wśród zbroczonych krwią odłamków marmuru. Amalryk pojął, iż jeden z bogów Kush przestał istnieć. Wraz z tą myślą ogarnęła go fala panicznego przerażenia.

Zdjęty grozą, zbiegł jak szalony z podium, wzdrygając się na widok tego, co leżało u podnóża. Noc zdawała się drzeć ze strachu, oburzona bluźnierstwem. Rozsądek i radość z odniesionego zwycięstwa, opuściły go pod naporem okropnego lęku.

Wybiegł na podest schodów i stanął jak wryty. Z ciemności wyłoniła się Lissa, wyciągając doń białe ramiona, z oczyma pełnymi przerażenia.

— Amalryku! — krzyknęła.

Zamknął ją w ramionach.

— Zobaczyłam to — szepnęła — jak wlokło ludzkie zwłoki korytarzem. Wrzasnęłam i uciekłam, a kiedy wróciłam, usłyszałam twój krzyk i odgadłam, że poszedłeś szukać mnie w Czerwonej Wieży...

— I przyszłaś tu, aby podzielić mój los! — wykrztusił. Widząc, że Lissa, drżąc z emocji, próbuje zajrzeć mu przez ramię do komnaty, zakrył jej oczy ręką i kazał się odwrócić. Lepiej, żeby nie widziała tego, co leżało na zalanej krwią posadzce. Podniósł swoją tunikę, lecz nie odważył się zabrać miecza. Gdy na pół sprowadzał, a na pół znosił Lissę po schodach, zerknąwszy za siebie stwierdził, że wśród marmurowych odłamków nie ma już białej, nagiej postaci. Zakęcie wiążące Ollam–ongę w ludzkim ciele miało moc za jego życia, ale nie po śmierci. Przez moment ciemność zasnuła oczy Amalryka; odwróciwszy się, w gorączkowym pośpiechu pobiegł z Lissą po schodach i przez

ciemne ruiny.

Nie zwolnił kroku, dopóki nie dotarli do ulicy, gdzie czekały ich wierzchowce. Szybko wsadził dziewczynę na siodło i sam wskoczył na ogiera. Prowadząc wielbłąda za uzdę, skierował się prosto do wyłomu w murze. Po kilku minutach odetchnął pełną piersią. Świeże powietrze pustyni ostudziło mu rozpaloną głowę: było wolne od woni starości i rozkładu.

Przy łąku siodła miał przywiązany mały wór z wodą. Nie mieli żywności, a jego miecz pozostał w komnacie Czerwonej Wieży. Bez jedzenia i bez broni mieli stawić czoła niebezpieczeństwu pustyni; ale to i tak wydawało się lepsze od okropności miasta, które zostawili za sobą.

Jechali w milczeniu. Amalryk kierował się na południe: gdzieś w tym kierunku był wodopój. Tuż przed świtem, gdy wjechali na szczyt kolejnej wydmy, obejrzał się i popatrzył na Gazal, nierzeczywiste w różowym świetle poranka. Nagle zamarł, a Lissa krzyknęła. Z wyłomu w murze wyjechało siedmiu jeźdźców. Ich rumaki były czarne, a jeźdźcy od stóp do głów spowici w czerń. W Gazal nie było koni. Przerażony Amalryk spał wierzchowca ostrogami i pognali jak wichur przed siebie.

Wstało słońce: najpierw czerwone, później złote, aż zmieniło się w kulę białych płomieni.

Zbiegowie gnali przed siebie, dręczeni żarem i zmęczeniem, oślepieni blaskiem. Od czasu do czasu zwilżali wargi wodą. A za nimi, trop w trop, podążało siedem czarnych punktów.

Zaczął zapadać zmierzch, słońce poczerwieniało i opadło ku krawędzi horyzontu. Zimna dłoń ścisnęła serce Amalryka. Pościg się zbliżał.

W miarę jak nadciągała noc, zbliżali się też czarni jeźdźcy. Amalryk spojrzął na Lisę i jęknął. Jego koń potknął się i upadł.

Słońce skryło się za widnokrzem; cień w kształcie nietoperza zasłonił księżyc. W zupełnej ciemności krwawo płonęły gwiazdy i Akwilończyk usłyszał za sobą narastający poszum, jakby nadciągającej burzy. W mroku majaczył czarniejszy, pędzący obłok, rozświetlany iskrami upiornego światła.

— Jedź, dziewczyno! — wykrzyknął z rozpaczą. — Dalej, ratuj się! Oni chcą tylko mnie!

W odpowiedzi zsunęła się z wielbłąda i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Umrę razem z tobą!

Siedem czarnych postaci gnało na nich jak wiatr; ich oczy gorzały pod kapturami jak ognie na bagnach, a trupie szczęki zdawały się kłapać złowieszczo.

Nagle zaszło coś nieoczekiwanego: jakiś jeździec przemknął obok Amalryka i z głuchym łoskotem wpadł na nadjeżdżających jeźdźców. W ciemności Akwilończyk dostrzegł ogromną sylwetkę, usłyszał przeraźliwe rzenie koni i tubalny głos wołający coś w jakimś nieznanym języku. Gdzieś opodal chór głosów odpowiedział na to wołanie.

Działo się coś dziwnego. Rozległ się tętent końskich kopyt i łoskot zadawanych ciosów; ten sam stentorowy głos kłął soczyście. Nagle księżyc wyłonił się zza chmur i oświetlił niezwykłą scenę.

Człowiek na ogromnym wierzchowcu rąbał, siekł i kłuł powietrze. Z przeciwnej strony nadjeżdżała chmara jeźdźców; w blasku księżycy migotały uniesione szable. W dali, za szczytem wydmy znikało siedem czarnych postaci w płaszczach rozwianych jak skrzydła nietoperzy.

Nadjeżdżający zeskoczyli z koni i całą cizbą rzucili się na Amalryka, obalając go na piasek. Żyłaste ręce przycisnęły go do



ziemi; ujrzał nad sobą brązowe, groźne twarze. Lissa wrzasnęła.

Człowiek na wielkim koniu wjechał między napastników, roztrącając ich na prawo i lewo.

Przechylił się w siodle i spojrzał Amalrykowi w twarz.

— Do diabła! — ryknął. — Amalryk z Akwilonii!

— Conan! — wykrzyknął zdumiony młodzieniec. — Conanie! Ty żyjesz?

— Jestem bardziej żywy, niż ty zdajesz się być — odparł tamten. — Na Croma, człowieku, wyglądasz jakby wszystkie demony pustyni deptały ci po piętach. Cóż to za stwory cię ścigały? Objeżdżałem obóz, który rozbili moi ludzie, i upewniałem się, że wróg nie czai się w pobliżu, gdy nagle księżyc zgasł jak zdmuchnięta świeca i usłyszałem tętent kopyt.

Pojechałem w kierunku, z którego dochodził ten dźwięk i — na Machę! — wpadłem na nich, zanim zrozumiałem, co się dzieje. Złapałem za miecz i zacząłem siec... Na Croma! Ich ślepia jarzyły się w ciemnościach jak węgle! Wiem, że moje ostrze dosięgło niejednego; lecz gdy wzeszedł księżyc, zniknęli jakby rozwiali się w powietrzu. Ludzie to byli czy demony?

— Bestie wysłane z Piekieł — zadrżał Amalryk. — Nie pytaj: o pewnych sprawach lepiej nie mówić głośno.

Conan nie naciskał, nie wyglądał też na zdumionego. Świat jego wierzeń obejmował wampiry, upiory, gobliny i karły.

— Ty potrafisz znaleźć kobietę nawet na pustyni — rzekł, zerknąwszy na Lissę.

Dziewczyna przywarła do Amalryka i obejmowała go mocno, spoglądając na otaczające ich, groźne postacie.

— Wina! — ryknął Conan. — Dajcie no bukłak! Migiem! Złapał podaną mu manierkę i wepchnął ją w dłoń Akwilończyka.

— Daj dziewczynie i sam też się napij — poradził. — Potem

wsadzimy was na konie i pojedziemy do obozu. Potrzebujecie jedzenia, wypoczynku i snu. Zadbam o to.

Przyprowadzono wierzgającego i tańczącego wierzchowca w bogato zdobionej uprzęży i życzliwe ręce pomogły Amalrykowi usiąść w siodle. Podano mu dziewczynę i wraz z gromadą brązowoskórych wojowników odzianych w malownicze łąchmany pojechali na południe. Niektórzy z nowych towarzyszy nosili maski zasłaniające całą twarz oprócz oczu.

— Kto to jest? — szepnęła Lissa, obejmując rękoma szyję ukochanego. Posadził ją przed sobą na końskim grzbiecie.

— To Conan Cymeryjczyk — mruknął Amalryk. — Ten, z którym wędrowałem przez pustynię po klęsce armii najemników. A to są ci, którzy zastrzelili mu konia. Zostawiłem go leżącego na piasku — wyglądał na martwego. A teraz spotykamy go, jak dowodzi nimi i najwyraźniej cieszy się ich szacunkiem.

— To straszny człowiek — szepnęła.

Uśmiechnął się.

— Tak sądzisz, bo jeszcze nigdy nie widziałaś białego barbarzyńcy. On jest wędrowcem, rabusiem i zabójcą, ale ma swój własny kodeks honorowy. Nie sądzę, żebyśmy musieli się go obawiać.

W głębi duszy Amalryk nie był tego taki pewien. Właściwie można powiedzieć, że zerwał więzy przyjaźni z Conanem, odjeżdżając i zostawiając go nieprzytomnego w rękach wrogów.

Jednak nie wiedział, że barbarzyńca żyje. Amalrykiem miotały wątpliwości. Bezgranicznie lojalny względem swoich towarzyszy, dziki Cymeryjczyk nie widział powodu, aby nie zabierać wszystkim pozostałym tego, czego potrzebował. Żył ze swego miecza. Amalryk z trudem powstrzymał dreszcz na myśl o tym,

co mogło się zdarzyć, gdyby Conan zapragnął Lissy.

Nieco później, posiliwszy się i ugasiwszy pragnienie w obozowisku, Amalryk usiadł przy ogniu płonącym przed namiotem Cymeryjczyka; Lissa, okryta jedwabnym płaszczem, drzemała z głową na kolanach kochanka. Conan zasiadł naprzeciw; płomienie ogniska migotały na jego twarzy, na przemian oświetlając ją i kryjąc w mroku.

— Co to za ludzie? — spytał młody Akwilończyk.

— To jeźdźcy Tombalku — odparł Cymeryjczyk.

— Tombalku! — wykrzyknął młodzieniec. — A więc to nie mit!

— Oczywiście, że nie! — przytaknął Conan. — Kiedy ten przeklęty koń padł pode mną, uderzyłem się w głowę i straciłem przytomność, a kiedy ją odzyskałem, te łotry związały mi już ręce i nogi. To mnie zezłościło, więc zerwałem kilka sznurów, którymi mnie skrępowali; jednak wiązali mnie nowymi szybciej, niż nadażalem je zrywać — nawet na chwilę nie zdołałem oswobodzić choć jednej ręki. Mimo to uznali, że jestem niezwykle silny...

Amalryk bez słowa gapił się na Cymeryjczyka. Ten był równie wysoki i potężnie zbudowany jak Tilutan, ale bez grama zbytecznego tłuszczu. Mógłby skrócić kark Ghanatanina gołymi rękami.

— Postanowili zanieść mnie do swego miasta, zamiast zabijać od razu — mówił dalej Conan. — Uważali, że taki mężczyzna jak ja będzie długo umierał na torturach i dostarczy im wspaniałej rozrywki. Tak więc przywiązali mnie do konia bez siodła i pojechaliśmy do Tombalku.

Tombalku rządzą dwaj królowie. Zaprowadzili mnie przed nich. Chudy, brązowoskóry łotr zwał się Zehbeh, a obok niego na tronie ze słoniowych kłów drzemał jakiś tłusty, wielki Murzyn.

Zehbeh spytał brązowoskórego kapłana, Daurę, co ma ze mną uczynić, a Daura rzucił kostkami zrobionymi z owczych kości i powiedział, że trzeba mnie żywcem obedrzeć ze skóry na ołtarzu Jhila. Tłum wydał radosny okrzyk i to obudziło czarnego króla. Splunąłem Daurze w twarz i przekląłem go do siódmego pokolenia, razem z królami.

Powiedziałem im, że jeśli mają mnie obedrzeć ze skóry, to — na Croma! — żądam, żeby dali mi się dobrze napić wina, nim zaczną, i nazwałem ich złodziejami, tchórzami oraz synami dziwek.

Słyszając to, czarny król otworzył oko, usiadł i spojrzał na mnie. Później wstał i wrzasnął: „Amra!”. Wtedy go poznałem. To był Sakumbe z plemienia Suba, gruby awanturnik, którego dobrze znałem z czasów, gdy byłem korsarzem na Czarnym Wybrzeżu. Handlował kością słoniową, złotym piaskiem i potrafiłby okpić nawet samego diabła. No, kiedy mnie poznał, ten cuchnący stary łotr zszedł z tronu i uściskał mnie z radości, po czym rozwiązał mnie własnymi rękami. Później oznajmił, że ja jestem Amra, Lew i jako jego przyjacielowi nie wolno mi robić żadnej krzywdy.

Potem zaczęła się długa dyskusja, ponieważ Zehbeh i Daura chcieli mojej głowy. Jednak Sakumbe zawołał czarodzieja, Askię i ten przybiegł — cały w piórach, dzwoneczkach i skórach węży — typowy szaman, diabli pomiot z Czarnego Wybrzeża.

Askia potańczył, rzucił kilka zaklęć i oznajmił, że Sakumbe jest wybrańcem Czarnego Ajujo i ma być, jak każe. Wszyscy czarni w Tombalku wzniesli głośny okrzyk i Zehbeh wziął ogon pod siebie.

Bowiem to czarni stanowią siłę w Tombalku. Kilka wieków temu shemickie plemię Aphaków ruszyło na pustynię i założyło królestwo Tombalku. Zmieszali się z czarnymi mieszkańcami pustyni i powstał brązowoskóry lud o prostych włosach, bardziej

podobny do białych niż czarnych ludzi. Oni są rządzącą kastą w Tombalku. Jednak są w mniejszości i obok ich króla na tronie zawsze zasiada drugi, czarnoskóry.

Aphakowie podbili nomadów zamieszkujących południowo-zachodnią pustynię oraz murzyńskie plemiona ze stepów leżących na południu. Na przykład większość z tych jeźdźców należy do plemienia Tibu i ma żyłach krew zarówno murzyńską, jak i stygijską. Inni należą do szczepów Bigharma, Mindanga lub Borni.

Tak więc Sakumbe, dzięki Askii, jest prawdziwym władcą Tombalku. Aphakowie czczą Jhila, ale czarni oddają cześć Czarnemu Ajujowi i jego krewniakom. Askia przybył do Tombalku z Sakumbe i wskrzesił kult Ajuja, podupadły za przyczyną kapłanów Aphaków.

Sam czci również jakichś innych bogów, nie wiedząc jak okropnych. Askia rzucił czary, które okazały się silniejsze od zaklęć Aphaków i czarni obwołali go prorokiem przysłanym przez bogów. Władza Sakumbe i Askii wzrosła, natomiast znaczenie Zehbeha i Daury zmalało.

Ponieważ jestem przyjacielem Sakumbe i Askia ujął się za mnie, czarni zgotowali mi owacyjne przyjęcie. Sakumbe kazał otruć Kordofo, generała dowodzącego jazdą, i dał mi jego stanowisko, co uradowało czarnych i przygnębiło Aphaków.

Spodoba ci się Tombalku! Jest jakby stworzone dla takich jak my! Pół tuzina wpływowych stronnictw nieustannie knuje przeciw sobie intrygi. W tawernach i na ulicach wciąż zdarzają się bójki, skrytobójstwa, pobicia i egzekucje. Są tam kobiety, wino i złoto — wszystko to, czego potrzeba najemnikowi! A ja cieszę się władzą i królewską łaską! Na Croma, Amalryku, nie mogłeś zjawić się w sposobniejszej chwili! No, o co chodzi? Nie

wyglądasz na tak uradowanego, jak niegdyś w takich chwilach.

— Proszę, wybacz mi, Conanie — rzekł Amalryk. — To nie brak zainteresowania, lecz ogarnęła mnie senność i zmęczenie.

Jednak Akwilończyk nie myślał o złocie, kobietach i intrygach, lecz o dziewczynie śpiącej w jego ramionach. Nie cieszyła go myśl o wciąganiu jej w taki wir spisków i przelewu krwi, jaki opisywał Conan. Amalryk zmienił się, choć sam niezbyt zdawał sobie z tego sprawę.

Ostrożnie dobierając słowa, rzekł:

— Dopiero co uratowałeś nam życie, za co zawsze będę ci wdzięczny. Jednak nie mam prawa przyjąć twojej szczodrej propozycji, bo odjechałem, zostawiając cię na pastwę Aphaków. To prawda, że myślałem, iż nie żyjesz, ale...

Conan odchylił głowę w tył i ryknął grzmiącym, szczerym śmiechem. Później klepnął młodzieńca w plecy, niemal rozciągając go na piasku.

— Zapomnij o tym! Właściwie powinienem był nie żyć, a gdybyś próbował mnie ratować, nadziałiby cię na włócznie jak żabę. Jedź z nami do Tombalku — przydasz mi się!

Dowodziłeś oddziałem jazdy u Zapayo, prawda?

— Tak, tak było.

— No właśnie: potrzebuję adiutanta, który szkoliłby moich chłopców. Walczą jak dzikie bestie, lecz bez ładu i składu, każdy z osobna. Razem możemy zrobić z nich prawdziwych żołnierzy. Więcej wina! — ryknął.

Trzy dni po tym, jak Amalryk spotkał się z Conanem, jeźdźcy Tombalku dotarli do miasta.

Akwiloriczyk jechał na czele kolumny obok Cymeryjczyka, a tuż za nim Lissa dosiadająca klaczy. Za nimi podążała reszta oddziału w rozciągniętym dwuszeregu. Luźne, białe burnusy łopotały na wietrze, brzęczały strzemiona i skrzypiały skórzane siodła, w zachodzącym słońcu lśniły czerwono groty lanc. Większość jeźdźców należała do plemienia Tibu, lecz byli też żołnierze zwerbowani z mniejszych pustynnych szczepów. Wszyscy mówili nie tylko swoimi językami, ale również uproszczonym dialektem hemickim, który był w powszechnym użyciu wśród ciemnoskórych ludów od Kush po Zembabwei i od Stygii po na wpół mityczne królestwo Atlajów, daleko na południu. Wiele wieków wcześniej shemiccy kupcy przemierzali ten rozległy obszar, przynosząc oprócz swych towarów również swój język. Amalryk na tyle znał shemicki, że mógł bez trudu porozumieć się z tymi dzikimi wojownikami z jałowych ziem.

Gdy słońce jak ogromna kropla krwi zapadło za horyzont, zobaczyli przed sobą błyski światła. Grunt zaczął wolno, łagodnym zboczem opadać w dół, a po chwili znów stał się równy. Na równinie znajdowało się duże miasto. Wszystkie budynki były niskie, zbudowane z rdzawoczerwonych, glinianych cegieł, tak że Amalrykowi w pierwszej chwili wydało się, iż jest ono naturalnym wypiętrzaniem ziemi i skał — raczej płataniną urwisk, parowów i głazów niż miastem.

U stóp zbocza wznosił się solidny, ceglany mur, zza którego wystawały szczytowe części domów. Na otwartej przestrzeni w centrum miasta płonęły światła i dobiegał stamtąd dudniący dźwięk, przytłumiony odległością.

— Tombalku — rzekł krótko Conan, po czym przechylił głowę w bok, nasłuchując. — Na Croma! Coś się szykuje. Lepiej pospieszmy się.

Spiął konia ostrogami. Kolumna jeźdźców ze szczękiem ruszyła za nim.

Tombalku stało na niskim, klinowatym wzniesieniu, pośród rozległych palmowych gajów i zarośli mimozy. Pagórek wznosił się na zakręcie rzeki, leniwie toczącej swe wody, w których odbijał się ciemniejszy granat wieczornego nieba. Za rzeką rozpościerała się bezkresna sawanna.

— Co to za rzeka? — spytał Akwilończyk.

— Jeluba — odparł Conan. — Płynie stąd na wschód. Niektórzy mówią, że przepływa przez Darfar i Keshan, po czym wpada do Styksu, inni, że skręca na południe i zlewa się z Zarkhebą. Może pewnego dnia podążę w dół rzeki, aby to sprawdzić.

Otwarto potężne, drewniane wrota, przepuszczając jeźdźców. Za bramą, po wąskich, krętych uliczkach krążyli ludzie odziani w białe szaty. Za plecami trójki białych czarni jeźdźcy głośno witali znajomych i przechwalali się swymi czynami.

Obróciwszy się w siodle, Conan rzucił rozkaz brązowoskóremu wojownikowi, który odprowadził oddział do koszar. Cymeryjczyk wraz z towarzyszącymi mu Amalrykiem i Lissą wolno pojechali na główny plac.

Tombalku budziło się z popołudniowej drzemki. Odziane na biało, ciemnoskóre postacie wyroiły się na piaszczyste ulice. Amalryka uderzył nieoczekiwany ogrom tej pustynnej metropolii



oraz niezwykle konglomerat cywilizacji i barbarzyństwa widoczny na każdym kroku. Na przestronnych dziedzińcach świątyń, sąsiadując ze sobą o kilka metrów, pomalowani zaklinacze w pióropuszech płasali i potrząsali swoimi talizmanami, kapłani odmawiali modły, a smagli mędracy spierali się o sens życia i istnienie bogów.

Gdy trójka jeźdźców zbliżała się do placu, ogarnął ich jeszcze liczniejszy tłum, spieszący w tym samym kierunku. Gdy tłuszcza zatarasowała ulicę, Conan, gromko pokrzykując, utorował im drogę.

Zsiedli z koni na skraju placu i barbarzyńca rzucił wodze jakiegoś człowiekowi, którego wybrał z tłumu. Później zaczął przeciskać się do tronu stojącego na przeciwległym końcu rynku. Lissa kurczowo złapała za ramię Amalryka, który ruszył w ślady Conana.

Wokół placu ustawiono rzędy czarnych oszczepników, tworząc długi prostokąt wolnej przestrzeni. Blask płonących w rogach placu ognisk oświetlał wielkie, owalne tarcze ze skór słoni, długie groty oszczepów, pióropusze ze strusich piór i końskiego włosa oraz lśniące białka oczu i zęby czarnych wojowników.

Na środku placu stał wbity w ziemię pał, do którego był przywiązany jakiś człowiek. Mężczyzna miał na sobie jedynie przepaskę biodrową, był muskularny i brązowoskóry. Szamotał się w więzach, podczas gdy przed nim płasała jakaś chuda, niezwykle postać.

Tańczący był czarny, lecz większość jego skóry pokrywały malowidła. Wygoloną głowę miał wymalowaną tak, że przypominała trupa czaszkę. Wymachiwał zrobionymi z piór i małych futer insygniami swego urzędu, podrygując przed

małym trójnogiem, pod którym płonął ogień i z którego unosiła się w górę spirala kolorowego dymu.

Za palem, po drugiej stronie pustego placu, ustawiono dwa trony z emaliowanej i zdobionej cegły, ozdobione różnobarwnymi kawałkami szkła, o poręczach zrobionych z kłów słoni. Te fotele stały na niskim podium, na które wiodły szerokie stopnie. Na tronie ustawionym po prawej zasiadała jakaś ogromna, gruba, czarna postać. Ten mężczyzna nosił długi, biały burnus i przedziwne nakrycie głowy, składające się między innymi z czaszki lwa i kilku strusich piór.

Drugi tron był pusty, lecz człowiek, który miał na nim zasiadać stał obok pierwszego. Był chudy, orlonosy i brązowoskóry, ubrany w taką samą białą szatę, lecz na głowie zamiast przybrania z kości i piór nosił wysadzany klejnotami turban. Potrząsał pięścią przed nosem grubasa i wrzeszczał, podczas gdy stojący wokół strażnicy niespokojnie przyglądali się kłótni swoich władców. Gdy idący za Conanem Amalryk podszedł bliżej, usłyszał, co mówi chudy król.

— Kłamiesz! To sam Askia przysłał ten gadzi dar, jak go nazywasz, aby pod tym pretekstem zamordować Daure! Jeżeli nie odwołasz tego przedstawienia, będzie wojna! Zabijemy cię, ty czarny dzikusie, i to powoli! — Głos chudzielca przeszedł we wrzask: — Zrób, co mówię! Powstrzymaj Askie albo, na Jhila Bezlitosnego...

Chwycił za sejmitar; strażnicy wokół tronu nastawili włócznie. Czarny olbrzym tylko roześmiał się tamtemu w twarz. Conan przepchnął się przez szeregi oszczepników, jednym susem wskoczył na podium i stanął między dwoma monarchami.

— Lepiej weź rękę od tego miecza, Zehbehu — warknął i zwrócił się do drugiego. — Co tu się dzieje, Sakumbe?

Czarny król zachichotał.

— Daura chciał się mnie pozbyć, nasyłając na mnie jadowite węże. Tfu! Węże w moim łożu, zmije w garderobie, mamby spadające z belek powały. Trzy z moich kobiet umarły od ukąszeń, nie licząc kilku niewolników i sług. Askia odprawił czary i dowiedział się, że to Daura jest winowajcą, a moi ludzie złapali go na gorącym uczynku, jak rzucał zaklęcia.

Spójrz tylko, generale: Askia właśnie zabił kozła. Za chwilę przybędą jego demony. Powiódłszy wzrokiem za spojrzeniem Conana, Amalryk popatrzył na plac i pał z przywiązaniem więźniem, przed którym oddawał ducha kozioł. Askia zbliżał się do kulminacyjnego punktu swych czarów. Jego głos przeszedł we wrzask; skakał, wywijał koziołki i grzechotał kościanymi grzechotkami. Dym unoszący się z trójnoga gęstniał, wił się i jarzył swoim własnym blaskiem.

Wokół zapadła noc. Gwiazdy, które rozbłysły jasno w czystym pustynnym powietrzu, przygasły i poczerwieniały; twarz wschodzącego księżyca zdawał się zasnuwać szkarłatny woal. Ogniska przygasły i dymiły gęstym dymem. W górze rozległ się niesamowity, nieludzki śmiech. Dał się słyszeć łopot jakby skrzydeł ogromnych nietoperzy.

Askia stał sztywno wyprostowany, z wyciągniętymi ramionami, odchyliwszy w tył przystrojoną pióropuszem głowę, recytując długą litanie dziwnych imion. Amalrykowi włosy stanęły dęba na głowie, gdyż wśród niezrozumiałych sylab trzykrotnie usłyszał imię „Ollamonga”.

Wtem Daura wrzasnął tak głośno, że zagłuszył Askie. W niepewnym blasku ognisk i upiornej poświacie płynącej z trójnoga Amalryk nie był pewien, co widzi. Wyglądało na to, że coś dzieje się z Daurą, który wił się i wrzeszczał.

Wokół słupa, do którego był przywiązany czarodziej, poszerzała się czerwona kałuża krwi. Na całym jego ciele pojawiły się okropne rany, choć nie widać było niczego, co mogłoby mu je zadać. Jego krzyki przeszły w jęki, po czym ucichły, chociaż ciało wciąż poruszało się w pętach, jakby szarpane jakąś niewidzialną siłą. W czarnej bryle tego, co przed chwilą było Daurą, zabłysło coś białego; później znowu i znowu. Amalryk z dreszczem zgrozy zdał sobie sprawę, że te białe plamy to kości...

Księżyc odzyskał swój normalny, srebrny blask, gwiazdy znów lśniły jak klejnoty, a ogniska na placu buchnęły płomieniem. Ich światło ukazało szkielet, wciąż przywiązany do pala i stojący w kałuży krwi. Król Sakumbe przemówił wysokim, melodyjnym głosem:

— Tyle co do tego zdrajcy, Daury. A jeśli idzie o Zehbeha... Na nos Ajuja, gdzie ten łotr?

Gdy oczy wszystkich były zwrócone na dramat rozgrywający się przy palu, Zehbeh zniknął.

— Conanie — rzekł Sakumbe. — Lepiej zbierz oddziały, bo nie sądzę, aby mój brat-król pozwolił nam spędzić tę noc w spokoju.

Cymeryjczyk wypchnął do przodu Amalryka.

— Królu Sakumbe, to jest Amalryk z Akwilonii, mój niegdysiejszy towarzysz broni.

Potrzebuję go jako adiutanta. Amalryku, ty i twoja dziewczyna lepiej zostańcie z królem, bo nie znacie miasta i gdybyście próbowali wziąć udział w walce, niechybnie zostalibyście zabici.

— Miło mi spotkać przyjaciela potężnego Amry — rzekł Sakumbe. — Wciągnij go na listę żołdu, Conanie, i zwołaj wojowników... Na Derketo, ten łobuz nie tracił czasu! Spójrz tam!

W odległym końcu placu wybuchło zamieszanie. Conan

jednym susem zeskoczył z podium i zaczął wykrzykiwać rozkazy do dowódców czarnych regimentów. Posłańcy rozbiegli się na wszystkie strony. Gdzieś rozległ się głuchy, ponury łomot bębnow, uderzanych przez czarne dłonie.

Po przeciwnej stronie placu pojawił się oddział ubranych na biało jeźdźców, dźgając włóczniami i siekąc sejmitarami zgromadzony tłum. Szeregi czarnych oszczepników pękły pod ich uderzeniem i poszły w rozsypkę. Wojownicy jeden po drugim padali pod ciosami.

Straż królewska zwarła szyki wokół podium, na którym stały dwa trony — jeden pusty, a drugi zajęty przez ogromnego Sakumbe.

Drżąc ze strachu, Lissa przytuliła się do Amalryka.

— Kto walczy z kim? — szepnęła.

— To zapewne Aphakowie Zehbeha — odrzekł Amalryk. — Próbują zabić czarnego króla, żeby uczynić Zehbeha jedynym władcą.

— Czy przedrą się do tronu? — zapytała, wskazując na skłębiony tłum kotłujący się na placu.

Amalryk wzruszył ramionami i spojrzał na Sakumbe. Król rozsiadł się na tronie, nie zdradzając szczególnego zainteresowania. Podniósł do ust złoty puchar i wypił łyk wina.

Potem podał podobny puchar Akwilończykowi.

— Musisz być spragniony, biały człowieku, skoro nawet nie miałeś czasu, by się umyć i odpocząć po długiej jeździe — rzekł. — Napij się!

Amalryk podzielił się napojem z Lissą. Na placu rzenie i kwik koni, szcęk stali oraz wrzaski rannych zlewały się w jeden, ogłuszający zgiełk. Podnosząc głos, żeby być słyszany, Amalryk powiedział:

— Wasza Wysokość musi być bardzo odważny, okazując taką obojętność, albo bardzo...

Ugryzł się w język...

— Albo bardzo głupi? — zaśmiał się król. — Nie, jestem tylko realistą. Jestem o wiele za gruby, żeby uciec przed atakującą piechotą, a tym bardziej przed jeźdźcami. Ponadto, gdybym uciekł, moi ludzie krzyknęliby, że wszystko stracone i zaczęliby umykać, pozwalając, aby złapali mnie wrogowie. Tymczasem zostając tu, mam szansę, bowiem... O, właśnie są!

Na plac wpadły nowe oddziały czarnych, przyłączając się do walki. Jazda Aphaków zaczęła ustępować pola. Dźgane włóczniami konie stawały dęba i wywracały się, przygniatając swych jeźdźców; czarne, muskularne ręce ściągały napastników z sodeł lub przebijały ich oszczepami. Wkrótce rozległ się chrapliwy głos trąbki: pozostali przy życiu Aphakowie zawrócili konie i galopem umknęli z pola bitwy. Zgiełk umilkł.

Zapadła cisza przerywana tylko jękami rannych, którymi zasłany był plac. Z bocznych uliczek wyszły kobiety, aby szukać swoich mężczyzn wśród leżących, opatrzeć ich, jeśli żyli lub opłakiwać, jeśli polegli.

Sakumbe siedział spokojnie na tronie, pijąc wino, aż przez plac nadszedł Conan, trzymając w ręku zakrwawiony miecz i prowadząc gromadkę czarnych oficerów.

— Zehbeh z większością swoich Aphaków zdołał ująć — rzekł. — Musiałem rozbić łby paru twoim chłopakom, żeby powstrzymać ich przed zmasakrowaniem aphackich kobiet i dzieci. Możemy ich potrzebować jako zakładników.

— Dobrze — powiedział Sakumbe. — Napij się.

— Dobra myśl — rzekł Conan i wychylił puchar. Później spojrzał na pusty tron obok Sakumbe. Czarny król pochwycił jego

spojrzenie i wyszczerzył zęby.

— No i jak? — zapytał Conan. — Dostanę go? Sakumbe zachichotał.

— Potrafisz kuć żelazo póki gorące! Nic się nie zmieniłeś. Później król powiedział coś w języku, którego Amalryk nie znał. Conan odpowiedział mu mrukliwie i nastąpiła dłuższa wymiana zdań. Askia wspiął się na podium i przyłączył do rozmowy. Mówił niechętnie, obrzucając podejrzliwymi spojrzeniami Conana i Amalryka.

W końcu Sakumbe uspokoił czarownika jednym ostrym słowem i dźwignął opasłe cielsko z fotela.

— Ludu Tombalku! — krzyknął.

Oczy wszystkich na placu zwróciły się ku podium. Sakumbe mówił dalej:

— Ponieważ ten nędzny zdrajca Zehbeh uciekł z miasta, jeden z dwóch tronów Tombalku stoi pusty. Wszyscy wiecie, jakim dzielnym wojownikiem jest Conan. Czy chcecie go na drugiego króla?

Po chwili milczenia rozległy się okrzyki aprobaty. Amalryk zauważył, że krzyczący wyglądali na jeźdźców z plemienia Tibu, którymi Conan dowodził osobiście. Niebawem okrzyki zmieniły się w ryk radości. Sakumbe wepchnął Cymeryjczyka w opustoszały fotel.

Tłum zawył. Na placu, uprzątniętym już z zabitych i rannych, ponownie zapalono ogniska. Znów zadudniły bębny, tym razem nie zwołując na wojnę, lecz na całonocną ucztę. Kilka godzin później otępiały od wina i zmęczony Amalryk włókł się z Lissą ulicami Tombalku, prowadzony przez Conana do skromnego domu, jaki barbarzyńca dla nich znalazł.

Zanim rozstali się, Amalryk zapytał:

— O czym rozmawialiście z Sakumbe tuż przed koronacją, w jakimś nie znanym mi języku?

Conan wybuchnął grzmiącym śmiechem.

— Mówiliśmy dialektem wybrzeża, którego tutejsi ludzie nie rozumieją. Sakumbe powiedział mi, że powinno nam się dobrze rządzić razem, o ile nie zapomnę o kolorze mojej skóry.

— Co chciał przez to powiedzieć?

— Że nie mam po co spiskować, aby pozbawić go władzy, bo czarni stanowią tu teraz przeważającą siłę i nigdy nie słuchaliby białego króla.

— Dlaczego?

— Ponieważ zbyt często byli dziesiątkowani, rabowani i chwytni w niewolę przez bandy rabusiów ze Stygii i Shemu.

— A co z tym czarodziejem, Askią? Czego on chciał od Sakumbe?

— Ostrzegał go przed nami. Twierdził, że jego znaki przepowiedziały, iż przyniesiemy Tombalku śmierć i zniszczenie. Jednak Sakumbe kazał mu się zamknąć, mówiąc, że zna mnie lepiej i ufa mi bardziej niż jakimkolwiek czarownikowi.

Conan ziewnął jak śpiący lew.

— Zanieś swoją małą do łóżka, zanim upadnie na nos.

— A co z tobą?

— Ze mną? Wracam na ucztę. Przecież dopiero co się zaczęła!



Miesiąc później Amalryk, okryty kurzem i potem, ściągnął wodze koniowi, gdy jego szwadrony runęły do ostatniej, niepowstrzymanej szarży. Cały ranek, jak i wiele poprzednich poranków, ćwiczył ich w nowoczesnej taktyce wojennej. „Stępa naprzód! Kłusem naprzód!

Galopem naprzód! Do ataku! Odwrót! Formuj szyk! Stępa, naprzód!” — i tak dalej, znowu i znowu.

Chociaż ich szyk był jeszcze nierówny, brązowoskóre sokoły pustyni w końcu czegoś się nauczyły. Z początku było wiele utyskiwań i grymasów na te dziwne, cudzoziemskie metody walki. Jednak Amalryk, mając za sobą poparcie Conana, pokonał opory, łącząc sprawiedliwe traktowanie z surową dyscypliną. Teraz stanowili już liczącą się siłę.

— Daj im „Kolumnę twórz” — powiedział do jadącego obok trębacza.

Na sygnał trąbki jeźdźcy ściągnęli koniom wodze, po czym klnąc i popychając się, sformowali szyk. Przejechał wolno wzdłuż murów Tombalku, przez pola, gdzie półnagie wieśniaczki przerywały pracę, by oprzeć się na swych motykach i patrzeć.

Wróciwszy do Tombalku, Amalryk zostawił rumaka w stajni i ruszył do domu. Zbliżając się doń, zdziwił się, widząc Askię, czarodzieja, stojącego na ulicy przed domem i rozmawiającego z Lissą. Służąca dziewczyny, kobieta z plemienia Suba, stała w drzwiach, przysłuchując się rozmowie.

— O co chodzi, Askia? — spytał Amalryk niezbyt przyjaznym

tonem, podchodząc bliżej.

— Co tu robisz?

— Jestem strażnikiem dobra Tombalku. Dlatego muszę zadawać pytania.

— Nie lubię, jak obcy mężczyźni wypytyują moją żonę, kiedy mnie nie ma.

Askia uśmiechnął się złośliwie.

— Los miasta jest ważniejszy od tego, co lubisz lub nie, biały człowieku. Wszystkiego dobrego do następnego razu!

Czarodziej odszedł, kołysząc w powietrzu wspaniałym pióropuszem. Amalryk zmarszczył

brwi i wszedł za Lissą do domu.

— O co cię pytał? — rzekł do Lissy.

— Och, o moje życie w Gazal i jak cię poznałam.

— I co mu powiedziałaś?

— Opowiedziałam mu, jaki jesteś dzielny i jak zabiłeś bóstwo z Czerwonej Wieży.

Amalryk skrzywił się.

— Wolałbym, żebyś o tym nie mówiła. Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że on chce nam narobić kłopotów. Powinienem zaraz powiedzieć o tym Conanowi... Ej, Lisso, ty płaczesz!

— Ja... Ja jestem taka szczęśliwa!

— Z jakiego powodu?

— Bo nazwałeś mnie swoją żoną!

Zarzuciła mu ręce na szyję, zasypując czułymi słowami.

— No tak — rzekł. — Powinienem pomyśleć o tym wcześniej.

— Musimy dziś wieczór wyprawić weselną ucztę!

— Oczywiście! Jednak teraz pójdę do Conana i...

— Och, to może zaczekać! Poza tym jesteś brudny i zmęczony. Najpierw zjedz, napij się i odpocznij, zanim pójdziesz do tych

okropnych ludzi!

Rozsądek podpowiadał Amalrykowi, że powinien natychmiast pójść do Cymeryjczyka.

Jednak spotkanie z Aską wywołało w nim mieszane uczucia. Mimo iż był pewny, że czarodziej knuje coś przeciw niemu, nie miał na to żadnego niezbitego dowodu. W końcu pozwolił, aby Lissa wyperswadowała mu pomysł natychmiastowego udania się do Conana.

Popołudnie szybko minęło mu na jedzeniu, piciu, kąpeli, miłości i drzemce. Słońce już zachodziło, gdy Amalryk ruszył do pałacu.

Pałac króla Sakumbe był dużym budynkiem — tak jak inne budowle Tombalku zbudowanym z czerwonych, glinianych cegieł — stojącym tuż przy głównym placu. Straże Sakumbe, znające Amalryka, szybko przepuściły go do wnętrza, gdzie cienkie złote blachy pokrywały gliniane ściany i odbijały oślepiający, rdzawy blask zachodzącego słońca.

Akwilończyk przeszedł przez szeroki dziedziniec rojący się od królewskich żon oraz dzieci, po czym wszedł do osobistego apartamentu króla. Znalazł obu monarchów Tombalku, białego i czarnego, wyciągniętych wśród stert poduszek leżących na wielkim, bachariockim dywanie rozłożonym na mozaikowej posadzce. Przed oboma piętrzyły się stosy złotych monet z wielu krajów i każdy miał pod ręką ogromny puchar z winem. Obok stał niewolnik z dzbanem w ręku, gotowy napełnić kielich na nowo w razie, potrzeby.

Obaj mężczyźni mieli oczy nabiegłe krwią. Widocznie pili tego już od wielu godzin. Na dywanie między nimi leżała para kości.

Amalryk skłonił się ceremonialnie.

— Moi panowie...

Conan podniósł mętny wzrok; na głowie miał wysadzany klejnotami turban, podobny do tego, jaki nosił Zehbeh.

— Amalryk! Siadaj tu i rzuć z nami parę razy. Z pewnością będziesz miał dziś więcej szczęścia niż ja!

— Mój panie, naprawdę nie stać mnie na...

— Och, do diabła z tym! Oto twoja działka.

Conan zgarnął garść monet ze stosu i z rozmachem położył je przed Akwilończykiem. Gdy Amalryk usiadł na podłodze, Conan, jakby rażony nagłą myślą, spojrzał ostro na Sakumbe.

— Powiem ci coś, bracie-królu — rzekł. — Rzucimy każdy po razie. Jeśli ja wygram, rozkażesz armii maszerować przeciw królowi Kush.

— A jeśli ja wygram? — rzekł Sakumbe.

— No to nie ruszą, tak jak wolisz.

Sakumbe potrząsnął głową i zachichotał.

— Nie, bracie-królu, nie dam się złapać tak łatwo. Wyruszymy, kiedy będziemy gotowi, nie prędeej.

Conan rąbnął pięścią w podłogę.

— Do diabła, co się z tobą dzieje, Sakumbe? Nie jesteś tym samym człowiekiem, co za dawnych dni. Wtedy byłeś gotów na wszystko; a teraz obchodzi cię jedynie jedzenie, wino i kobiety. Co cię tak zmieniło?

Sakumbe czknął.

— Dawniej, bracie-królu, chciałem być monarchą, mieć wielu poddanych, którzy będą słuchali moich rozkazów, oraz wiele wina, jedzenia i kobiet. Teraz mam wszystkie te rzeczy.

Dlaczego miałbym ryzykować, że je stracę w niepotrzebnej awanturze?

— Przecież musimy poszerzyć nasze państwo aż do Zachodniego Oceanu, aby uzyskać kontrolę nad szlakami

handlowymi biegnącymi do wybrzeża. Wiesz równie dobrze jak ja, że bogactwo Tombalku bierze się z kontrolowania szlaków handlowych.

— A kiedy pokonamy króla Kush i dotrzemy do morza, co wtedy?

— No, wtedy skierujemy nasze armie na wschód, aby podporządkować sobie plemiona Ghanatan i skończyć z ich napadami na nasze ziemie.

— A potem zapewne zechcesz uderzyć na północ i na południe, i tak bez końca. Powiedz mi, człowieku: a gdybyśmy podbili każdy naród w promieniu tysiąca mil od Tombalku i posiadli bogactwa większe od skarbów królów Stygii? Co robilibyśmy wtedy?

Conan ziewnął i przeciągnął się.

— No... chyba cieszylibyśmy się życiem: obwiesili się złotem, polowali i ucztowali po całych dniach, a nocami pili i obłapiali dziewczki. W tym czasie moglibyśmy opowiadać sobie kłamstwa o naszych przygodach.

Sakumbe znów się zaśmiał.

— Jeśli tylko tego pragniesz, to przecież właśnie to robimy! Jeśli chcesz więcej złota, jedzenia, picia czy kobiet, powiedz mi, a dostaniesz.

Conan potrząsnął głową. Mamrocząc coś pod nosem i marszcząc brwi, myślał z widocznym wysiłkiem. Sakumbe zwrócił się do Amalryka:

— A ty, mój młody przyjacielu, przyszedłeś tu, żeby nam coś powiedzieć?

— Mój panie, przybyłem, aby zaprosić lorda Conana do mego domu, aby zatwierdził moje małżeństwo. Myślałem, że później mógłby zrobić mi przyjemność i zostać na skromnym przyjęciu.

— Skromne przyjęcie? — rzekł Sakumbe. — O nie, na nos Ajuja! Wyprawimy wielką biesiadę z pieczeniem osłów, rzekami wina, bębnami i tancerkami! Co na to powiesz, bracie–królu?

Conan beknął i wyszczerzył zęby.

— Jestem z tobą, bracie–królu. Urządzimy Amalrykowi takie weselisko, że nie obudzi się po nim przez trzy dni!

— Jest jeszcze inna sprawa — rzekł Amalryk, nieco przerażony jeszcze jedną ucztą z rodzaju tych, w jakich gustowali obaj barbarzyńcy, nie wiedząc jednak jak odmówić.

Opowiedział o tym, jak Askia wypytywał Lisę.

Kiedy skończył, królowie zmarszczyli brwi. Sakumbe rzekł:

— Nie obawiaj się Askii, Amalryku. Wszystkim czarownikom trzeba patrzeć na ręce, ale ten jest moim wiernym sługą. No, bez jego czarów...

Zerknął w stronę drzwi i rzucił ostro: — O co chodzi? Strażnik, który stanął w drzwiach, powiedział:

— O Królowie, zwiadowca jeźdźców Tibu chce wam coś powiedzieć.

— Przyślij go tu — powiedział Conan.

Czarnoskóry chudzielec w podartym, białym burnusie wszedł i złożył im pokłon. Gdy wyciągnął się na posadzce, z jego stroju uniosła się chmura kurzu.

— Moi królowie! — wysapał. Zehbeh i Aphakowie idą na nas! Widziałem ich wczoraj w oazie Kidessa i jechałem całą noc, żeby przynieść wiadomość.

Conan i Sakumbe, obaj nagle zupełnie trzeźwi, zerwali się na równe nogi. Conan rzekł:

— Bracie–królu, to oznacza, że Zehbeh może tu być już jutro. Każ bębnom bić na zbiórkę.

Gdy Sakumbe wzywał oficera i wydawał mu ten rozkaz, Conan

zwrócił się do Amalryka:

— Czy myślisz, że uda ci się zaskoczyć nadciągających Aphaków i rozbić ich swoją jazdą?

— Może i tak — odparł ostrożnie Amalryk. — Mają przewagę liczebną, ale niektóre wąwozy na północy znakomicie nadają się na zasadzkę...

Godzinę później, gdy słońce skryło się za ciemnoczerwone mury Tombalku, Conan i Sakumbe zasiedli na tronach stojących na podium, na placu. Gdy bębny wzywały na zbiórkę, czarni zdolni do noszenia broni przybywali na plac. Rozpalono ogniska. Wodzowie w pióropuszech ustawiali wojowników w szeregi i dotykali grotów włóczni, aby upewnić się, że są dostatecznie ostre.

Amalryk przeszedł przez plac, aby zameldować królom, że jego jeźdźcy będą zdolni do wymarszu o północy. W głowie kłębiły mu się pomysły i plany. Czy jeśli zaatakowani Aphakowie nie rozpierzchną się, powinien wstrzymać natarcie i wycofać się, aby uderzyć ponownie, kiedy rozwiną szyk i zsiądą z koni, szykując się do szturm na mury Tombalku..?

Wszedł po schodach i stanął przed królami, otoczonymi przez czarnych dowódców, którym wydawali rozkazy.

— Moi panowie... — zaczął.

Przerwał mu głośny wrzask. Obok tronu pojawił się Askia, pokazując palcem na Amalryka i krzycząc do królów:

— Oto on! — wrzeszczał czarownik. — Człowiek, który zabił boga! Jednego z moich bogów!

Zebrani wokół tronów Murzyni spojrzeli ze zdumieniem na Amalryka. W blasku ognisk białka oczu lśniły dziko w ich czarnych twarzach. Patrzyli ze zgrozą i z podziwem.

Widocznie wydawało im się niepojęte, że człowiek może zabić bóstwo. Ten, który tego dokonał, sam musiał być czymś w



rodzaju boga.

— Jakaż kara byłaby dostatecznie surowa za takie świętokradztwo? — mówił dalej Askia.

— Żądam, aby zabójcę Ollam-ongi i jego dziewczkę wydano mi na tortury! O bogowie, będą cierpieć tak, jak żaden śmiertelnik nie cierpiał od zarania świata...

— Zamknij się! — ryknął Conan. — Jeśli Amalryk zabił upiora z Gazal, to świat tylko na tym zyskał. Teraz wynoś się stąd i przestań zawracać nam głowę; mamy ważniejsze sprawy.

— Jednak... — zaczął Sakumbe.

— Te białoskóre diabły zawsze trzymają ze sobą! — krzyczał Askia. — Czy już nie jesteś królem, Sakumbe? Jeśli jesteś, to każ ich pojmać i związać! Jeżeli nie wiesz, co z nimi zrobić...

— No... — rzekł czarny król.

— Słuchajcie! — krzyknął Conan. — Jeśli w Gazal nie ma już tego, tak zwanego bóstwa, to możemy zdobyć miasto, zapędzić jego mieszkańców do roboty i kazać im, aby nauczyli nas tego, co wiedzą. Jednak najpierw pozbadźcie się tego gładzącego błazna, zanim wypróbuję na nim moje ostrze!

— Żądam... — wrzasnął Askia.

— Precz z nim! — ryknął Cymeryjczyk, łapiąc za miecz. — Na Croma, czy myślicie, że wydam starego kamrata w ręce takiego łotra?

Sakumbe w końcu zrozumiał, o co chodzi i usiadł na tronie.

— Idź, Askia! — powiedział. — Amalryk jest dobrym wojownikiem i nie dostaniesz go.

Lepiej obróć swoje czary przeciw Zehbehowi.

— Ale...

— Idź!

Askia zapienił się ze złości.

— Bardzo dobrze, idę! — rzekł w końcu. — Jednak jeszcze o mnie usłyszycie, wy dwaj!

I zaklinacz odszedł jak niepyszny.

Amalryk wrócił do przerwanego raportu. Przy wciąż przychodzących i odchodzących posłańcach oraz dowódcach meldujących stan swoich oddziałów, minęło sporo czasu, zanim zdołał przedstawić królowi cały plan. Conan zrobił kilka uwag i rzekł:

— Mnie podoba się ten plan, a tobie, Sakumbe?

— Jeśli tobie się podoba, bracie-królu, to musi być dobry.

— Dalej, Amalryku, zbierz naszych jeźdźców i... Aaaa!

Nagle Sakumbe krzyknął przeraźliwie i zerwał się z tronu, kurczowo ściskając gardło.

Oczy wychodziły mu z orbit.

— Płonę! Płonę! Ratujcie mnie!

Ciało czarnego monarchy uległo straszliwej przemianie. Mimo iż nie widać było śladu prawdziwego ognia ani żaru, nie ulegało wątpliwości, że Sakumbe naprawdę płonie, tak jakby przywiązano go do pala stojącego na stosie. Skóra nieszczęśnika pokryła się pęcherzami, a później zwęgliła i popękała, zaś w powietrzu rozszedł się swąd palonego ciała.

— Polejcie go wodą! — krzyknął Amalryk. — Albo winem! Czymkolwiek!

Z gardła udręczonego czarnego króla wydobywały się przeraźliwe krzyki. Ktoś chlusnął nań wiadrem wody; rozległ się syk i buchnął obłok pary, lecz ofiara krzyczała nadal.

— Crom i Isztar! — zaklął Cymeryjczyk, tocząc wkoło wściekłym spojrzeniem. —

Powinienem był zabić tego przeklętego czarownika, kiedy miałem go w zasięgu miecza!

Wrzaski przycichły i ustały. Szczątki monarchy — skurczone i bezkształtne, zupełnie nie podobne do żywego Sakumbe — leżały w oleistej kałuży na podium. Kilku przystrojonych w pióropusze dowódców uciekło w panice; kilku padło na twarz, modląc się do różnych bogów.

Conan złapał Amalryka za ramię.

— Musimy się stąd zabierać i to szybko! — rzekł cicho i stanowczo. — Chodź!

Amalryk nie wątpił, że Conan wie, co mówi. Zbiegł za nim po schodach. Na placu panowało ogólne zamieszanie. Czarnoskórzy wojownicy biegali wkoło, wrzeszcząc i gestykułując. Tu i tam wybuchały zamieszki.

— Giń, zabójco Kordofo! — krzyknął ktoś wśród tłumu. Tuż przed Conanem pojawił się wysoki, brązowoskóry mężczyzna, który zamachnął się i cisnął oszczep w pierś barbarzyńcy.

Tylko błyskawiczny refleks uratował Cymeryjczyka. Przypadł do ziemi, tak że drzewce przeleciało nad nim, niemal muskając skroń Amalryka i przeszło innego wojownika.

Napastnik zamachnął się, próbując rzucić drugi oszczep, lecz nim zdążył to zrobić, Conan wyrwał miecz z pochwy i ciął. Ostrze błysnęło rdzawo w blasku ogniska i trafiło w cel.

Tombalkańczyk osunął się na ziemię z rozplataną pierśią.

— Biegiem! — krzyknął Cymeryjczyk.

Amalryk pobiegł, klucząc w tłumie kłębiącym się na placu. Ludzie krzyczeli i pokazywali ich palcami; kilku pogoniło za nimi.

Na uginających się nogach, ciężko dysząc, Akwilończyk wpadł w boczną uliczkę za Conanem. Z tyłu dochodziły odgłosy pościgu. Ulica zwęziła się i skręciła. Nagle Cymeryjczyk uniknął mu z oczu.

— Tutaj, szybko! — usłyszał głos barbarzyńcy, który wcisnął się w szeroką na metr wnękę między dwoma budynkami.

Amalryk wepchnął się w tę szczelinę i znieruchomiał, z trudem łapiąc oddech, podczas gdy pogoń przebiegła obok nich.

— Następni krewniacy Kordofo — mruknął w ciemności Cymeryjczyk. — Ostrzyli sobie na mnie zęby, od kiedy Sakumbe kazał go otruć.

— Co teraz zrobimy? — spytał Amalryk.

Conan podniósł głowę ku rozgwieżdżonemu niebu widocznemu w wąskiej szczelinie między dachami.

— Sądzę, że zdołamy wejść na górę — rzekł.

— Jak?

— Tak jak kiedyś, za młodu wspinałem się w skalnych kominach Cymerii. Masz, potrzyмай ten kij.

Conan podał Amalrykowi oszczep i Akwilończyk dopiero wtedy zrozumiał, że Cymeryjczyk zabrał go wojownikowi, którego zabił. Broń miała wąski grot długości metra, z miękkiego żelaza obrobionego tak, że tworzyło drobno ząbkowane ostrze. Wąski, żelazny pierścień tuż poniżej rękojeści równoważył ciężar grotu.

Conan mruknął coś pod nosem, oparł się plecami o jedną ścianę, a nogami o drugą, i centymetr po centymetrze zaczął piąć się w górę. Przez chwilę w blasku księżyca majaczyła jego sylwetka, potem zniknęła. Z góry dobiegł głos:

— Podaj mi ten oszczep i wchodź na górę.

Amalryk podał mu drzewce i teraz on wolno wspinał się do góry. Dachy były zrobione z drewnianych belek, na które kładziono grubą warstwę palmowych liści, a na nie z kolei warstwę gliny. Gлина czasami ugiwała im się pod nogami i wtedy słyszeli trzask suchych liści.

Idąc za Conanem, Amalryk przeszedł po kilku dachach, przeskakując dzielące je szczeliny.

Wreszcie dotarli do sporego budynku, stojącego na samym skraju placu.

— Muszę zabrać stamtąd Lissę! — powiedział Amalryk, pełen niepokoju.

— Nie wszystko na raz — burknął barbarzyńca. — Trzeba zobaczyć, co się tam dzieje.

Rozgardiasz na placu skończył się. Dowódcy znów zaganiali swoich ludzi do szeregu. Na podium z dwoma tronami stał Askia w stroju czarownika, przemawiając do zebranych. Chociaż Akwilończyk nie słyszał wszystkiego, zaklinacz najwidoczniej przekonywał Tombalkańczyków, jakim będzie wielkim i mądrym monarchą. Wtem uwagę Amalryka zwrócił jakiś dźwięk dolatujący z lewej strony placu. Z początku cichy, jak pomruk zgromadzonego tłumu, szybko przeszedł w ryk. Jakiś mężczyzna wpadł na rynek i krzyknął do Askii:

— Aphakowie szturmują od wschodu!

I znów zapanował chaos. Łomotały bębny. Askia wywrzaskiwał rozkazy na prawo i lewo. Regiment czarnych oszczepników ruszył w kierunku wschodniej bramy.

— Lepiej wynośmy się z Tombalku — rzekł Conan. — Obojętne, która strona wygra, i tak obedrą nas tu ze skóry. Sakumbe miał rację: ci ludzie nigdy nie będą słuchać białego człowieka. Idź do domu i zabierz swoją dziewczynę. Wysmarujcie sobie twarze sadzą z kominka: nie będziecie się tak rzucać w oczy w ciemnościach. Weź wszystkie pieniądze, jakie masz. Przyjdę po was z końmi. Jeśli się pospieszymy, wydostaniemy się przez zachodnią bramę, zanim ją zamkną, albo zanim zaatakuje ją Zehbeh. Jednak przedtem mam tu

jeszcze coś do załatwienia.

Cymeryjczyk spojrział ponad szeregiem czarnych wojowników na Askie, wciąż przemawiającego na podium. Zważył oszczep w dłoni.

— Daleki rzut, ale powinien się udać — mruknął. Cofnął się aż do końca dachu, później wziął krótki rozbieg i potężnym zamachem ramion, popartym skrętem całego tułowia, cisnął oszczep. Pocisk zniknął w ciemności. Przez chwilę trwającą trzy uderzenia serca Amalryk zastanawiał się, gdzie poleciał.

Nagle Askia wrzasnęła i zatoczyła się; długie drzewce sterczało mu z piersi, wstrząsane skurczami agonii. Gdy czarownik runął na podium, Conan warknął:

— Chodźmy!

Amalryk pobiegł, skacząc z dachu na dach. Ze wschodu dolatywał bitewny gwar, łomot bębnow, granie trąb, krzyki i szczęk oręża.

Dochodziła północ, gdy Amalryk, Lissa i Conan ściągnęli wodze swoim wierzchowcom na piaszczystej grani o trzy kilometry na zachód od Tombalku. Obejrzeliby się na miasto spowite teraz posępną łuną pożarów, które wybuchły tu i tam, gdy Aphakowie wdarli się na mury od wschodu i poczęli walczyć z czarnymi oszczepnikami na ulicach. Chociaż czarni mieli liczebną przewagę, brak przywódcy pogarszał ich sytuację tak bardzo, że nie było wiadomo, czy zdołają zwyciężyć. Aphakowie powoli spychali ich w głąb miasta, a pojedyncze pożary zmieniały się w ścianę ognia.

Okropne odgłosy walki i rzezi dolatywały na grań już tylko jako cichy pomruk. Conan rzekł: ‘

— No i po Tombalku! Ktokolwiek zwycięży, my musimy szukać szczęścia gdzie indziej.

Ja udam się na wybrzeże Kush, gdzie mam przyjaciół — a także wrogów — i gdzie mogę złapać statek do Argos. A co z wami?

— Nie zastanawiałem się nad tym — odparł Amalryk.

— Masz gładką dziewczuchę — powiedział Conan, szczerząc zęby. Wschodzący księżyc ukazał uczernioną sadzą twarz barbarzyńcy. — Nie możesz jej wlec ze sobą po całym świecie.

Słyszając to, Amalryk poczuł, że włosy na głowie stają mu dęba. Przysunął się bliżej Lissy i objął ją ramieniem, kładąc drugą rękę na rękojeści miecza. Conan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Nie obawiaj się — rzekł. — Nigdy aż tak bardzo nie potrzebowałem kobiety, żeby kraść ją przyjacielowi. Jeśli pojedziecie ze mną, może uda wam się dotrzeć do Akwilonii.

— Nie mogę wrócić do Akwilonii — rzekł Amalryk. — Mój ojciec został zabity w zwadzie z hrabią Terentiuszem, który cieszy się łaską króla Yilerusa. Tak więc cała moja rodzina musiała uciekać z kraju, inaczej wytropiliby nas agenci Terentiusa.

— Och, czyżbyś nic nie wiedział? — rzekł Conan. — Vilerus umarł przed sześcioma miesiącami; teraz królem jest Numedides, jego siostrzeniec. Powiadają, że wszystkie dawne wyroki zostały uchylone, a banici mogą wracać do kraju. Słyszałem to od shemickiego kupca.

Na twoim miejscu pospieszyłbym do domu. Nowy król może znaleźć dla ciebie jakieś zaszczytne stanowisko. Weź swoją małą Lissę i zrób z niej hrabinę albo kogoś takiego. Co do mnie, wracam do Kush i błękitnego morza.

Amalryk obejrzał się na czerwoną łunę unoszącą się nad Tombalku.

— Conanie — zapytał. — Czemu Askia zabił Sakumbe, a nie nas, przecież z nami miał większe porachunki?

Cymeryjczyk wzruszył szerokimi ramionami.

— Może miał obcięte paznokcie i włosy Sakumbe, a naszych nie. Rzucił takie czary, jakie mógł. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć żadnego czarnoksiężnika.

— A dlaczego zabiłeś Askie?

Conan wytrzeszczył oczy.

— Chyba żartujesz! Myślisz, że zostawiłbym towarzysza nie pomszczonego? Sakumbe, niech diabli porwą jego spotniałą czarną skórę, był moim przyjacielem. Nawet jeśli na starość zrobił się tłusty i leniwy, był lepszym człowiekiem niż większość białych ludzi, których znam.

Cymeryjczyk głęboko westchnął i potrząsnął głową, jak lew potrząsający grzywą.

— No cóż, on umarł, a my żyjemy. Jeśli chcemy, aby dalej tak było, to lepiej ruszmy się, zanim Zehbeh wyśle za nami pogoń. Jedźmy!

Trzy konie zeszły po zachodnim stoku wydmy i rześkim kłusem ruszyły ku zachodowi.



ROBERT E. HOWARD

## SZMARAGDOWA TOŃ

*Conan kontynuuje swą wędrówkę przez południowe stepy czarnych królestw. Znają go tu od dawna i Amrze-Lwu nikt nie stawia przeszkód w drodze na wybrzeże, które kiedyś łupił razem z Belit. Ale Belit i jest teraz już tylko legendą Czarnego Wybrzeża. Statek pojawiający się wreszcie nieopodal przylądka, na którym siedli Conan ostrząc miecz, obsadzony jest przez piratów z Wysp Baracha, w pobliżu brzegów Zingary. Oni też słyszeli o Conanie i chętnie przyjmują jego miecz i jego doświadczenie. Conan ma ponad 30 lat, gdy przyłącza się do barachańskich piratów, z którymi przeżywa dobre czasy. Jednak przyzwyczajonemu do świetnie wyszkolonych armii hyboryjskich monarchów, organizacja barachańskiej zbieraniny wydaje się świetną okazją do przechwycenia przywództwa. Napotkawszy spory, wyrażone z właściwym temu środowisku wdziękiem, Conan nie znajduje innego wyjścia, jak próba przepłynięcia Oceanu Zachodniego.*

*Na zachód, gdzie człowiek nigdy nie bywał,  
okręt za okrętem z dawien dawna pływał.  
Co Skelos napisał, czytaj, jeśliś śmiały,  
gdy trupie ręce togę mu szarpały;  
i płyn za statkami mimo wichrów siły...  
Płyn za statkami, które nie wróciły.*

Sancha, niegdyś mieszkanka Kordafy, ziewnęła beztrosko, leniwie przeciągnęła gibkie ciało i ułożyła się wygodnie na lamowanym gronostajami jedwabiu, rozpostartym na górnym pokładzie rufowym karaki. W pełni zdawała sobie sprawę z tego, że załoga dziobu i śródokręcia przygląda się jej z lubieżnym zainteresowaniem, jak również z tego, że krótka jedwabna tunika nie zakrywa powabów jej bujnego ciała. Uśmiechnęła się wyzywająco, gotowa łowić ich znaczące mrugnięcia, zanim oślepi ją słońce, którego złota tarcza właśnie wyłoniła się z morza.

Nagle do jej uszu dotarł jakiś dźwięk, w niczym nie przypominający trzeszczenia wiązań, skrzypienia lin czy plusku fal. Usiadła i spojrzała na nadburcie, przez które — ku jej bezmiernemu zdziwieniu — przechodził jakiś mężczyzna. Dziewczyna szeroko otworzyła swe czarne oczy, a jej usta rozchyliły się w zdumionym „O!”. Intruz był jej zupełnie nieznany. Strugi wody spływały mu po szerokiej piersi i muskularnych ramionach.

Jasnoczerwone, jedwabne bryczesy będące jego jedynym odzieniem były zupełnie przemoczone, tak samo jak szeroki pas ze złotą klamrą i skórzana pochwa, w której tkwił długi miecz. Stojąc przy relingu, obramowany blaskiem wschodzącego słońca, mężczyzna zdawał się olbrzymim posągim z brązu.

Przesunął palcami po ociekającej wodą czarnej grzywie włosów, a w jego niebieskich oczach zapalił się błysk uznania, gdy ich spojrzenie padło na dziewczynę.

— Kim jesteś? — spytała. — Skąd się tu wziąłeś?

Nie odrywając od niej oczu, wskazał za siebie gestem, który objął pół horyzontu.

— Czy jesteś trytonem, że wyłaniasz się z morza? — zapytała, stropiona jego bezceremonialnością, chociaż zdążyła już przywyknąć do pełnych podziwu spojrzeń.

Zanim zdążył odpowiedzieć, o pokład zadudniły szybkie kroki i kapitan statku przeszył intruza gniewnym spojrzeniem, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

— Kimże, do diabła, jesteś? — spytał niezbyt przyjaznym tonem.

— Jestem Conan — odparł tamten z niezmaconym spokojem.

Sancha jeszcze bardziej nastawiła ucha: jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś mówił po zingarańsku z takim dziwnym akcentem.

— Jak się dostałeś na pokład mojego statku? — pytał podejrzliwie kapitan.

— Przyplłynąłem.

— Przyplłynąłeś?! — wykrzyknął pytający ze złością. — Żarty sobie ze mnie stroisz, psie?

Jesteśmy daleko od lądu. Skąd przybywasz?

Conan wskazał muskularnym, opalonym ramieniem na wschód, gdzie nad horyzontem stała oślepiająca, złocista poświata wyłaniającego się słońca.

— Przybywam z Wysp.

— Ach tak! — kapitan spojrział nań z rosnącym zainteresowaniem. Jego czarne brwi zmarszczyły się gniewnie, a cienkie wargi wykrzywił nieprzyjemny grymas. — A więc jesteś jednym z tych barachańskich psów.

Conan uśmiechnął się.

— Wiesz, kim jestem? — dopytywał się kapitan.

— Ten statek to „Wastrel”, zatem ty musisz być Zaporavo.

— Tak!

To, że przybysz słyszał o nim, mile polechtało próżność Zaporavo. Był mężczyzną równie wysokim jak Conan, chociaż znacznie szczuplejszym. Jego okolona stalowym hełmem twarz była smagła i posępna. Ze względu na ostre rysy załoga nazywała go Jastrzębiem. Miał na sobie świetną zbroję i kosztowne szaty skrojone na modłę zingarańską. Jego dłoń zawsze spoczywała w pobliżu rękojeści miecza.

W spojrzeniu, jakim mierzył Conana, nie było cienia sympatii. Zingarańscy renegaci i wyjęci spod prawa rabusie, od których roiły się Wyspy Baracha i południowe brzegi Zingary, nie pałali do siebie sympatią. Barachańscy rabusie byli przeważnie marynarzami z Argos, chociaż można było wśród nich spotkać również inne nacje. Napadali na statki handlowe i nadbrzeżne miasta Zingary tak samo jak zingarańscy bukanierzy, chociaż ci dodawali swemu zajęciu splendoru, nazywając się korsarzami i uważając Barachańczyków za piratów. Nie oni pierwsi i nie ostatni próbowali nadać piękną nazwę zwykłemu rozbojowi.

Niektóre z tych myśli przeleciały Zaporavo przez głowę, gdy stał, bawiąc się rękojeścią miecza i mierząc ostrym spojrzeniem nieproszonego gościa. Conan niczym nie zdradzał swoich uczuć. Stał z rękoma założonymi na piersiach i uśmiechał się z niezmaconym spokojem, jakby znajdował się na pokładzie swojego statku.

— Co tu robisz? — spytał nagle kapitan.

— Zeszłej nocy musiałem opuścić moich przyjaciół w Tortadze — odparł Conan. — Odpłynąłem przeciekającą łódką; przez całą noc wiosłowałem i wylewałem wodę. Tuż po wschodzie słońca

zobaczyłem maszty twojego statku i zostawiłem tę nędzną krypę własnemu losowi; skoczyłem do wody i popłynąłem.

— W tych wodach są rekiny — mruknął Zaporavo i poczuł irytację, gdy Conan w odpowiedzi wzruszył potężnymi ramionami. Kapitan rzucił okiem na śródokręcie i dostrzegł dziesiątki zwróconych ku nim twarzy. Na jedno jego słowo marynarze przetoczyliby się przez pokład niczym stalowy walec, miażdżąc nawet tak groźnego przeciwnika, jakim zdawał się być przybysz.

— Czemu miałbym zabierać na pokład każdego obdartego przybłędę, który wynurzy się z morza? — warknął Zaporavo, a jego mina i gest były bardziej obraźliwe niż słowa.

— Na statku zawsze przyda się jeszcze jeden dobry marynarz — odparł tamten bez urazy.

Zaporavo zmarszczył brwi, wiedząc, że to prawda. Zawahał się i w ten sposób stracił statek, dziewczynę i życie. Jednak, rzecz jasna, nie mógł zajrzeć w przyszłość i Conan był dla niego tylko zwykłym rozbitkiem wyrzuconym przez fale. Wprawdzie ten przybysz nie podobał mu się, jednak niczym go nie sprowokował. Jego zachowanie nie dawało powodu do obrazy, chociaż jak na gust Zaporavo był nazbyt pewny siebie.

— Zapracujesz na swoje utrzymanie — warknął Jastrząb. — Złaż na pokład. I pamiętaj, że na tym statku moja wola jest jedynym prawem.

Wargi Conana rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Bez wahania, ale i bez pośpiechu odwrócił się i zszedł na śródokręcie. Nie spojrział więcej na Sanchę, która bacznie przysłuchiwała się całej rozmowie.

Gdy Conan zszedł na dół, załoga otoczyła go ciasnym pierścieniem; półnadzy Zingaranie w krzykliwych strojach

poplamionych smołą, błyskający złotymi kolczykami i klejnotami pokrywającymi rękojeści tkwiących w pochwach sztyletów. Niecierpliwie czekali na uświęconą tradycją zabawę powitania nowego kamrata. Miało to zadecydować nie tylko o jego losie, ale i o przyszłej pozycji wśród załogi. Stojący na górnym pokładzie Zaporavo już widocznie zapomniał o istnieniu przybysza, ale Sancha patrzyła w pełnym napięcia oczekiwaniu. Dobrze знаła te zabawy i wiedziała, że zawsze są brutalne i często krwawe, jednak jej wiedza była znikoma w porównaniu z doświadczeniem Conana. Ten uśmiechnął się lekko, gdy zszedł na śródokręcie i ujrzał otaczający go tłum groźnych postaci. Nie okazując cienia strachu, zmierzył ich nieprzeniknionym spojrzeniem. W tych sprawach obowiązywał pewien niepisany kodeks. Gdyby zaatakował kapitana, cała załoga skoczyłaby mu do gardła, ale teraz czekała go walka z jednym tylko przeciwnikiem.

Człowiek, którego do tego wybrali, wysunął się naprzód — żylasty zabijaka z głową obwiązaną czerwoną szarfą niczym turbanem. Mężczyzna ten miał wystający, chudy podbródek i niewiarygodnie brzydką, poznaczoną bliznami twarz. Każde jego spojrzenie i gest były obraźliwe i wyzywające. Sposób, w jaki zamierzał sprowokować bójkę, był równie prymitywny i nieokrzesany, jak on sam.

— Z Wysp Baracha, co? — parsknął. — Tam psy udają ludzi. My z Bractwa plujemy na nich — o tak! Plunął Conanowi w twarz i chwycił za miecz. Ruchy Barachańczyka były zbyt szybkie, aby je pochwycić wzrokiem. Jego ogromna pięść ze straszliwą siłą uderzyła w szczękę przeciwnika, który wyleciał w powietrze i spadł jak zmięty łachman przy relingu.

Conan odwrócił się do pozostałych. W jego zachowaniu nie

dostrzegli żadnej zmiany; tylko w oczach zapalił mu się ponury błysk. Jednak zabawa skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Marynarze podnieśli swego towarzysza: złamana szczęka opadła mu na piersi, a głowa odchyliła się pod nienaturalnym kątem.

— Na Mitrę, ma złamany kark! — zakrzyknął jeden z piratów.

— Wy, korsarze, macie słabe kości — zaśmiał się Conan. — Na Wyspach Baracha nie zwracamy uwagi na takie klapsy. A może któryś z was chce spróbować się ze mną na miecze?

Nie? No to wszystko w porządku i jesteśmy przyjaciółmi, no nie?

Zgodny chór głosów zapewnił go, że to prawda. Krzepkie ręce przerzuciły trupa przez burtę i tuzin płetw natychmiast przeciął wodę, zmierzając ku miejscu, gdzie zatoneły zwłoki.

Conan roześmiał się i wyprężył potężne ramiona, przeciągając się leniwie jak wielki kot. Jego spojrzenie pobiegło ku górnemu pokładowi. Sancha przechyliła się przez reling; pełne wargi miała rozchylone, a w oczach wyraźne zainteresowanie. Świecące za jej plecami słońce prześwietlało jej cienką tunikę, ukazując kontury gibkiego ciała. Nagle pojawił się przy niej groźny cień Zaporavo i ciężka ręka objęła władcym gestem smukłe ramiona dziewczyny. W spojrzeniu, jakim kapitan zmierzył stojącego na śródkręciu przybysza, była wyraźna groźba i ostrzeżenie; Conan odpowiedział uśmiechem, jakby śmiał się z jakiegoś sobie tylko znanego żartu.

Zaporavo popełnił błąd, jaki popełnia wielu tyranów: odizolowany w ponurej wspaniałości górnego pokładu nie docenił swego przeciwnika. Miał okazję zabić Conana i stracił ją pograżony w swych posępnych rozmyślaniach. Nie był w stanie wyobrazić sobie, że któryś z tych psów na dolnym pokładzie mógłby stanowić dla niego jakieś zagrożenie. Od tak dawna był

kapitanem i pokonał tylu wrogów, że podświadomie uznał, iż jest ponad zakusy ewentualnych rywali.

Conan rzeczywiście niczym go nie prowokował. Zbratał się z załogą, żył i bawił się razem z nimi. Okazał się doświadczonym marynarzem i najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widzieli. Pracował za trzech i zawsze był pierwszy do każdej ciężkiej czy niebezpiecznej roboty. Towarzysze zaczęli na nim polegać. On nigdy się z nimi nie kłócił, a oni starali się z nim nie spierać. Grał z nimi w kości; postawił swój pas i pochwę na miecz, wygrał ich oręż i pieniądze, po czym oddał im wszystko ze śmiechem. Załoga instynktownie uważała go za przywódcę forkasztelu. Nie spieszył się ze zwierzeniami i nie wyjaśnił, dlaczego musiał uciekać z Wysp Baracha, jednak świadomość tego, że był zdolny do czynów tak krwawych, że wykluczyły go z szeregów pirackiego bractwa, zwiększyła tylko respekt, jakim darzyli go nowi towarzysze. Wobec Zaporavo i jego oficerów zachowywał się niezwykle uprzejmie, nigdy nie był bezczelny czy służalczy.

Nawet najmniej rozgarnięty korsarz musiał dostrzec różnicę między małymównym, szorstkim kapitanem a piratem, który śmiał się często i głośno, znał wesołe ballady w kilku językach, żłopał piwsko jak smok i nigdy nie myślał o jutrze.

Gdyby Zaporavo wiedział, że chociaż nieświadomie, jednak porównywano go ze zwykłym marynarzem z forkasztelu, zaniemówiłby z gniewu i zdumienia. Jednak był zbyt pogrążony w swoich rozważaniach, które w miarę upływu lat stawały się coraz bardziej mroczne i ponure, w dziwnych snach o wielkości i myślach o dziewczynie, z której posiadania czerpał tyleż przyjemności, ile goryczy — jak zresztą ze wszystkich swoich przyjemności. Ona zaś coraz częściej spoglądała na



czarnowłosego giganta, który przewyższał swoich towarzyszy w pracy i w zabawie. Nigdy nie odezwał się do niej nawet słowem, ale trudno było nie zrozumieć wymowy jego spojrzeń. Dziewczyna zastanawiała się, czy odważy się na ryzykowaną grę kokietowania przystojnego marynarza.

Wprawdzie od czasów, gdy pędziła dni w pałacach Kordafy, nie upłynęło tak wiele czasu, ale zdawało jej się, że ocean wydarzeń dzieli ją od życia, jakie wiodła, zanim Zaporavo uniósł ją wrzeszczącą z płonącej karaweli, którą plądrowała jego zgraja. Ukochana i rozpieszczana córka księcia Kordafy dowiedziała się, jak to jest być zabawką bukaniera. Ponieważ była na tyle giętka, by się nagiąć i nie złamać, przeżyła to, co zabiło wiele innych kobiet, a będąc młodą i pełną życia, zdołała nawet znaleźć trochę przyjemności w tej egzystencji. Było to niespokojne, podobne do snu życie, pełne rzezi, pożogi, bitew i ucieczek, a krwawe wizje Zaporavo czyniły je jeszcze bardziej niepewnym. Nikt nigdy nie wiedział, co zamierza kapitan. Już dawno zostawili w tyle oznaczone na mapach akweny i zagłębiali się wciąż dalej w nieznane, puste obszary nadzwyczaj rzadko uczęszczane przez żeglarzy, albowiem od zarania dziejów zapuszczające się tu statki na zawsze znikwały z ludzkich oczu. Wszystkie znane lądy pozostały za nimi i dzień po dniu przed oczami załogi rozciągał się tylko błękitny, pofalowany bezmiar. Nie było tu żadnych widoków na zyski: ani miast do złupienia, ani statków do zdobycia. Ludzie mruzczyli, chociaż robili to tak, by nie słyszał ich nieubłagany kapitan, który w ponurym majestacie przemierzał niestrudzenie górny pokład lub ślęczał nad starymi, pożółkłymi mapami albo też czytał księgi o zbutwiałych, rozsypujących się kartach.

Czasami opowiadał dziewczynie o zaginionych lądach i

legendarnych wyspach wznoszących się wśród spienionych fal u niezbadanych brzegów, gdzie rogate' smoki strzegły skarbów zebranych przez pradawnych królów.

Sancha słuchała go, nie rozumiejąc i obejmując splecionymi rękoma szczupłe kolana, coraz częściej uciekała myślami od swego posępnego pana do smagłego, niebieskookiego olbrzyma, którego śmiech miał siłę morskiego wichru.

I tak, po wielu nużących tygodniach podróży, dostrzegli wreszcie ląd i o świcie zarzucili kotwicę w płytkiej zatoczce. Ujrzeni plażę, podobną do białej obrączki otaczającej bezmiar łagodnych, pokrytych trawą zboczy zasłoniętych wysokimi drzewami. Wiatr przyniósł zapach kwiecia i świeżej roślinności. Sancha klasnęła w dłonie, ciesząc się na myśl o ciekawej wycieczce na ląd. Jednak jej niecierpliwość zmieniła się w przygnębienie, gdy Zaporavo kazał jej zostać na pokładzie, dopóki po nią kogoś nie przyśle. Nigdy nie tłumaczył swoich rozkazów, tak więc nigdy nie знаła jego pobudek, chyba że drzemiający w nim demon kazał mu krzywdzić ją bez powodu.

Tak więc siedziała zgnębiona na górnym pokładzie i patrzyła na łódź płynącą do brzegu przez spokojne wody, które skrzyły się w słońcu jak płynny nefryt. Zobaczyła, jak załoga wysiada na piasek, rozglądając się wokół podejrzliwie i trzymając broń w pogotowiu. Kilku zagłębiło się w kępy drzew okalających plażę. Wśród nich dostrzegła Conana, nieomylnie wyławiając z tłumu jego barczystą, wysoką postać. Ludzie mówili, że nie był cywilizowanym człowiekiem, lecz Cy mery językiem, jednym z tych barbarzyńskich górali, którzy zamieszkują nagie wyżyny dalekiej Północy i szerzą strach wśród swych południowych sąsiadów. Dziewczyna wiedziała, że coś w tym musi być: miał w sobie jakąś niezwykłą witalność, która wyróżniała go spośród

reszty załogi.

Głosy bukanierów odbijały się głośnym echem od brzegu; cisza dodała im odwagi.

Rozproszyli się po plaży w poszukiwaniu owoców. Widziała, jak wspinają się na drzewa, i ślina napłynęła jej do ust. Tupnęła drobną stopką i zakłęła z wprawą nabytą podczas przestawiania z nieokrzesanymi kompanami.

Ci na brzegu rzeczywiście znaleźli owoce i zażerali się nimi łapczywie, szczególnie jakąś nieznaną odmianą jabłek o złocistej skórce. Zaporavo nie szukał owoców i nie jadł ich. Kiedy wysłani w głąb lasu zwiadowcy wrócili, nie znajdując żadnych śladów wskazujących na obecność ludzi czy zwierząt, przez chwilę stał, spoglądając na wyspę, na długie szeregi łagodnych zboczy wznoszących się jedno za drugim. Później, rzuciwszy krótki rozkaz, podciągnął pas i wszedł między drzewa. Jeden z jego zastępców zaprotestował przeciw tej samotnej wyprawie i w nagrodę za swoją troskę otrzymał potężny cios w twarz. Zaporavo miał swoje powody, by iść na rekonesans bez asysty. Chciał się przekonać, czy wyspa jest istotnie tą, o której Skelos w swojej księdze pisał, że wedle bezimiennych mędrców dziwne potwory strzegą na niej lochów pełnych pokrytego hieroglifami złota. Nie miał zamiaru dzielić się swymi domysłami — jeżeli były trafne — z kimkolwiek, a szczególnie ze swoją załogą. Sancha, pilnie obserwująca go z pokładu, widziała, jak Zaporavo znika w gąszczu. Po chwili zobaczyła, że Conan odwraca się i obrzuciwszy uważnym spojrzeniem rozproszonych po plaży piratów rusza szybkim krokiem w ślad za kapitanem.

Sancha poczuła ukłucie ciekawości. Spodziewała się, że obaj mężczyźni znów się pojawią na brzegu, ale tak się nie stało. Marynarze wałęsali się tu i tam; kilku poszło w głąb wyspy.

Wielu ułożyło się w cieniu i zapadło w sen. Czas płynął i dziewczyna zaczęła się niespokojnie wiercić. Słońce przygrzewało coraz mocniej mimo baldachimu rozpiętego nad pokładem.

Było gorąco, cicho i sennie, gdy tymczasem kilkadziesiąt jardów dalej, za pasem płytkiej, błękitnej wody wabił ją chłodny cień okolonej drzewami plaży i zielonej gęstwiny. Poza tym nie dawało jej spokoju dziwne zachowanie Zaporavo i Conana. Dobrze wiedziała, jakiej kary za nieposłuszeństwo może oczekiwać od swojego bezlitosnego pana, dlatego też wahała się długo. W końcu jednak zdecydowała, że dla wyjaśnienia zagadki warto nawet narazić się na bicie i niezwłocznie zrzuciła miękkie, skórzane sandały oraz cienką tunikę, stając na pokładzie naga jak w dniu narodzin. Przeszła przez reling i spuściwszy się po łańcuchu kotwicznym weszła do wody i popłynęła do brzegu. Przez chwilę stała na plaży, drepcząc w ciepłym, łaskoczącym w stopy piasku i rozglądając się dokoła. Dostrzegła tylko kilku marynarzy i to dość daleko od miejsca, gdzie stała. Wielu z nich spało pod drzewami, wciąż ściskając w rękach nie dojedzone, złociste owoce. Sancha przelotnie zastanowiła się, dlaczego sen zmorzył ich o tak wczesnej porze.

Nikt jej nie zatrzymywał, gdy przekroczyła biały pas piasku i weszła w cień lasu. Zaraz też przekonała się, że drzewa rosły tu nieregularnymi kępami, a między nimi rozciągały się ginące dali stoki zielonych pagórków. W miarę jak podążała w głąb wyspy w ślad za Zaporavo, przed jej oczarowanym wzrokiem rozpościerały się wciąż nowe i nowe widoki: łagodne zbocza pokryte zieloną murawą i gęsto usiane drzewami. Między stokami leżały głębokie dolinki, również porośnięte trawą. Krajobraz zdawał się wtapiać w siebie: każdy jego element

zlewał się z innymi, każdy zdawał się nie mieć kresu. Nad wszystkim zalegała senna cisza, jakby czar rzucony na całą wyspę.

Nagle Sancha wyszła na niewielką polankę otoczoną wysokimi drzewami i natychmiast wróciła do rzeczywistości na widok tego, co ujrzała na zdeptanej i zbroczonej krwią murawie. Wydała mimowolny okrzyk zgrozy i cofnęła się o krok, drżąc z przerażenia. Po chwili podeszła bliżej, patrząc szeroko otwartymi oczami. Na trawie leżał Zaporavo z głęboką raną w piersi, spoglądając w niebo szklistymi oczami. Miecz wypadł mu z pozbawionej czucia dłoni. Jastrząb zakończył swój ostatni lot.

Sancha patrzyła na trupa swego pana nie bez pewnego wzruszenia. Wprawdzie nie miała powodu, by go kochać, jednak czuła to, co odczuwałaby każda dziewczyna, widząc zwłoki tego, który pierwszy ją posiadł. Nie płakała i nie miała na to ochoty, jednak zadrżała i serce podeszło jej do gardła — z trudem oparła się ogarniającej ją panice.

Rozejrzała się, szukając człowieka, którego spodziewała się tu ujrzeć. Nie dostrzegła niczego prócz kręgu grubych pni i widocznych za nimi zboczy. Czyżby zabójca powlókł się dalej, śmiertelnie raniony w starciu? Nie spostrzegła żadnych śladów krwi.

Zdziwiona, spojrzała między otaczające ją drzewa i zdrętwiała pochwywszy uchem cichy szmer wśród gęstego listowia. Niepewnie ruszyła ku drzewom, zaglądając w cień rzucany przez ich gęste korony.

— Conan? — zawołała trwożliwie. Jej głos zabrzmiał dziwnie słabo wśród zalegającej wokół ciszy.

Nie słysząc odpowiedzi, poczuła, że uginają się pod nią nogi i strach ściska ją za gardło.

— Conanie! — krzyknęła rozpaczliwie. — To ja... Sancha!  
Gdzie jesteś? Proszę cię, Conanie...

Nagle umilkła i szeroko otworzyła oczy z przerażenia. Jej pełne wargi rozchyliły się w nieartykułowanym okrzyku., Sparaliżowana lękiem nie była w stanie uczynić nawet kroku, mimo że rozpaczliwie pragnęła uciec jak najdalej z tego okropnego miejsca. Zielone listowie stłumiło jej bełkotliwy krzyk.

Kiedy Conan zobaczył, jak Zaporavo rusza samotnie w głąb wyspy, zrozumiał, że nadeszła chwila, na którą czekał. Cymeryjczyk nie jadł złocistych owoców i nie uczestniczył w rubasznych zabawach swoich towarzyszy: pochłonięty był śledzeniem poczynąń kapitana.

Przyzwyczajeni do humorów dowódcy piraci nie byli specjalnie zdziwieni tym, że ich kapitan chce samotnie zwiedzać niezbadaną i być może zamieszkaną przez wrogich tubylców wyspę. Zajęci swoimi sprawami nie zauważyli Conana, który cicho jak kot ruszył za Zaporavo.

Conan doceniał wpływ, jaki miał na załogę, ale wiedział, że jeszcze nie wykazał się w bitwie i nie mógł otwarcie wyzwać kapitana na pojedynek. Te nieuczęszczane wody nie dawały mu okazji udowodnienia swoich możliwości wedle prawa korsarzy. Gdyby otwarcie zaatakował kapitana, załoga stanęłaby przeciw niemu jak jeden mąż. Wiedział jednak, że jeśli cichcem zabije Zaporavo, pozbawiona przywódcy załoga nie da się ponieść lojalności dla martwego. W tym wilczym stadzie liczył się tylko ten, kto przeżył.

Tak więc poszedł za Zaporavo z mieczem w dłoni i żądzą krwi w sercu, aż wyszedł na małą polankę otoczoną wysokimi drzewami, między którymi widział zielone zbocza pagórków ciągnących się aż po horyzont. Zaporavo wyczuwając, że jest śledzony, odwrócił się i chwycił za rękojeść miecza.

— Czemu mnie śledzisz, psie? — warknął pirat.

— Czyżbyś oszalał, że o to pytasz? — zaśmiał się Conan, podchodząc do swego chwilowego dowódcy. Na wargach barbarzyńcy pojawił się uśmiech, a w niebieskich oczach zapalił się groźny błysk.

Zaporavo z przekleństwem wyszarpnął miecz z pochwy i szcęknęła stal, gdy Barachańczyk ze świstem opuścił swoje ostrze, atakując zuchwale i nie dbając o osłonę.

Zaporavo był weteranem tysiąca potyczek na morzu i lądzie. Nie było człowieka, który miałby większe doświadczenie i umiejętności w sztuce fechtunku. Jednak nigdy jeszcze nie odbijał ciosów zadawanych przez tak mocarne ramiona syna lodowych pustkowi, wychowanego z dala od ostatnich przyczółków cywilizacji. Musiał zmobilizować całą swoją zręczność, by stawić czoła nieprawdopodobnej szybkości i niewyobrażalnej sile Cymeryjczyka. Conan walczył w sposób zupełnie niekonwencjonalny, kierując się bardziej instynktem niż jakimś przemyślanym planem ataku i obrony. Wyszukane sztuczki techniczne były równie bezużyteczne przeciw jego wściekłym ciosom, co umiejętności bokserskie przy spotkaniu z wygłodzonym tygrysem.

Zaporavo walczył jak jeszcze nigdy dotąd, wytěżając wszystkie siły, by odbić błyszczące ostrze, które raz po raz zmierzało ku jego głowie, jednak w końcu kolejny cios niemal go dosięgnął. Pirat rozpaczliwie zasłonił się mieczem, przyjmując uderzenie na klingę tuż przy rękojeści. Całe ramię zdrętwiało mu od potwornego ciosu i nie zdążył się zastawić przed następnym pchnięciem zadany z taką mocą, że ostrze przebiło kolczugę i żebra jak papier i trafiło w serce. Wargi Zaporavo wykrzywił grymas bólu, lecz posępny kapitan nawet w chwili śmierci pozostał wierny swej naturze. Bez jęku osunął się na zdeptaną



murawę, na której krople krwi zabłysły w słońcu niczym małe rubiny.

Conan otarł zboczony miecz, uśmiechnął się z nieskrywanym zadowoleniem i przeciągnął się jak wielki kot... lecz nagle zeszywniał i w oczach pojawiło mu się zdumienie. Stał nieruchomo jak posąg, trzymając w dłoni opuszczony miecz. Oderwawszy wzrok od powalonego wroga, spojrzał mimochodem na krąg otaczających go drzew i widoczne za nimi zbocza. Nagle dostrzegł coś dziwnego i niewytłumaczalnego. Za łagodnym, zielonym wierzchołkiem odległego stoku spostrzegł wysoką, czarną postać, niosącą na ramieniu coś białego. Postać zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, pozostawiając Cymeryjczyka w głębokim zdumieniu.

Pirat rozejrzał się wokół, spojrzał niepewnie za siebie i zaklął. Był zakłopotany i trochę zaniepokojony — jeśli można tak powiedzieć o kimś, kto posiada stalowe nerwy.

Wśród tego całkiem realnego, chociaż egzotycznego otoczenia zobaczył coś jakby żywcem wziętego z koszmarnego snu. Conan nigdy nie wątpił w swoje zdrowe zmysły i wierzył własnym oczom. Wiedział, że widział coś przedziwnego i niesamowitego; już sam fakt, że jakaś naga, czarna postać biegała po wyspie, niosąc na ramieniu białego jeńca, był dość niezwykły, ale w dodatku postać ta była nienaturalnie wysoka.

Potrząsnąwszy z niedowierzaniem głową, Conan ruszył w kierunku miejsca, gdzie przed chwilą zniknęła zjawia. Nie zastanawiał się, czy postępuje roztropnie; był tak zaciekawiony, że po prostu musiał to zrobić.

Przemierzył kilka kolejnych pagórków, porośniętych bujną trawą i kępami drzew. Cały czas podążał w górę, chociaż z monotonną regularnością wchodził na łagodne zbocza i schodził

z nich. Szeregi łagodnych wzgórz zdawały się nie mieć końca. Jednak wreszcie osiągnął punkt, który — jak sądził — był najwyższym wzniesieniem na wyspie, i stanął jak wryty, widząc zielone, błyszczące mury i wieże, które zanim dotarł na szczyt wzgórza tak doskonale wtapiały się w krajobraz, że były niewidoczne nawet dla jego orlich oczu. Zawahał się, odruchowo próbując kciukiem ostrza swego miecza, po czym gnany

ciekawością ruszył dalej. Wolno podszedł do wysokiej, pozbawionej drzwi bramy. Wokół nie było nikogo. Zajrzawszy ostrożnie do środka, ujrzał rozległy plac, najwidoczniej dziedziniec, porośnięty trawą i otoczony murem z jakiejś zielonej, półprzeźroczystej substancji. W murze zauważył szereg łukowatych przejść. Conan podszedł na palcach do jednego z nich i przeszedłszy na drugą stronę znalazł się na innym, podobnym dziedzińcu. Nad otaczającym go murem dostrzegł dachy dziwnych, podobnych do wież budowli. Jedna z tych wieżyczek przylegała do dziedzińca, na którym stał. Wiodły do niej szerokie schody biegnące przy murze. Wszedł na nie, zastanawiając się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, a nie jest tylko wytworem zamroczonej oparami czarnego lotosu wyobraźni.

Na szczycie schodów znalazł wąską półkę zabezpieczoną murkiem czy też raczej rodzaj balkonu. Mógł teraz dobrze przyjrzeć się wieżom, ale niewiele mu to dało. Z niepokojem uświadomił sobie, że te budowle nie zostały zbudowane przez ludzi. Architektura ta cechowała się jakąś symetrią i równowagą, ale była to zwariowana symetria, równowaga obca umysłowi człowieka. Spoglądając z góry, Conan widział całe miasto, twierdzą czy cokolwiek miało to być na tyle, że dostrzegł znaczną liczbę dziedzińców, przeważnie owalnych, otoczonych osobnymi

murami i połączonych z innymi otwartymi przejściami i zgrupowanych wokół stojących w środku wież o fantastycznych kształtach.

Odwróciwszy się i spojrzawszy w innym kierunku Conan doznał szoku; błyskawicznie przykucnął za balustradą balkonu, spozierając ze zdumieniem na rozgrywającą się niżej scenę. Balkon czy też półka, na której stał, znajdowała się wyżej niż krawędź przeciwległego muru, tak że bez trudu mógł widzieć rozpościerający się za nim, kolejny pokryty murawą dziedziniec. Wewnętrzna płaszczyzna tego muru różniła się od innych tym, że nie była gładka, lecz poznaczona długimi liniami wyłobionych w niej półek, zastawionych setkami małych przedmiotów, których z tej odległości barbarzyńca nie mógł zidentyfikować.

Jednak w tej chwili nie zainteresowały go. Całą uwagę skupił na grupie postaci, które siedziały wokół sadzawki o ciemnozielonej wodzie, na środku dziedzińca. Istoty te były czarnoskóre i nagie, podobne do ludzi, ale nawet najmniejsza z nich o dwie głowy przewyższała olbrzymiego barbarzyńcę. Giganci byli raczej smukli, ale dobrze zbudowani i oprócz niezwykle wysokiego wzrostu trudno było dopatrzeć się w nich jakichś anomalii. Jednak nawet z tak znacznej odległości Conan dostrzegł diaboliczne rysy ich twarzy.

Wśród nich, nagi i skulony ze strachu, stał młodzik, w którym Cymeryjczyk rozpoznał najmłodszego marynarza z załogi „Łobuza”. Zatem to on był jeńcem, którego niosła na ramieniu dostrzeżona na zboczu postać. Conan nie dostrzegł żadnych śladów walki — żadnych śladów krwi czy ran na smukłych, hebanowych ciałach gigantów. Najwidoczniej chłopak odłączył się od swoich towarzyszy i został porwany przez zaczajonego w

głębi lądu czarnego. Conan w myślach nazywał te stworzenia czarnymi z braku lepszego terminu; instynktownie wiedział, że te wysokie, czarnoskóre istoty nie były ludźmi w jego rozumieniu tego słowa.

Z dziedzińca nie dochodził żaden głos. Czarni gestykulowali i kiwali głowami, ale wydawało się, że nie potrafią mówić — a przynajmniej nie głośno. Jeden, przykucnąwszy na piętach przed zatrwożonym chłopcem, trzymał w ręku coś na kształt rurki. Przyłożył ją do warg i prawdopodobnie dmuchnął w nią, chociaż Cymeryjczyk nie usłyszał żadnego dźwięku.

Jednak zingarański młodzieniec usłyszał to lub poczuł, bo skulił się jeszcze bardziej. Trząsał się i wił jak w agonii; po chwili kurczowe ruchy jego rąk i nóg stały się bardziej regularne, a potem rytmiczne. Dygotanie przeszło w gwałtowne podrygi, a te w regularne ruchy. Chłopak zaczął tańczyć, niczym kobra zniewolona melodią płynącą z fletni fakira. W tańcu tym nie było odrobiny życia czy radosnego zapamiętania. Wydawało się, że niedosłyszalna melodia piszczałki dotykała lubieżnymi palcami najgłębszych zakątków duszy chłopca i brutalną torturą wydzierła z nich mimowolne wyznanie najskrytszych uczuć. Obsceniczne konwulsje, spazmy żądy — wyznania najtajniejszych pragnień wydarte przemocą; pożądanie bez przyjemności, ból straszliwie złączony z żądzą. Conanowi wydawało się, że jest świadkiem obnażania duszy i wyciągania na światło dzienne wszystkich ludzkich, starannie ukrywanych sekretów.

Spoglądał na to szeroko otwartymi oczyma, zdjęty odrazą i wstrząsany mdłościami. Mimo że z natury równie wolny od wyuzdania jak leśny wilk, zetknął się już z perwersyjnymi sekretami podupadających cywilizacji. Był w miastach Zamory i

znał kobiety Shadizaru, Miasta Łajdaków. Jednak tu wyczuwał jakieś potworne zło przewyższające to, czynione przez ludzkich degeneratów — widział tu jakąś wynaturzoną gałąź z Drzewa Życia, która rozwinęła się w kierunku przekraczającym ludzkie możliwości zrozumienia. Nie szokowały go konwulsyjne podrygi i pozy dręczonego chłopaka, lecz potworne wynaturzenie jego dręczycieli, którzy wywlekali na światło dzienne okropne tajemnice drzemiące w niezgłębionych zakamarkach ludzkiej duszy i znajdowali przyjemność w bezwstydnym przyglądaniu się rzeczom, których człowiek nie ogląda nawet w najgorszych koszmarach.

Nagle czarnoskóry dręczyciel odłożył puszczalną i wstał, spoglądając z wysoka na wijącą się, białą postać. Brutalnie chwyciwszy chłopca za kark i krzyże, gigant obrócił go w powietrzu i wrzucił głową naprzód w zieloną sadzawkę, Conan dostrzegł błysk białego ciała w szmaragdowej wodzie, gdy olbrzym przytrzymał nagiego chłopca pod powierzchnią.

Pozostali czarni zaczęli się podnosić i Conan szybko schował się za balustradą balkonu, nie ośmielając się wystawić głowy z obawy, że zostanie wykryty.

Po chwili jednak ciekawość przewyciężyła rozwagę i znów zerknął na dół. Czarni właśnie przechodzili na inny dziedziniec. Jeden z nich postawił coś na półce przy przeciwległej ścianie i Conan poznał w nim tego, który torturował chłopaka. Ten czarny był wyższy od innych i nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Nigdzie nie było widać śladu zingarańskiego chłopca. Gigant ruszył za innymi i po chwili Conan zobaczył, jak wszyscy wychodzą z miasta przez bramę, którą on się tu dostał, i ruszają zielonym zboczem w kierunku, z którego tu przybył. Nie byli uzbrojeni, ale czuł, że zamierzali napaść na jego towarzyszy.

Jednak zanim podąży, by ostrzec niczego nie podejrzewających bukanierów, chciał ustalić, jaki los spotkał chłopca. Żaden dźwięk nie zakłócił panującej wokół ciszy. Pirat był przekonany, że oprócz niego w wieżach i na dziedzińcach nie było nikogo. Spiesznie zszedł schodami, przeszedł przez dziedziniec i przejście w murze na następny podwórzec, który czarni tylko co opuścili. Teraz mógł dobrze przyjrzeć się poznaczonej półkami ścianie. Na wykutych w kamieniu wąskich półkach stały tysiące maleńkich figurek, przeważnie szarego koloru. Te posążki, niewiele większe od ludzkiej dłoni, przedstawiały ludzi i były tak znakomicie zrobione, że Conan mógł rozróżnić charakterystyczne cechy różnych ras ludzkich: typowe postacie zingarańskich, argijskich, ophirańskich i kuszyckich korsarzy. Ci ostatni mieli czarną barwę — taką, jaką miała ich skóra. Patrząc na nieruchome, nieme posążki, Conan czuł dziwny niepokój spowodowany ich ludzającym podobieństwem do żywych ludzi. Dotknął jednego, ale nie zdołał stwierdzić, z jakiego materiału zostały wykonane. W dotyku figurka zdawała się być zrobiona z wysuszonej kości — jednak barbarzyńca nie był w stanie uwierzyć, że gdzieś na wyspie mogą się znajdować tak obfite zasoby suszonych kości, by czarni mogli używać ich tak beztrąsko.

Zauważył, że posążki przedstawiające znane mu rasy ludzkie znajdują się na najwyższych półkach. Na niższych stały figurki, których rysy były mu zupełnie obce. Może prezentowały wybryki wyobraźni artysty, a może przedstawicieli dawno wymarłych i zapomnianych ludów.

Niecierpliwie potrząsnąwszy głową, Conan ruszył do sadzawki. Owalny dziedziniec nie dawał żadnych możliwości ukrycia czegokolwiek; skoro nigdzie nie było widać ciała chłopca,

musiało ono leżeć na dnie sadzawki.

Podchodząc do szmaragdowozielonej toni, wpatrywał się w jej błyszczącą powierzchnię. Zdało mu się, że patrzy przez grube, zielone szkło — przejrzyste, lecz dziwnie łudzące. Sadzawka była niewielka i okrągła jak studnia, otoczona kręgiem zielonego nefrytu.

Spoglądając w toń, dostrzegł dno — nie potrafił powiedzieć, jak głęboko w dole. Jednak sadzawka zdawała się być niezwykle głęboka — patrząc w dół, poczuł lekki zawrót głowy, jakby spoglądał w przepaść. Zdumiało go to, że mógł dostrzec dno, jednak widział je wyraźnie — niemożliwie odległe, niewyraźne, łudzące, lecz widoczne. Chwilami wydawało mu się, że w szmaragdowej głębi dostrzega słabe błyski, ale nie miał co do tego pewności. Był jednak pewien, że oprócz wody w sadzawce nie ma niczego.

Zatem gdzie, na Croma, podział się chłopiec, którego na jego oczach brutalnie utopiono w sadzawce? Conan wyprostował się, mocniej ujął miecz i jeszcze raz rozejrzał się po dziedzińcu. Nagle spojrzenie jego padło na jedną z najwyższych półek. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy przypomniał sobie, że właśnie tam czarny gigant kładł coś przed odejściem. Niechętnie, lecz jak przyciągany magnetyczną siłą, pirat podszedł do błyszczącej ściany.

Obezwładniony podejrzeniem zbyt potwornym, by je wyrazić słowami, spojrzął na figurkę stojącą na końcu szeregu. Straszliwe podobieństwo mówiło samo za siebie. Skamieniały, nieruchomy i skarłały stał przed nim zingarański chłopiec, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Conan wzdrygnął się, wstrząśnięty do głębi. Uzbrojona w miecz ręka opadła mu bezwładnie, rozdziawił usta i wybałuszył oczy, oszołomiony odkryciem zbyt strasznym,

by mógł je ogarnąć ludzki umysł.

Jednak rzecz nie ulegała wątpliwości: oto odkrył tajemnicę małych posążków, chociaż w ten sposób stanął przed jeszcze większą i daleko bardziej złowieszczą zagadką ich istnienia.



Conan nie miał pojęcia, jak długo stał zatopiony w ponurych rozważaniach. Z zadumy wytrącił go czyjś głos: kobiecy głos krzyczący coraz głośniej i głośniej, jakby jego właścicielka coraz bardziej się zbliżała. Cymeryjczyk rozpoznał ten głos i natychmiast otrząsnął się z bezwładu. Jednym susem wskoczył na najwyższą półkę i przywarł do ściany, kopnięciem rozrzucając stojące tam posążki, aby uzyskać oparcie dla stóp. Następny podskok, chwyt i już był na szczycie muru. Spojrzał na drugą stronę — zobaczył zieloną łąkę otaczającą miasto.

Przez trawiastą równinę kroczył czarny gigant, niosąc pod pachą wijącą się brankę jak ojciec niosący niegrzeczne dziecko. To była Sancha: czarne pukle włosów rozsypały się jej w nieładzie, a mleczna skóra kontrastowała z hebanowoczanym ciałem prześladowcy. Ten nie zwracał uwagi na jej szamotanie krzyki, zmierzając prosto ku bramie.

Kiedy w nią wszedł, Conan śmiało zeskoczył z muru i skoczył w przejście wiodące na następny dziedziniec. Przyczaiwszy się tam, zobaczył, jak gigant wchodzi na podwórzec z sadzawką, niosąc wyrywającą się rozpaczliwie brankę. Mógł teraz bliżej przyjrzeć się czarnoskóremu.

Z bliska wspaniała symetria ciała i kończyn robiła większe wrażenie. Pod hebanową skórą grały węzły masywnych, grubych mięśni i Conan nie wątpił, że olbrzym mógłby rozerwać na sztuki każdego zwykłego śmiertelnika. Paznokcie czarnego stanowiły groźną broń, bowiem były długie i ostre jak pazury dzikiej bestii.

Twarz olbrzyma była nieprzenikniona niczym maska wyrzeźbiona z hebanu, a oczy złotobrazowe, nieruchome i błyszczące — jednak nie była to twarz człowieka. Każdy jej rys znamionował zło — i to zło przekraczające ludzkie pojęcie. Ten stwór nie był człowiekiem, nie mógł nim być; był wytworem najprzepastniejszych otchłani stworzenia — wybrykiem ewolucji.

Gigant cisnął Sanchę na murawę, do której przywarła, płacząc z bólu i przerażenia.

Rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukając, i jego złotobrazowe oczy zwężyły się, gdy ich spojrzenie padło na strącone z półki i powywracane posążki. Pochylił się, chwycił dziewczynę za kark i udo i ruszył wolno w kierunku sadzawki. Conan cicho wyszedł z przejścia i pomknął jak wiatr przez dziedziniec.

Gigant odwrócił się i w jego oczach zapalił się groźny błysk, gdy ujrzał pędzącego ku niemu mściciela. Zaskoczony, rozluźnił chwyt i Sancha zdołała wyrwać się z okrutnego uścisku. Uzbrojone w pazury dłonie wyciągnęły się ku barbarzyńcy, ale Conan uchylił się zręcznie i wbił miecz w pachwinę giganta. Czarny runął jak zrąbany dąb, brocząc krwią, i w następnej chwili Conan niespodzianie znalazł się w obezwładniającym uścisku oszalałej z przerażenia i bliskiej hysterii dziewczyny.

Cymeryjczyk zaklął i wyrwał się z objęć, ale jego wróg już nie żył: złotobrazowe oczy zamglily się, a hebanowe ciało przestało się prężyć.

— Och, Conanie — załkała Sancha, ponownie doń przywierając — co z nami będzie? Co to za potwory? Och, z pewnością jesteśmy w piekle i to był sam diabeł...

— Wobec tego piekła będzie potrzebny nowy diabeł — uśmiechnął się Barachańczyk.

— Ale jak zdołał cię schwytać? Czyżby zdobyli okręt?

— Tego nie wiem — odparła, chcąc otrzeć łzy rąbkiem tuniki i stwierdzając, że nie ma jej na sobie. — Zeszłam na brzeg. Widziałam, jak poszedłeś za Zaporavo i ruszyłam za wami.

Znalazłam Zaporavo. Czy... czy to ty go..?

— A któżby? — mruknął. — O co dalej?

— Zobaczyłam, że coś się rusza wśród drzew — rzekła z drżeniem. — Myślałam, że to ty.

Zawołałam... a potem zobaczyłam to... to czarne siedzące jak mała wśród gałęzi, śmiejące się do mnie szyderczo. To było niczym zły sen: nie byłam w stanie zrobić kroku. Mogłam tylko wrzeszczeć. Wtedy to spuściło się z drzewa i złapało mnie... Och, to było okropne!

Ukryła twarz w dłoniach, znów wstrząśnięta na samo wspomnienie tej okropnej chwili.

— No, musimy się stąd wydostać — warknął, chwytając ją za rękę. — Chodź, musimy ostrzec załogę...

— Kiedy wchodziłam do lasu większość z nich spała na plaży — powiedziała dziewczyna.

— Spała? — wykrzyknął z niedowierzaniem. — Jak, na siedmiu diabłów, piekielne ognie i potępienie...

— Słuchaj! — przerwała mu dziewczyna, zamierając ze strachu jak biały posąg uosabiający przerażenie.

— Słyszałem! — przerwał jej. — Zduszony krzyk! Zaczekaj tu!

Znów wskoczył na półki i zerknąwszy na drugą stronę muru zaklął tak wściekle, że nawet przyzwyczajona do tego San—cha rozdziawiła usta. Czarni wracali, ale nie z pustymi rękoma.

Każdy niósł bezwładne ludzkie ciało; niektórzy nieśli po dwa. Ich jeńcami byli korsarze; wisieli luźno w uścisku potężnych ramion i gdyby nie sporadyczne ruchy rąk i nóg, Conan sądziłby,

że są martwi. Byli rozbrojeni, ale nie odarci z szat; jeden z gigantów niósł ich miecze — całe naręcze błyszczącej stali. Od czasu do czasu któryś z marynarzy wydawał słaby okrzyk, jak pijak mówiący coś przez sen.

Conan rozejrzył się wokół, jak schwyty w pułapkę wilk. Z dziedzińca można było wyjść w trzech różnych kierunkach. Wschodnim przejściem odeszli czarni i zapewne przez nie powrócą. On przyszedł przejściem południowym. Za zachodnim ukrywał się poprzednio i nie miał czasu sprawdzić, co się znajduje dalej. Niezależnie od swej nieznajomości terenu musiał szybko podjąć właściwą decyzję.

Zeskoczył na dół i w gorączkowym pośpiechu poustawiał figurki na swoich miejscach, zaciągnął trupa do sadzawki i wrzucił go w nią. Ciało opadło wolno w dół i patrząc na to, Conan dostrzegł odrażającą przemianę — kurczenie się, kamienienie. Z dreszczem zgrozy odwrócił się pospiesznie, złapał swoją towarzyszkę za rękę i pociągnął ją za sobą w kierunku południowego przejścia. Sancha błagała, by powiedział jej, co się dzieje.

— Zgarnęli załogę — odparł pospiesznie. — Nie mam jeszcze żadnego planu; ukryjemy się gdzieś w pobliżu i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli nie zajrzą do sadzawki, mogą nie wykryć naszej obecności.

— Przecież zobaczą krew na trawie!

— Może pomyślą, że rozlał ją jeden z nich — odrzekł. — W każdym razie musimy zaryzykować.

Byli na dziedzińcu, z którego Conan przyglądał się torturowaniu chłopca. Szybko wszedł z dziewczyną po schodach na południowy mur i zmusił ją, by schowała się za balustradą; kiepska to była kryjówka, ale najlepsza, jaką zdołali znaleźć.

Zaledwie zdążyli się ukryć, kiedy czarni weszli na dziedziniec. U podnóża schodów rozległ się przeraźliwy łoskot i szczęk i Conan zeszywniał, chwytając za rękojeść miecza, ale czarni przeszli za południowo—zachodni mur i po chwili dały się słyszeć głuchoe odgłosy i jęki, gdy zrzucili swych jeńców na murawę. Usta Sanchy rozchyliły się w histerycznym chichocie, ale Conan szybko zakrył jej usta dłonią, tłumiąc dźwięk, który mógł ich zdradzić.

Po chwili usłyszeli na dole tupot wielu nóg, a później znów zapadła cisza. Conan wyjrzał zza balustrady. Dziedziniec był pusty. Czarni ponownie zebrali się wokół sadzawki, siadając na podwiniętych nogach. Zdawali się nie zwracać uwagi na ślady na trawie i obrzeżu sadzawki. Widocznie ślady krwi nie były dla nich czymś niezwykłym. Nie zaglądali też do sadzawki. Byli pogrążeni w jakimś swoim zagadkowym rytuale; najwyższy z nich znów grał na swojej piszczałce, a pozostali słuchali, trwając w bezruchu jak hebanowe posągi.

Wziąwszy Sanchę za rękę, Conan cicho zszedł po schodach, pochylając się nisko, tak by jego głowa nie wystawała ponad mur. Kuląc się, dziewczyna poszła za jego przykładem, spoglądając lękliwie w głąb przejścia, które prowadziło na dziedziniec z sadzawką, chociaż patrząc pod tym kątem, nie widziała ani sadzawki, ani stojących tam postaci. U stóp schodów leżały miecze Zingaran. Szczęk, który słyszeli przed chwilą, był wywołany przez to niedbale rzucone na ziemię żelastwo.

Conan pociągnął Sanchę ku południowo—zachodniemu przejściu. Cicho przemknęli na drugą stronę i wyszli na inny dziedziniec. Tam znaleźli schwytyanych przez gigantów korsarzy. Leżeli bezwładnie na murawie i tylko od czasu do czasu któryś poruszył się niespokojnie lub jęknął. Conan pochylił się nad nimi,

a Sancha klękła obok, opierając ręce na udach i nachylając się bliżej.

— Co to za słodkawy zapach? — spytała niespokojnie. — Ich oddechy są nim przesycone.

— To te przekłete owoce, które jedli — odparł cicho. — Pamiętam ten zapach. Te owoce muszą mieć taki sam skutek, jak czarny lotos, który usypia ludzi. Na Croma, zaczynają się budzić, ale nie mają broni, a mam wrażenie, że te czarne diabły niedługo się za nich wezmą.

Jakie szansę mają ci biedacy, bezbronni i ogłupiali od snu? Na chwilę pogрузił się w ponurym milczeniu, marszcząc brwi w głębokim namyśle; później złapał Sanchę za ramię i ścisnął tak, że skrzywiła się z bólu.

— Słuchaj! Odciągnę te czarne śwynie w inną część zamku i zajmę ich przez jakiś czas.

Wtedy ty obudzisz tych głupców i przyniesiesz im miecze... W ten sposób będą mieli jakąś szansę. Możesz to zrobić?

— Ja... nie wiem! — wyjąkała, trzęsąc się z przerażenia i sama nie wiedząc, co mówi.

Conan z przekleństwem chwycił ją za gęste pukle i potrząsnął nią, aż świat zawirował jej przed oczami.

— Musisz to zrobić! — syknął. — To nasza jedyna szansa!

— Zrobię, co będę mogła! — jęknęła dziewczyna, co barbarzyńca skwitował dodającym otuchy klepnięciem po plecach, które niemal ją wywróciło, i zniknął za rogiem.

Kilka chwil później czaił się w przejściu prowadzącym na dziedziniec z sadzawką i spoglądał na nieprzyjaciół. Wciąż siedzieli wokół sadzawki, ale zaczęli już wykazywać oznaki zniecierpliwienia. Z dziedzińca, na którym leżeli bukanierzy, słyszał ich coraz głośniejsze jęki, coraz częściej mieszające się z

beładnymi przekleństwami. Conan napiął mięśnie i przyczał się do skoku, nabierając tchu w piersi.

Gigant noszący wysadzaną klejnotami opaskę podniósł się, odrywając piszczałkę od warg — i w tejże chwili Conan jednym skokiem znalazł się wśród zaskoczonych wrogów. I tak jak tygrys skacze i uderza swe ofiary, tak Conan skoczył i uderzył: jego miecz błysnął trzykrotnie, zanim którykolwiek z olbrzymów zdołał choćby podnieść ramię; później odskoczył z powrotem i pognał jak szalony przez zieloną murawę. Za nim zostały trzy czarne ciała z rozplatanymi czaszkami.

Jednak mimo że ten wściekły i niespodziewany atak zaskoczył gigantów, szybko otrząsnęli się z bezruchu. Deptali mu po piętach, gdy gnał ku zachodniemu przejściu, a długie nogi niosły ich z niebywałą szybkością. Conan był wprawdzie przekonany, że z łatwością mógłby im umknąć — lecz nie o to mu chodziło. Zamierzał odciągnąć ich na dłuższą chwilę od Zingaran, dając tym ostatnim czas na otrząśnięcie się ze snu i uzbrojenie w miecze przyniesione przez Sanchę.

Wypadł na dziedziniec za zachodnim przejściem i zaklął wściekle. To podwórze różniło się od innych. Nie było owalne, lecz ośmiokątne, a przejście, przez które przebiegł, było jedynym wejściem i wyjściem.

Obrócił się na pięcie i zobaczył, że wszyscy giganci ruszyli za nim w pościg; część kłębiła się teraz w przejściu, a reszta zbliżała, się ku niemu rozciągniętym szeregiem. Conan cofał się wolno pod północną ścianę, nie odwracając głowy od nadchodzących. Szereg zmienił się w półokrąg — czarni próbowali otoczyć go ciasnym pierścieniem, ale musieli rozciągnąć szyki, żeby im się nie wymknął. Conan nadal się cofał, ale coraz wolniej i wolniej, szukając luki w rozciągniętym szeregu nieprzyjaciół. Obawiając

się, że barbarzyńca szybkim skokiem prześliznie się przez zaciskający się pierścień, giganci jeszcze bardziej rozciągnęli szyk, aby temu zapobiec.

Cymeryjczyk przyglądał się temu z zimnym wyrachowaniem drapieżcy i kiedy uderzył, uczynił to z niszczącą gwałtownością gromu — w sam środek zaciskającego się półkola.

Gigant, który zastąpił mu drogę, padł z rozciętym barkiem i zanim czarni z prawa i z lewa zdolali przyjść na pomoc powalonemu kompanowi, pirat wyrwał się z potrzasku. Grupa zebranych przy przejściu przygotowała się do odparcia jego szarży, ale Conan nie zaatakował ich. Zamiast tego odwrócił się i stanął, spoglądając na przeciwników bez specjalnego wzruszenia, a z pewnością bez strachu.

Tym razem nie rozciągnęli się w długi szereg. Przekonali się już, że rozdzielanie sił w starciu z tym szaleńczo odważnym przeciwnikiem może przynieść jak najgorsze skutki. Zbili się w zwartą grupę i ruszyli ku niemu bez nadmiernego pośpiechu, zacieśniając szyk.

Conan wiedział, że spotkanie z taką gromadą potężnie umięśnionych i uzbrojonych w pazury przeciwników może skończyć się tylko w jeden sposób. Jeżeli tylko pozwoli im zbliżyć się na tyle, by mogli dosięgnąć go swymi szponami i wykorzystać swoją ogromną przewagę liczebną, to nie pomoże mu cały jego spryt i ogromna siła. Zerknął na mur i w zachodnim narożniku dostrzegł jakby półkę czy rodzaj występu. Nie wiedział, co to jest, ale mogło to wystarczyć do zrealizowania pomysłu. Zaczął cofać się w kierunku narożnika i giganci widząc to, przyspieszyli kroku. Widocznie wydawało im się, że to oni zagonili go w kąt i Conan doszedł do wniosku, że musieli uważać go za istotę o znacznie niższej inteligencji. Tym lepiej. Nie ma nic bardziej



zgubnego od niedoceniań przeciwnika. Teraz znalazł się już tylko kilka metrów od ściany i czarni zbliżali się coraz szybciej, wyraźnie chcąc przyprzeć go do muru, zanim zda sobie sprawę z sytuacji. Grupa stojąca dotychczas przy przejściu opuściła swój posterunek i pospiesznie ruszyła, by przyłączyć się do reszty towarzyszy. Giganci zbliżali się, błyskając wyszczerzonymi zębami, syjąc skry z żółtawo płonących oczu i wyciągając szponiaste ręce, chcąc odeprzeć ewentualny atak. Spodziewali się nagłego i gwałtownego ruchu ze strony swej ofiary, lecz mimo to dali się zaskoczyć.

Conan wzniósł miecz, zrobił krok w kierunku napastników, po czym okręcił się na pięcie i pognał do narożnika. Energicznym ruchem odbił się od ziemi i skoczywszy wysoko w powietrze zacisnął palce na krawędzi półki. Dał się słyszeć głuchy trzask i cały występ runął w dół razem z piratem.

Conan spadł na plecy i, gdyby nie miękka murawa porastająca dziedziniec, złamałby sobie kark mimo chroniących go, grubych węzłów mięśni. Odbił się od ziemi i skoczył na nogi niczym wielki kot, aby stawić czoła wrogom. Z jego oczu zniknął lekceważący błysk; zapalił się w nich złowrogi płomień. Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. W jednej chwili zuchwała gra zmieniła się w walkę na śmierć i życie, a w takich chwilach Cymeryjczyk zachowywał się tak, jak kazała mu barbarzyńska natura.

Czarni, przez moment zbici z tropu nagłością wydarzeń, rzucili się na niego, chcąc go zmiażdżyć przewagą liczebną. Jednak w tej samej chwili rozległ się głośny krzyk i zaskoczeni giganci ujrzeni tłum piratów wlewający się na dziedziniec. Bukanierzy zataczali się jeszcze i wydawali nieartykułowane okrzyki, byli zamroczeni i zaskoczeni, ale ściskali swe miecze i

wymachiwali nimi z zawziętością nie osłabioną bynajmniej faktem, że nie mieli zielonego pojęcia, o co chodzi.

Gdy czarni giganci spojrzeli po sobie ze zdumieniem, Conan zawył przeraźliwie i runął między nich jak grom z jasnego nieba. Pod ciosami jego miecza padali jak ścięte kosą snopy i widząc to, Zingaranie wrzasnęli wniebogłosy, przebiegli chwiejnie przez dziedziniec i wpadli na nieprzyjaciół niczym zgraja żądnych krwi wilków. Wciąż byli oszołomieni: budząc się z narkotycznego snu, ujrzeni potrząsającą nimi Sanchę, która wciskała im oręż w dłonie i nalegała, by coś zrobili. Wprawdzie nie rozumieli, o co jej chodzi, ale widok obcych i przelewanej krwi zupełnie im wystarczył.

W jednej chwili dziedziniec zmienił się w regularne pole bitwy, które szybko zaczęło przypominać rzeźnię. Zingaranie zataczali się i chwiali na nogach, ale wymachiwali mieczami równie żywo i zaciekle jak zawsze, klnąc wściekle i zupełnie nie zważając na wszelkie rany oprócz śmiertelnych. Mieli znaczną przewagę liczebną nad gigantami, którzy jednak okazali się niełatwym przeciwnikiem. Znacznie przewyższając korsarzy wzrostem, szerzyli wśród nich spustoszenie, szarpiąc uzbrojonymi w pazury rękami, rozdzierając gardła i rozbijając czaszki ciosami zaciśniętych pięści. W powszechnym zamęcie bitwy bukanierzy nie byli w stanie wykorzystać swojej przewagi, a wielu było jeszcze zbyt oszołomionych, by uchylać się przed wymierzonymi w nich ciosami. Walczyli z zaciekłością dzikich bestii, zbyt pochłonięci zadawaniem śmiertelnych ciosów, by się przed nimi uchylać. Odgłos opadających ostrzy przypominał dźwięki rzeźniczego tasaka, a wrzaski, wycia i przekleństwa wzbudziłyby odrazę w każdym cywilizowanym człowieku.

Przyczajoną w przejściu Sanchę oszołomił cały ten zgiełk i

hałas; niepewnie spoglądała na bitewny zamęt, w którym stalowe ostrza błyskały i opadały ze świstem, śmigwały pięści, wykrzywione nienawiścią twarze pojawiały się i znikwały, a sprężone w wysiłku ciała zderzały się ze sobą, odskakiwały i splatały w diabelskim, szaleńczym tańcu.

Chwilami przelotnie dostrzegała szczegóły, niczym czarne szkice na krwawym tle.

Zobaczyła zingarańskiego marynarza, oślepionego przez wielki płat skóry zdarty z czaszki i zwisający mu na oczy, który wparł się nogami w ziemię i wbił miecz w brzuch czarnoskórego przeciwnika. Wyraźnie słyszała, jak bukanier sapnął, zadając cios i widziała, jak żółtawe oczy ofiary stanęły w słup z bólu, a krew i wnętrzności trysnęły mu pod nogi. Umierający gigant chwycił ostrze gołymi rękoma i marynarz daremnie próbował je wyrwać; nagie czarne ramię objęło szyję Zingaranina, a czarne kolano z potworną siłą nacisnęło na jego kręgosłup.

Gwałtowne szarpnięcie odchyliło mu głowę pod dziwnym kątem od tułowia i wśród zgiełku bitwy dał się słyszeć głośny trzask łamanej gałęzi. Zwycięzca cisnął ciało pokonanego na ziemię... i w tej samej chwili coś jakby błękitny płomień błysnęło za jego plecami, przelatując od lewego do prawego ramienia. Gigant zachwiał się i głowa opadła mu na piersi, a stamtąd na ziemię.

Ten odrażający widok przyprawił Sanchę o mdłości. Zakrztusiła się i poczuła gwałtowną potrzebę wymiotowania. Uczyniła daremną próbę odwrócenia się i ucieczki z pola bitwy, ale nogi nie chciały jej słuchać. Nie była też w stanie zamknąć oczu. W rzeczy samej, otworzyła je jeszcze szerzej. Zdjęta odrazą i walcząc z mdłościami, doznawała jednak tej straszliwej fascynacji, jaką zawsze czuła na widok krwi. Ta bitwa

przekraczała wszystko, co widziała do tej pory podczas potyczek na morzu i lądzie.

Nagle dostrzegła Conana.

Oddzielony od swoich towarzyszy skłębionym tłumem wrogów, barbarzyńca został ogarnięty przez falę czarnych ciał i na chwilę zniknął pod nią. Szybko stratowaliby go na śmierć, gdyby nie pociągnął za sobą jednego z przeciwników, którym osłonił się przed ciosami. Napastnicy próbowali wyrwać umierającego kompana z jego objęć, ale Conan rozpaczliwie trzymał się swojej tarczy.

Atak Zingaran spowodował, że napór wroga chwilowo zelżał — Conan natychmiast odrzucił trupa na bok i zerwał się na równe nogi, usmarowany krwią, straszny. Giganci rzucili się nań niczym czarne cienie, szarpiąc i zadając straszliwe ciosy. Jednak barbarzyńca był równie trudny do trafienia lub schwytania co rozwścieczona pantera i każdy cios jego miecza niósł śmierć i zniszczenie. Cymeryjczyk otrzymał już dość ran, by powalić trzech zwykłych ludzi, ale przy jego zwierzęcej witalności nie wywarły one na nim żadnego wrażenia.

Ponad bitewny zgiełk wzbił się jego wojenny okrzyk i zdumieni, lecz wściekle walczący Zingarani ze zdwojoną siłą wpadli na wroga, tak że chrzęst łamanych kości i łoskot ciosów zagłuszyły jęki bólu i wściekłości.

Czarni zaczęli się cofać i rzucili się do przejścia, a ukryta w nim Sancha krzyknęła przeraźliwie i umknęła na bok. Czarni stłoczyli się w ciasnym przejściu, a Zingarani dźgali i siekli plecy uciekających z nie ukrywaną uciechą i okrzykami radości. Nie upłynęła chwila i gdy resztki uciekających przedostały się przez przejście, leżał w nim wał trupów i rannych.

Bitwa zamieniła się w rzeź. Przez trawiaste dziedzińce,

błyszczące schody, strome dachy wież, a nawet przez blanki szerokich murów umykali czarni giganci, brocząc krwią przy każdym kroku, ścigani przez bezlitosnych zwycięzców. Niektórzy, przyparci do muru, podejmowali walkę i zabierali ze sobą wielu prześladowców. Jednak ostateczny rezultat był zawsze ten sam — rozsiekane czarne ciało wijące się na murawie lub zrzucone z wysokiego muru czy dachu wieży.

Sancha schroniła się na dziedzińcu z sadzawką, przy której skuliła się, dygocząc ze strachu. Wokół słyhać było dzikie wrzaski, tupot nóg o murawę i nagle z przejścia w murze wyskoczyła zbuczona krwią czarna postać. Był to gigant, który nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Przysadzisty napastnik deptał mu po piętach i czarnoskóry odwrócił się na samym skraju sadzawki, by stawić mu czoła. Doprowadzony do rozpacz podniósł miecz upuszczony przez ginącego marynarza i gdy Zingaranie runął naprzód, uderzył go nieznaną sobie bronią. Bukanier padł z rozplataną czaszką, ale cios został zadany tak niezręcznie, że ostrze pękło w dłoni ostatniego z gigantów.

Cisnął ręką w napastników tłoczących się w przejściu i skoczył w kierunku sadzawki z twarzą wykrzywioną w grymasie nienawiści. Conan przedarł się przez tłum korsarzy i runął jak burza na wroga.

Jednak gigant szeroko rozłożył ramiona i z jego ust wydobył się nieludzki krzyk — jedyny dźwięk, jaki czarni wydali podczas bitwy. Przepojony nienawiścią okrzyk wzbił się pod niebo, niczym dobiegające z otchłani wycie potępionych. Słyszając to, Zingaranie zawahali się i przystanęli. Tylko Conan nie zatrzymał się nawet na moment. Cicho i nieustępliwie nacierał na hebanowoczną postać stojącą na skraju sadzawki.

Jednak w tej samej chwili, gdy jego miecz błysnął w powietrzu,

czarny odwrócił się i skoczył. Przez ułamek chwili zawisł nad powierzchnią sadzawki; nagle z rozdzierającym uszy rykiem zielone wody podniosły się i skoczyły mu na spotkanie, wchłaniając go niczym szmaragdowy wulkan.

Conan zatrzymał się, w ostatniej chwili unikając upadku w zieloną toń, i odskoczył, potężnymi ramionami odpychając cisnących się za nim kompanów. Zielona sadzawka zmieniła się w gejzer, a ogromny słup wody z ogłuszającym rykiem trysnął w górę, zwieńczony wielką koroną piany.

Conan pognął swoich towarzyszy do bramy, płazując ich bezlitośnie mieczem; narastający ryk fontanny zupełnie pozbawił ich ducha. Ujrzawszy sparaliżowaną ze zgrozy Sanchę, patrzącą szeroko otwartymi oczyma na wznoszący się ku niebu słup wody, przywołał ją gromkim okrzykiem, który przedarł się przez ryk wodotrysku i wyrwał ją z odrętwienia.

Podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami; Conan złapał ją w pól i pomknął przed siebie.

Zmęczeni, obdarci i poranieni, pozostali przy życiu korsarze zebrali się na dziedzińcu przy bramie i brocząc krwią, z osłupieniem spoglądali na wielką kolumnę wody, która wznosiła się coraz wyżej ku niebu. Jej zielony korpus był przetykany bielą; spieniony szczyt był trzykrotnie szerszy od podstawy. W każdej chwili mogła się załamać i runąć w dół niepowstrzymaną falą, lecz na razie wciąż jeszcze wznosiła się w górę.

Conan obrzucił spojrzeniem okrwawionych, obdartych towarzyszy i zaklął, widząc, że został ich ledwie tuzin. W ferworze chwili złapał najbliższego za kark i potrząsnął nim tak gwałtownie, że opryskała go krew z ran korsarza.

— Gdzie reszta? — wrzasnął do ucha nieszczęśliwca.

— To wszyscy! — odkrzyknął tamten przez ryk gejzeru. —

Innych zabili czarni giganci...

— Dobrze, uciekajmy stąd! — ryknął Conan, potężnym pchnięciem posyłając go na łeb, na szyję w kierunku bramy. — Ta fontanna w każdej chwili może opaść...

— Wszyscy się potopimy! — zakwicział jeden z korsarzy, kuśtykając w kierunku przejścia.

— Potopimy, akurat! — wrzasnął Conan. — Zostaniemy zmienieni w kawałki wysuszonych kości! Zjeżdżać stąd, niech was diabli!

Podbiegł do bramy, kątem oka zerkając na ryczącą, zieloną wieżę, która groźnie wznosiła się nad zamkiem, i na umykających towarzyszy. Oszołomieni walką, żądzą krwi i ogłuszającym hukiem wody Zingaranie ruszali się jak w transie. Conan popędzał ich w prosty sposób. Łapał maruderów za karki i gwałtownie ciskał ich za bramę, obdarzając solidnym kopniakiem w tyłek i dodając soczyste komentarze na temat prowadzenia się ich przodków.

Sancha zdradzała ochotę, by z nim pozostać, ale Cymeryjczyk klnąc wściekle, wyrwał się z jej objęć i popędził ją solidnym klapssem w tylną część ciała, który sprawił, że pomknęła przez równinę jak wystraszony królik.

Conan nie opuścił bramy, dopóki nie nabrał pewności, że wszyscy jego ludzie, którzy przeżyli bitwę, znaleźli się na równinie. Wtedy jeszcze raz zerknął na szumiącą kolumnę wznoszącą się ku niebu, ponad wieżami miasta i także uciekł z tego przeklętego miejsca.

Zingaranie przebyli już płaskowyż i biegli przez pagórki. Sancha czekała na niego na szczycie pierwszego pagórka, na którym przystanął na chwilę, aby spojrzeć na zamek.

Wydawało się, że nad wieżami miasta kołysał się ogromny

kwiat o zielonej łodydze i białych płatkach. Ryk wody niósł się pod niebiosami. Nagle szmaragdowobiała kolumna pękła z ogromnym hukiem i gigantyczna fala zasłoniła mury i wieże zamku.

Conan złapał dziewczynę za rękę i pognał jak szalony. Przebiegał pagórek po pagórku, wciąż słysząc za sobą szum pędzącej wody. Obejrząwszy się przez ramię, ujrzał szeroką, zieloną wstęgę unoszącą się i opadającą na kolejne zbocza. Strumień wody nie rozlewał się szerzej i nie wsiąkał: niczym gigantyczna żmija wił się przez dolinki i łagodne wzgórki.

Utrzymywał stały kierunek — ścigał uciekających korsarzy.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, Conan zmobilizował ostatnie rezerwy swych niespożytych sił. Sancha potknęła się i z jękiem rozpaczony osunęła się na kolana, zupełnie wyczerpana.

Barbarzyńca podniósł ją, zarzucił sobie na mocarne ramiona i pobiegł dalej. Kolana uginały się pod nim, a szeroka pierś drżała w spazmatycznym oddechu, który ze świstem wydobywał się przez zaciśnięte zęby. Zaczął się zataczać. Przed sobą widział równie zmęczonych marynarzy, poganianych przez strach.

Niespodziewanie pojawił się przed nimi ocean i zachodzące mgłą oczy barbarzyńcy dostrzegły „Łobuza”. Wydawał się nie uszkodzony. Załoga na łeb, na szyję wskakiwała do łodzi. Sancha upadła na dno jednej z nich i legła bez ruchu. Conan razem z innymi zabrał się do wiosł, mimo że szumiało mu w uszach i czerwone płatki latały przed oczami.

Bliscy pełnego wyczerpania popłynęli w kierunku statku. W tej samej chwili zielona struga dotarła do rosnących na brzegu drzew. Grube pnie runęły, jakby nagle pozbawiono je korzeni i wpadłszy w szmaragdową toń, zniknęły. Strumień przepłynął przez plażę, wpadł do oceanu i natychmiast nabrał głębszej,



bardziej złowieszczej barwy.

Bukanierów ogarnął na ten widok paniczny lęk, każący im zmuszać obolałe mięśnie do jeszcze większego wysiłku; nie wiedzieli, czego się obawiają, ale wiedzieli, że ta paskudna, zielona wstęga stanowi groźbę dla ciała i duszy. Conan wiedział, czego się obawiać i widząc, jak szeroka struga wpada w morskie fale i mknie ku nim, nie zmieniając kształtu czy kierunku, wyteżył wszystkie pozostałe mu siły i tak mocno naparł na wiosło, że drzewce pękło mu w rękach.

Jednak w tejże chwili dziób łodzi uderzył o burtę „Łobuza” i marynarze wdrapali się na pokład, zostawiając szalupę własnemu losowi. Conan wniósł bezwładną Sanchę na ramionach, po czym bezceremonialnie rzucił ją na pokład i chwycił za koło sterowe, wykrzykując rozkazy do swej szczupłej załogi. Nikt nie kwestionował jego praw jako przywódcy — korsarze instynktownie słuchali jego poleceń. Zataczając się jak pijani, machinalnie wykonywali czynności, do jakich nawykli. Odcięty łańcuch kotwiczny z pluskiem wpadł do wody, a żagle załopotwały i wypełniły się wiatrem. „Łobuz” zachwiał się, zakołysał i majestatycznie ruszył w morze. Conan spojrzał w kierunku brzegu: zielona wstęga bezsilnie wiła się wśród fal o kilka metrów za rufą statku, niczym szmaragdowy płomień. Zatrzymała się. Cymeryjczyk powiódł spojrzeniem po zielonej strudze, po białej plaży, po niskich pagórkach, aż ku niewidocznemu za nimi miastu.

Nabrał tchu w piersi i uśmiechnął się do zdyszanej załogi. Sancha stała przy nim; łzy ulgi spływały jej po policzkach. Spodnie Conana były w strzępach; zgubił gdzieś pas i pochwę na miecz, który wbity w deski pokładu był poszczerbiony i zboczony krwią. Krew zlepiła gęstą grzywę barbarzyńcy i

spływała mu po podrapanych barkach, ramionach i piersi. Jedno ucho miał mocno naderwane, ale uśmiechał się szeroko, mocno stojąc na muskularnych nogach i wprawnie kręcąc kołem sterowym.

— I co teraz? — spytała słabym głosem dziewczyna.

— Teraz po królewskie łupy! — zaśmiał się. — Mamy nieliczną załogę i w dodatku mocno poharataną, ale wystarczy ich, by dać sobie radę ze statkiem, a załogę zawsze można znaleźć. Chodź, dziewczyno, daj mi całusa.

— Całusa? — krzyknęła, bliska hysterii. — W takiej chwili myślisz o całowaniu?

Jego śmiech zagłuszył skrzyp lin i łopot żagli. Jednym ruchem mocarnego ramienia przycisnął ją do piersi i z nieskrywaną przyjemnością wycisnął na jej ustach gorący pocałunek.

— Myślę o życiu! — ryknął. — Co było, to było! Mam statek z waleczną załogą i dziewczynę o wargach jak wino, a to wszystko, czego zawsze pragnąłem! Opatrzcie sobie rany, łobuzy, i wynieście baryłkę piwa. Będziecie się zwijać jak jeszcze nigdy w życiu! I ma to być ze śpiewem na ustach, niech was diabli! Do licha z pustymi morzami! Ruszamy na wody pełne kupieckich statków czekających tylko, by je złupić!